

Krystyna Winecka
(Irena Wilder)

Od Stanisławowa do Australii



Krystyna Winecka
(Irena Wilder)

Od Stanisławowa do Australii

Digitized by Project Zikaron
Touro University-NY Libraries
www.zikaron.tourolib.org
2024

Pamięci Olesia
i mego miasta rodzinnego - Stanisławowa

Redakcja techiczna: OTON WINECKI

© KRYSTYNA WINECKA

Digitized by Project Zikaron
Touro University-NY Libraries
www.zikaron.tourolib.org
2024

ISBN 83 - 908466 - 7 - 5

druk: OFFSETdruk, Cieszyn, tel./Fax 033 8510 455

Od Stanisławowa do Australii

Różniły się od wszystkich innych miast na świecie, ale wszystkie były w jakiś sposób do siebie podobne. Zwłaszcza te mniejsze miasteczka galicyjskie, położone na wschodnim krańcu Polski. Miały jakiś swoisty, wspólny koloryt, dzięki któremu wystarczyło znać dobrze jedno z nich, aby bezbłędnie orientować się we wszystkich pozostałych: ten sam czworokątny rynek, wymoszczony kocimi łbami, po których – sennie klęskając – przestępowały z nogi na nogę zabiedzone szkapy dorożkarskie. Te same kamieniczki, wąskie i ciemne, w których gnieździły się sklepiki, kramy raczej, z suknem i galanterią, tak samo umorusane dzieci, bawiące się na ulicznym bruku; jednakowo bezpańskie psy, wałęsające się po piwnicznych podwórkach i starzy Żydzi w wysłużonych czarnych chałatach. Szli wolno, z założonymi do tyłu rękoma; czasem przystawali na chwilę, żywo gestykulując, aby – kiedy zbliżało się południe – rozpłynąć się jakby, znikając w okolicznych bramach. Rynek pustoszał wtedy zupełnie, smutny i wymarły, i tylko wróble zbite w gromadę sejmikowały na kamiennym bruku.

Raz w tygodniu rynek zrzucał z siebie smutek jak wysłużoną codzienną kapotę; w targowe czwartki z okolicznych wsi ściągały na rynek furmanki, zapełniając go wielobarwnym zgiełkiem: tu klatki, pełne kaczek i gęsi, utuczonych, rozgęganych i wrzaskliwych, tam sterty dorodnych warzyw i kosze pachnących smakowicie owoców. Młode Hucułki w barwnych zapaskach potrząsały wiankami grzybów i czosnku, co niby korale kładły się na obfitych piersiach. Białe płaskanki sera leżały na zielonych liściach łopianu, pachniały poziomki w plecionych łubiankach, dźwięczały o bruk bańki ze śmietaną. Na wzorzystych chustach, wprost na ziemi, rozpościerały się drewniane łyżki i wypalane fujarki, jakieś ptaszki, ciosane z drewna i zdobne paciorkami szkatułki. A między tym ruchliwa ciżba ludzka, gwarna, szumiąca, niespokojna...

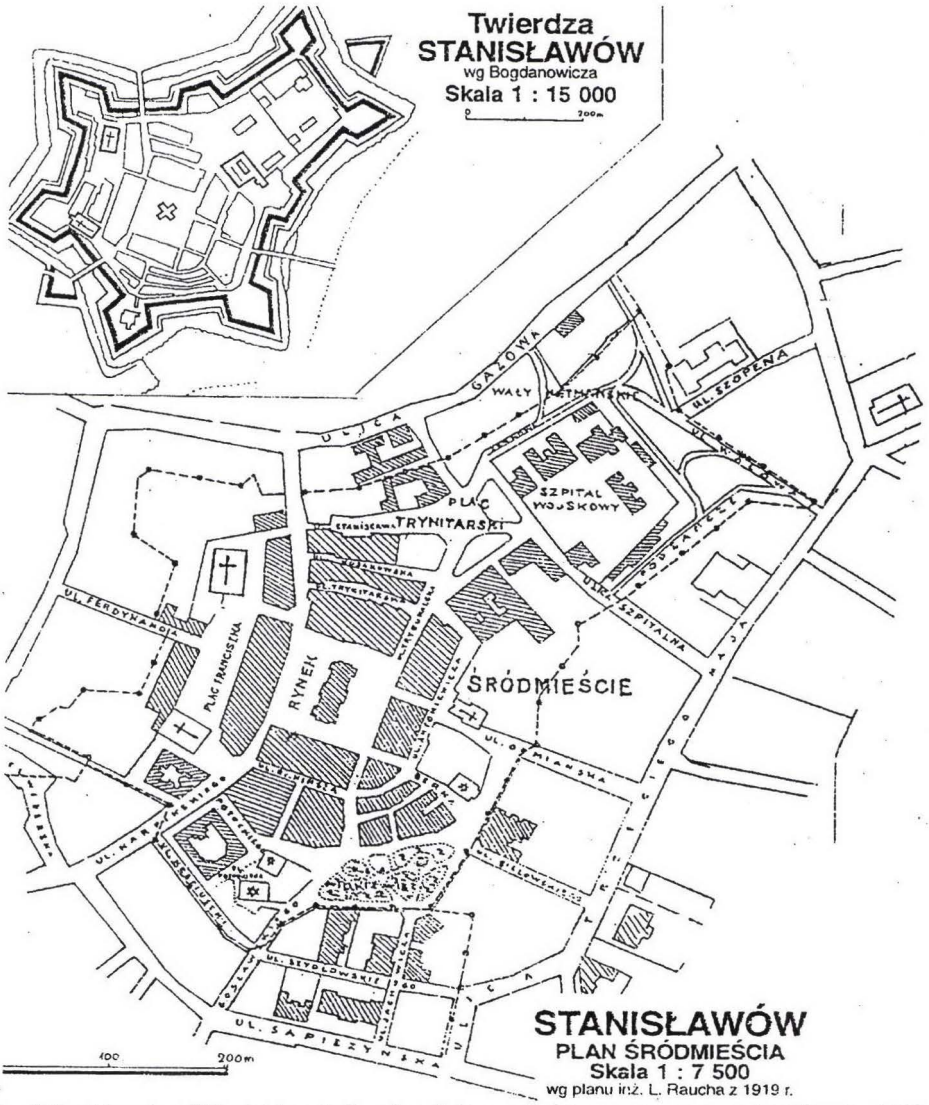
Ale już nazajutrz wszystko powracało do codziennego stanu: senni sprzedawcy znów tkwili bezczynnie za swymi kontuarami, apatyczni i znudzeni, a na pustym rynku trwał w bezruchu długi szereg dorożek z rozpiętymi ce-

ratowymi budami. Na umazanym kredą chodniku dzieci bawiły się w „klasy", a od czasu do czasu otwierało się jakieś okno i donośny głos nawoływał: „Szymek, Beniek – do domu!"

Wystarczyło natomiast tylko trochę oddalić się od starego rynku, aby znaleźć się jakby w innym mieście. Tu wąskie uliczki przeobrażały się w szerokie ulice, a kamienice rosły w górę i piękniały. Zdobiły je stylowe sztukaterie i kute poręcze balkonów, a wystawy sklepowe na parterze zapraszały do wnętrza bogatym asortymentem towarów. Kawiarnie i restauracje, parki i zieleńce, młodzież w gimnazjalnych mundurkach – wszystko to tworzyło jakby dwa odrębne światy, nie wiele mające ze sobą wspólnego. Ludzie z rynku trafiali tu rzadko i niechętnie, a mieszkańcy tej części miasta nie zachodzili tam prawie nigdy. Ci ze śródmieścia mieli swoje cukiernie, teatr, kina i deptak. Mieli też dwa parki, stadion sportowy i staw, zamieniany w zimie na ślizgawkę, rozświetlaną girlandami kolorowych żarówek. Ci z rynku mieli za to swoje krzesełka przed domami i poduszki w oknach, o które opierali się, spoglądając wieczorem na ulicę. Mieli też własne boisko na przedmieściu, gdzie w niedzielę rozgrywano spotkania futbolowe i gdzie nikt z obcych nigdy się nie zapuszczał.

Toteż jedyną okazją do zetknięcia się mieszkańców obu dzielnic było targowisko. Raz w tygodniu inżynierowa z Lipowej i żona blacharza z Halickiej spotykały się przy tej samej chłopskiej fumance, zgodnie targując cenę śmietany i jajek.

Tak więc obie dzielnice egzystowały obok siebie równolegle, nie przeszkadzając sobie nawzajem i za wiele o sobie nie wiedząc. Trwało to aż do momentu, kiedy mieszkańców obu dzielnic spotkało coś, co zrównało ich całkowicie i na zawsze.



Początki Stanisławowa sięgają XVII w. i wiążą się z rodem Potockich. Wtedy to hetman wielki koronny Stanisław Rewera Potocki powziął myśl założenia w swych dobrach miasta - twierdzy w miejscu wsi Zabłotów (Zabłotowo) między dwiema Bystrzycami - Sołotwińską i Nadwórniańską. Zamiar zrealizował jego syn Andrzej Potocki, nadając powstałemu ok. r.1656 miastu nazwę Stanisławów, na cześć rodzica (później również syna, poległego pod Wiedniem 12.IX 1683 r.). - Andrzej Potocki, kasztelan krakowski i hetman polowy koronny nie szczędził wysiłków aby doprowadzić miasto do rozkwitu. W r. 1662 Stanisławów otrzymał prawa miejskie magdeburskie od J. Kazimierza. Dzięki kolejnym przywilejom i zwolnieniom podatkowym, Stanisławów stał się szybko ważnym centrum handlowym, które już pod koniec XVII w. utrzymywało stosunki z Węgrami, Wołoszczyzną, Besarabią z jednej, a Wrocławiem. Gdańskiem, Monachium i Wiedniem z drugiej strony. Obwarowania, wybudowane w początkach istnienia miasta, uczyniły je głównym ośrodkiem obrony Zadniestrza. Za skuteczne odparcie najazdu tureckiego w 1676 r. Sejm Rzeczpospolitej zwolnił mieszkańców Stanisławowa ze wszystkich ceł za wyjątkiem koronnych. Opis obwarowań podaje „Słownik Geograficzny": Po założeniu miasta Jędrzej Potocki opasał je wałem ziemnym, murem i fosą. Dwie bramy: Halicka i Tysmienicka „z kamienia zbudowane". i furta przy kościele ormiańskim prowadziły do miasta. Fortyfikacje w początkach r. 1672 składały się, jak pisze Werdum, z sześciu regularnych baszt, z ziemi, z palisadami u dołu, zrobionymi z całych dębów. Główna linia bastyonów miała 750 stóp długości. Obwarowania miasta dokonał Franciszek Corassini z Awinionu, podpułkownik pieszej gwardyi woj. kijowskiego (Jędrzeja Potockiego). Później nad ufortyfikowaniem S. Gorliwie pracował Józef Potocki. hetman w. kor. kaszt. krakow. Mury znacznie rozszerzono i wzmocniono. Zamek zaopatrzono w zbrojownię i amunicyą. Po wojnie północnej do obwarowań zastosowano system Vauban'a. Zbudowano cztery nowe baszty Przemiany tej dokonano pod kierownictwem Stanisława Potockiego, późniejszego woj. poznań., który jako zdolny inżynier wojskowy, pracował przy budowie twierdz w Kamieńcu Podolskim i Częstochowie. Według „Geografii Galicyi" (r. 1786) dziedzice Stanisławowa wydali na obwarowanie miasta kilkanaście milionów złp. Mury były budowane Z czerwonych, nietynkowanych cegieł, a bramy z kamienia. Miały one kształt podłużny: zwężały się w stronie północnej ku zamkowi (dziś szpital wojskowy), a rozszerzały się ku południowi. ku bramie Tyśmienickiej albo Kamienieckiej. Bramy były u góry zaopatrzone wieżami. Wokół murów szły wały ziemne, a za wałami głębokie i szerokie fosy, przez które trzema długiemi mostami można się było dostać do dwóch bram fortecznych i furty „Ormiańskiej". Nad bramami znajdowały się z czarnego marmuru tablice, z wyrytemi na nich złotemi napisami.

(Alojzy Szarłowski, Słownik Geograficzny, tom XI,1890 r.)

SPIS ULIC

do planu Stanisławowa z 1936 r.

Abgarowicza B5
Adamczuka A7
Alberta A3
Antoniego św. D8
Antoniewicza
Anzyka C7

Bankowa D8
Barska D8
Batorego C3
Batorego boczna B2
Belwederska B3
Bema F3
Berka C4
Bielowskiego C5
Bilińskiego D3
Błękitna D6
Bożnicza C4
Browarniana A3

Chłodna A3
Chocimska B3
Chodkiewicza D7
Chrobrego Bolesława D12
Chryplińska E5
Chrzanowskiej Zofji A6
Cicha D7
Czackiego E6
Czarneckiego F6

Dąbrowskiego C6
Deckerta E6
Długosza C7
Dolna A1
Dwernickiego G8

Fabryczna E6
Farna B5
Fredry C4-5

Gillera D3
Głowackiego E2
Gosławskiego C4
Graniczna B2
Grottgera B6
Grunwaldzka B6

Hallera pl. C4
Hirscha Barona C4
Hoovera B2

Izakowicza E2

Jachowicza C4
Jadwigi Kr. E6
Jagiellońska C6
Jana św. C7
Jasińskiego A1
Jasna A7
Jozafata A3
Józefa św. D4

Kamińskiego C5
Karpińskiego C4
Kasprówka A5
Kilińskiego C6
Kingi św. D5
Kolejowa B7
Kolejowe boczna C7
Kołłątaja C4
Kołłątaja A5
Konarskiego B5
Konopnickiej D7
Kopernika B6
Kościuszki C4
Kossakowskiej B4
Koszarowa C5
Krasowskiego D-ra B5
Kraszewskiego C5
Krawiecka A2
Krechowieckich Ułanów E2
Kręta A2
Krótka C4
Krzywa C3
Kubisztala D-ra C3

Legionów F4
Lelewela B6
Lipowa E2
29. Listopada A2
Łazarza A2
Łokietka B6
Łukasińskiego E3

Mazarska B4
Matejki E3
Meissela C4
Mickiewicza pl. C4
Mikołaja św. C6
Młynarska A1
Monjuszki E3
Mościckiego B4
Mroczkowskiego E2

Na Błonie B8
Niecała D8
Niemcewicza C7

Okrętna M7
Olgi św. A6
Ormiańska BC4-5

Paderewskiego pl. B4
Pańska A6
Peleszi C6
Piotra i Pawła św. G8
Piramowicza D8
Piłsudskiego D7
Piłsudskiego pl. C4
Podzamcze E5
Pola E3
Poniatowskiego D8
Potockiego C4
Potockiego pl. C4
Prądzyńskiego Gen. F4
Prosta A3

Reja C6
Rettaua A3
Roguskiego C3
Romanowskiego B6
Rybia A1
Rynek B4
Rzemieślnicza A8

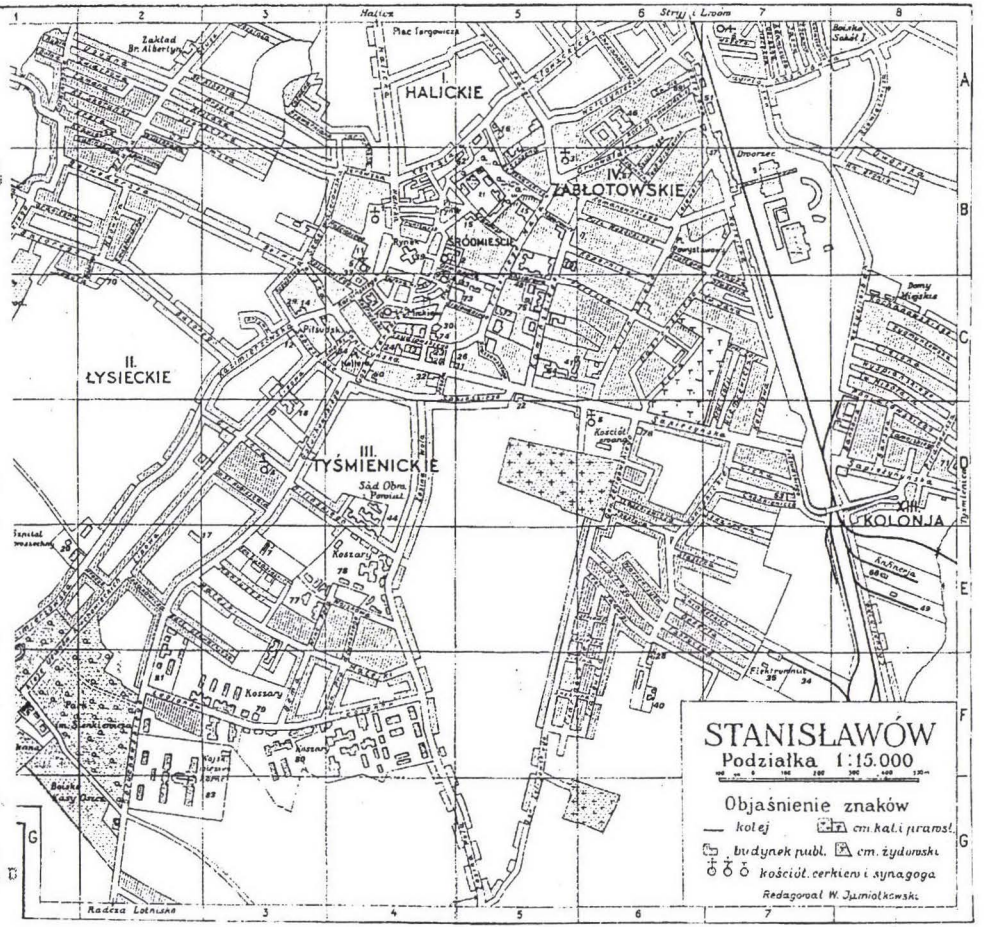
Sadownicka G8
Sapiężyńska C4
Sedelmajerowska B4
Skargi Piotra ks. M5
Skorupki ks. M2
Słoneczna M3
Słowackiego M6
Smagłowskiego B2
Smolki C4
Śniadeckich E7
Sobieskiego C5
Sokoła C2
Spokojna F5
Stanisława św. B4
Staszica E5
Supińskiego A2
Szajnochy B6
Szaszkiewicza D6
Szkarpowa E7
Szopena B5
Szujskiego B6
Szydłowskiego C4

Targowica pl. A4
Traugutta F6
Trzeciego Maja E5
Trybunalska B4
Trynitarska B4
Trynitarski pl. B4

Ugodna G6

Warneńczyka E6
Waska C4
Wesoła A7
Węglowa A7
Wielska A8
Wincentego św. B4
Wiśniowskiego B6
Wojskowa E4
Wyrobiego B6
Wyspiańskiego C8

Zamknięta B3
Zamkowa B5
Zamojskiego D8
Zarwańska B4
Zielna F6
Zielona C8
Zöcklera D6
Zofji Kr. C7
Zośina Wola D4
Związkowa A2
Zygmuntowska C8
Żeligowskiego Gen. D
Żółkiewskiego E6
Żurawia A7



Rozdział I

Urodziłam się dwudziestego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku w Stanisławowie w klinice dr Kozakowej przy ulicy Gołuchowskiego 23. Rodzice moi mieszkali na skrzyżowaniu dwóch głównych ulic miasta – Trzeciego Maja i Sapieżyńskiej. Kamienica zbudowana w końcu ubiegłego stulecia była budynkiem secesyjnym, bogato zdobionym kamiennymi rzeźbami. Parter zajmowały sklepy: cztery wystawy ze szkłem i porcelaną pana Snihurowicza i cukiernia pana Kramarczyka, reklamująca się ciastkami własnego wypieku „do spożycia na miejscu i na wynos".

Do mieszkania prowadziły dwa wejścia. Główne, frontowe, wykładane niebieską mozaiką miało balustradę, kutą w czarnym metalu i ozdobne gałki mosiężne na rzeźbionej poręczy. Drugie było wąskie, z krętymi schodami kuchennymi od podwórza . Schody prowadziły na ganek, na którym stały źle przykryte kubły do śmieci, wydzielające niemiły odór gnijących obierzyn i wietrzyły się czerwone pierzyny służących.

W dole, na kocich łbach niewielkiego podwórka rósł karłowaty krzak bzu, a czeladnicy z cukierni pana Kramarczyka kręcili lody. Biała masa w miedzianych kotłach pachniała wanilią i czekoladą, a piegowaci czeladnicy przekomarzali się z dziewczętami na ganku. „Hej, serdeńko" – wołał jeden z nich do dziobatej Maryni – „nie chcesz panna loda?" „Isz, ty" – chichotała Marynia, wychylając się przez poręcz – „nie widzieliście, jaki dobry!"

W tym właśnie domu w ostatnich latach ubiegłego stulecia mieszkali moi dziadkowie, a dziadek, dr Salomon Gelehrter, prowadził tam kancelarię adwokacką. Babcia Salomea urodziła mu pięcioro dzieci – czterech synów i moją Mamę Jankę.

Najstarszy syn Maniuś zginął na froncie podczas pierwszej wojny światowej. Pozostało po nim kilka wyblakłych fotografii w mundurze austriackiego oficera i paczka pożółkłych listów ze stemplem poczty polowej na kopertach. Na strychu poniewierało się jeszcze trochę narzędzi do majsterkowania – stara laubezga i parę arkuszy dykty.

Wiele lat później Mama nazwała swego pierworodnego jego imieniem. Chłopczyk rozwijał się dobrze do pierwszego roku życia. Potem wywiązała się jakaś infekcja i mały Maniuś zmarł na zapalenie opon mózgowych. *„Opłakany przez rodziców powiększył grono aniołków"* – głosił napis na cmentarnym nagrobku, a pamiątki rodzinne wzbogaciły się o parę niemowlęcych koszulek i pukiel jasnych włosków, przechowywanych przez Mamę w specjalnej szkatułce.

Od tego czasu Mama chorowała na serce.

Drugi brat Mamy, Gustek, ukończył studia medyczne. Podczas pierwszej wojny światowej odkomenderowany został do szpitala garnizonowego w południowej Styrii. Tam zakochał się w urodziwej pielęgniarce Vali i po zakończeniu wojny przywiózł ją do Stanisławowa. Wybór syna nie spotkał się z aprobatą dziadków; Gustek ożenił się z nią mimo wszystko, ale wyjechał ze Stanisławowa i przeniósł się do Tłumacza. Założył tam praktykę lekarską; tam też urodził się ich syn Jurek.

Małżeństwo nie było szczęśliwe. Gustek pisywał do siostry długie listy, po których Mama miała zaczerwienione oczy i cierpiała na długotrwałą migrenę. Z początkiem lat trzydziestych wezwał ją do siebie. Rozmawiali długo, a potem Gustek poprosił Mamę o szklankę wody. Kiedy wyszła z pokoju strzelił sobie w usta.

Od tego czasu poczta z Tłumacza przestała przychodzić. Vali sprowadziła z Grazu brata Alfreda i siostrę Dorli i razem z Jurkiem przeniosła się na stałe do Lwowa.

Listy wujka Gustka zostały związane wstążeczką i ułożone w górnej szufladzie komody, razem z innymi pamiątkami rodzinnymi, a Jurek czasem przyjeżdżał do Stanisławowa na wakacje.

Przez długi czas po śmierci wujka Gustka Mama często zamykała się w swoim pokoju i płakała.

Najmłodszy brat Józek wyjechał na studia do Wiednia. Spośród wszystkich braci właśnie on był Mamie najbliższy, toteż jego wyjazd odczuła najboleśniej.

Józio był pogodnego usposobienia i nie od tego, aby się zabawić, ale studia ukończył w terminie i z odznaczeniem. W przeddzień powrotu do kraju zaproponowano mu pracę w firmie eksportowej na Bałkanach. Propozycja była ciekawa i Józio – poradziwszy się listownie z rodziną – wyjechał do Rumunii. *„To tylko na trzy lata"* – zapewniał. Z trzech lat zrobiło się pięć, potem przybyły dalsze. Józio pisał niewiele, ale często posyłał swoje zdjęcia z licznych podróży po świecie – z Paryża, Lozanny i Florencji. Mama pisała do niego długie listy, ale odpo-

wiedzi przychodziły nieregularnie. W marcu 1932 roku wysłała mu list z wymówkami: „*Kochany Józiu! Już wiek cały od Twego ostatniego listu. Prócz lakonicznych kartek nic właściwie o Tobie nie wiemy. W czym pracujesz, czy te wyjazdy to z ramienia firmy, jak się masz i w ogóle. Gdzie i kiedy masz zamiar spędzić urlop? Nie potrzebuję Cię chyba upewniać jak bardzo bym się cieszyła, gdybyś chociaż na trochę przyjechał do nas!*"

Po jakimś czasie Józio zawiadomił siostrę o swoich zaręczynach. Tym razem napisał do niego Ojciec: „*Kochany Józiu! Z okazji Twoich zaręczyn składamy Ci życzenia wszelkiego szczęścia. Dałby Bóg, by Ci się wiodło, jak sobie tego sam życzysz! Nie masz pojęcia, jaka radość była u nas z powodu tej niespodzianki. Zaimprowizowaliśmy z tej okazji przyjęcie z tańcami... Narzeczonej rączki całuję. Byłoby naprawdę bardzo pięknie, gdybyście się oboje na lato wybrali do nas. Serdecznie przyłączam się do próśb Janki – Olek.*"

Od tego czasu Mama pisywała do Józia po niemiecku, aby listy były zrozumiałe również dla nieznanej bratowej Lili, której fotografia – młodej, uśmiechniętej kobiety – stanęła na toaletce w jej pokoju. Po jakimś czasie znowu powtórzyła swoje zaproszenie, ale Józio nigdy już do kraju nie powrócił.

Spośród czterech braci Mamy w Stanisławowie pozostał tylko średni, wujek Bronek. Ale, jak to się czasem zdarza, z tym właśnie bratem, a szczególnie z jego żoną, ciotką Helą, Mama rozumiała się najmniej. Ciotka Hela miała Rodzicom za złe zbytnią jak na owe czasy pobłażliwość w sprawach wychowawczych. Szczególnie krytycznie zapatrywała się na to, że zwracałam się do Ojca po imieniu, nazywając go po prostu Olesiem i że wbrew panującym wówczas zwyczajom nigdy i nikogo nie całowałam w rękę.

Wujostwo mieszkali przy ulicy Gillera. Mieli dwóch synów – starszego Waldka i mego rówieśnika Ludwisia. Kiedy przychodziliśmy do nich z wizytą dorośli zapraszani byli na kawę do salonu, a dzieci nieodmiennie posyłano na świeże powietrze – do ogrodu. Na podwieczorek, przed którym trzeba było pokazać czysto umyte ręce, dzieci dostawały herbatę z mlekiem, której nienawidziłam i kromkę razowego chleba z masłem, gęsto posypaną trębulką.[1)]

Ojciec mój, dr Oskar Wilder urodził się dwunastego maja tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku w Tarnopolu. Był najmłodszym z trojga dzieci Zygmunta i Amalii z domu Günsberg; siostra Łucja była starsza od niego o jedenaście, a brat Ludwik o dziewięć lat.

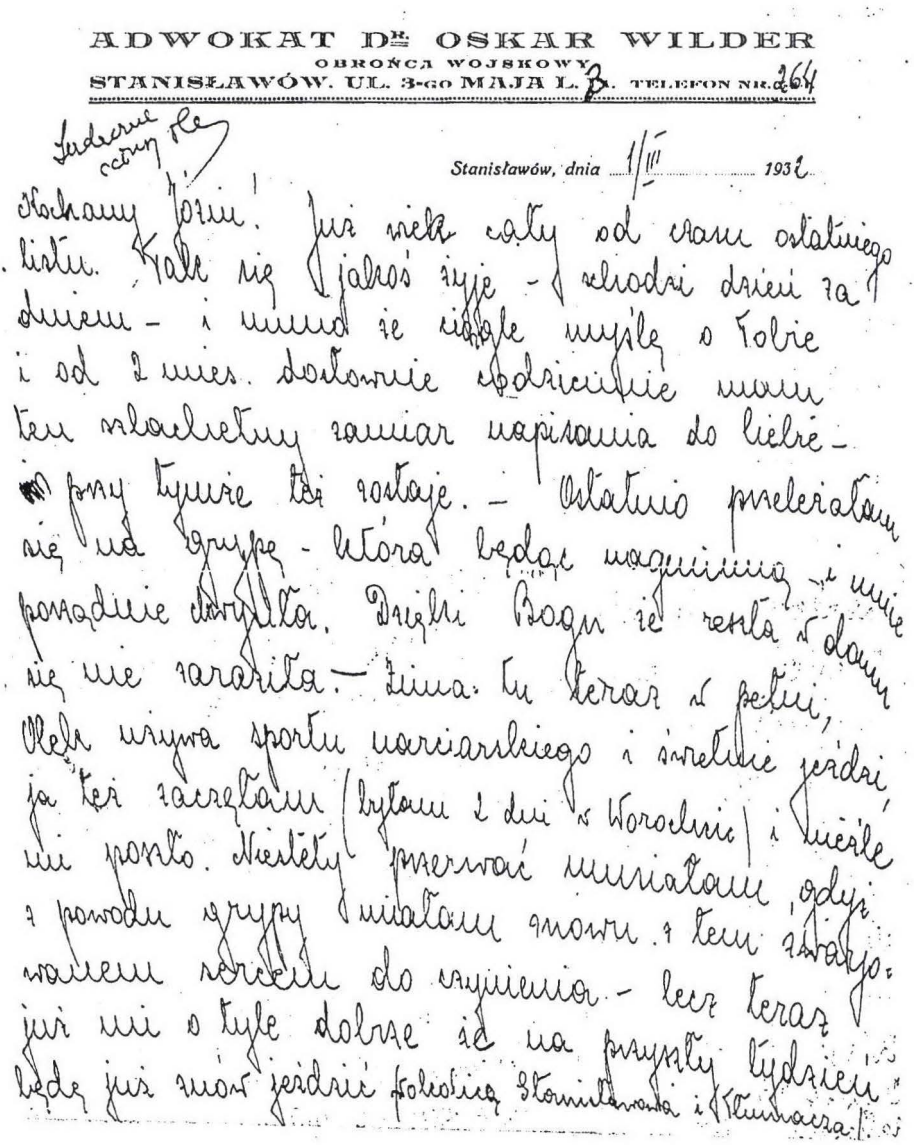
ADWOKAT Dr. OSKAR WILDER
OBROŃCA WOJSKOWY
STANISŁAWÓW, UL. 3-go MAJA L. 8. TELEFON NR. 264

Stanisławów, dnia 22/9 193

Kochany Józiu! Mimo mego obszernego listu nie mamy dotąd żadnej odpowiedzi od ciebie! I jaremcza wróciłam 11go września a siedziałabym tam jeszcze dłużej, gdyby nie ten list który i tak dość długo był sam od czasu mojej! Dnie polepsze w Jar. nadzwyczajnie słuszne, a mnie też dobrałam niepotrzebnie parę kilo!

Ciekawam się tak na twój pobyt a tymczasem nic z tego. - Jak ci się wiedzie teraz? czy masz posadę zadowolony? czy płacą dobrze? dlaczego jesteś tak cicho i nie napiszesz dokładnie o sobie - wystarczy tylko 2 x do roku „serd. pozdrowienia". Wiem przecież że mnie to interesuje a nie widząc się i nie pisząc do ciebie tracimy kontakt. — U nas dzięki Bogu dobrze — a

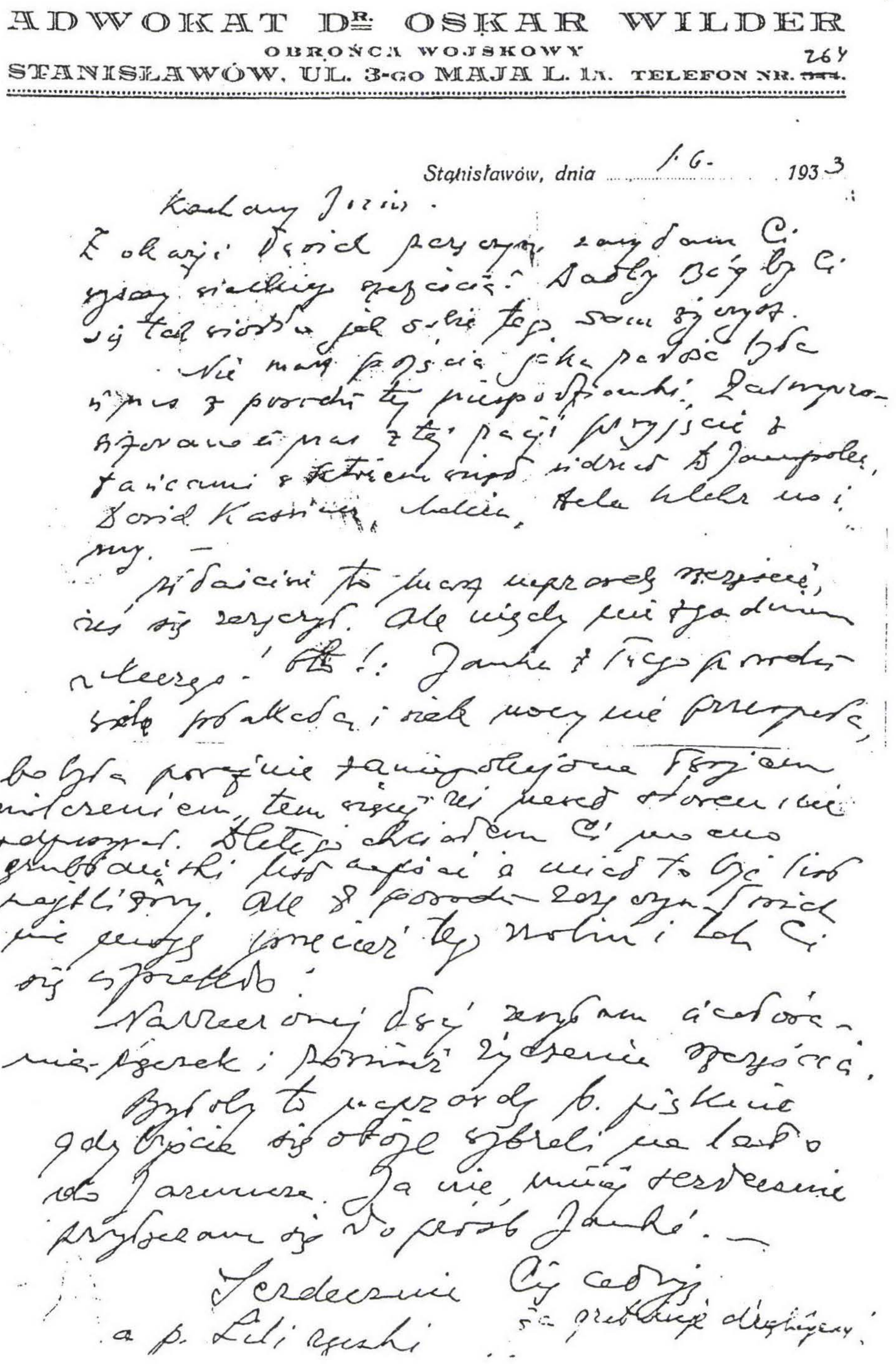
List Mamy do brata Józka z 22 września 1931 roku


ADWOKAT Dr OSKAR WILDER
OBROŃCA WOJSKOWY
STANISŁAWÓW. UL. 3-go MAJA L. 2. TELEFON NR. 264

Stanisławów, dnia 1/III 1932

Kochany Józiu. Już wiele cały od czasu ostatniego listu. Tak się jakoś żyje - z chwili dzień za dniem - i umiem że ciągle myślę o Tobie i od 2 mies. dostawnie odkrycie mam ten właściwy zamiar napisania do Ciebie - ale tydzień ten zostaje. - Ostatnio przeleciałam się na grypę - która będąc nagminną - i mnie powaliła. Dzięki Bogu że zeszła z dawnie się nie zarabiła. — Zima. Tu teraz w pełni, Cała uwaga sportu narciarskiego i świetnie jeżdżą, ja też zaczęłam (byłam 2 dni w Worochcie) i bardzo mi posło. Niestety przerwać musiałam, odyż z powodu grypy nabiłam mowy. z tem zabrakło: wałem zabrać do czytania - lecz teraz już mi o tyle dobrze że na przyszły tydzień będę już znów jeździć kolejką Stanisławowa i Kniahinina.

List Mamy do Józka z 1 marca 1932 roku



ADWOKAT Dr. OSKAR WILDER
OBROŃCA WOJSKOWY
STANISŁAWÓW, UL. 3-GO MAJA L. 1A. TELEFON NR. 264

Stanisławów, dnia 1.6. 1933

Kochany Józiu.
Z okazji Twoich [illegible], [illegible] Ci [illegible] wszelkiego szczęścia. Dałby Bóg by Ci się tak wiodło jak sobie tego sam życzysz.
Nie mogę [illegible] jaka radość była [illegible] z powodu tej niespodzianki. [illegible] nas z tej racji przyjście z [illegible] [illegible] Jampolec, [illegible] Kasiu, Malcia, Adela [illegible] my. —
Widzicie to masz najprawdziwsze szczęście, że się [illegible]. Ale nigdy nie [illegible] [illegible]! Janka z Twego powodu [illegible] płakała i całe noce nie przespała, bo była porządnie zaniepokojona Twojem milczeniem, tem więcej że [illegible] nie odpisywał. Dlatego chciałem Ci [illegible] list napisać a [illegible] najbliższy. Ale z powodu [illegible] nie [illegible] tej [illegible] i [illegible] Ci się spóźniło.
Najserdeczniej Ci życzę [illegible] i [illegible] życzenia szczęścia.
Byłoby to naprawdę b. pięknie gdyby Ojciec się oboje zjechali na lato do Jaremcza. Ja nie mogę serdecznie przyłączam się do prośb Janki. —
Serdecznie Cię całuję
[illegible] dziękuję
a p. Lili [illegible]

List Ojca do Józka z z 1 czerwca 1933 roku

Babcia Amalia wyszła za mąż za dziadka Zygmunta wbrew woli swojej rodziny, która uważała to małżeństwo za mezalians. Urodziła się we Wiedniu jako córka austriackiego lekarza wojskowego. Matka jej zmarła w połogu, a niedługo potem ojciec, skaleczywszy się podczas jakiejś sekcji zwłok, zmarł w wyniku zakażenia krwi w dniu swoich czterdziestych urodzin.

Wychowaniem dziewczynki zajęli się dziadkowie. Dziadek Günsberg był bankierem, który położył pewne zasługi dla rodziny panującej; ta z kolei odwdzięczyła mu się nadaniem tytułu szlacheckiego. Mała Amalia rosła w dobrobycie i była rozpieszczana przed dziadków; kiedy dorosła odebrała bardzo staranne wychowanie, uczyła się gry na fortepianie i biegle mówiła po francusku.

Dziadek Zygmunt był jednym z dziesięciorga dzieci arendarza spod Brodów, który własnoręcznie uprawiał niewielki kawałek ziemi, a w wolnych chwilach zajmował się pisaniem podań do władz dla niepiśmiennych chłopów. Codziennie wypijał ćwiartkę wódki do obiadu, co jakoby pomogło mu dożyć sędziwego wieku stu pięciu lat. Prababcia zajmowała się gospodarstwem i wychowaniem siedmiorga pozostałych przy życiu dzieci. Rodzeństwo dziadka – pięć sióstr i brat – rozjechało się po świecie. Brat ożenił się z Rusinką i osiadł w Pradze. Dwie siostry wyszły za mąż do Niemiec, a syn jednej z nich był ponoć utalentowanym malarzem, zamieszkałym w Paryżu.

Dziadka Zygmunta także ciągnęło w świat. Kiedy miał dwadzieścia dwa lata zaciągnął się do wojska austriackiego na umowny termin czternastu lat. Służba wojskowa podobała mu się; garnizon często zmieniał miejsce postoju, poznawał nowe miejsca i nowych ludzi, i podbijał serca wielu kobiet.

Pewnego dnia Amalia wraz z babką siedziała na werandzie, spoglądając na przejeżdżający ulicą pułk kawalerii. Na czele jednego z oddziałów jechał przystojny feldfebel. Zobaczywszy młodą dziewczynę z fantazją wspiął konia, wjechał po schodkach na werandę i pokłonił się obu paniom.

Niedługo potem odbył się ich ślub.

Kiedy garnizon stacjonował w Tarnopolu urodziła im się córeczka Łucja, i dziadek bezboleśnie przeszedł do cywila. Tam rozpoczęła się jego kariera w urzędniczej służbie państwowej. Kiedy mieli troje dzieci przenieśli się do Lwowa; z czasem dziadek został dyrektorem Państwowego Monopolu Tytoniowego na Galicję.

Wojskowe zamiłowania dziadka odziedziczyli później jego synowie. Starszy Ludwik dosłużył się rangi kapitana w wojsku austriackim. Dwudziestoletni Oleś zaciągnął się do Wojska Polskiego i jako dowódca plutonu brał udział w walkach z bolszewikami w 1919 roku[2)].

Najstarsza z trojga dzieci, Łucja, wyrosła na dorodną pannę, toteż przez dom dziadków przewijał się długi sznur adoratorów, starających się o jej rękę. Łucja była wybredna i wcale nie śpieszyła się do małżeństwa. Kiedy dokonała wreszcie wyboru wyszła za mąż za zdolnego prawnika, dr Raula Jampolera. Był on między innymi autorem dwóch ciekawych rozpraw polemicznych na temat sądownictwa, powstałych pod wpływem modnej wówczas powieści Jakuba Wassermana „Sprawa Mauriziusa". Rozprawki te ukazały się w druku pod tytułem „Ja tego nie rozumiem" i „Opamiętajcie się panowie"; były napisane ze swadą i temperamentem i zostały pozytywnie przyjęte przez krytyków.

Wujek Raul, podobnie jak wujek Gustek również osiedlił się w Tłumaczu, gdzie prowadził kancelarię adwokacką.

Ciotka Łucja zaprzyjaźniła się tam z żoną wujka Gustka; obie panie prowadziły ożywione życie towarzyskie i często się odwiedzały.

Starszy brat Ojca, Ludwik, ożenił się z panną Serafiną (Stefą) Klaften ze Stanisławowa poczym oboje zamieszkali w Czortkowie, gdzie Ludwik pełnił funkcję powiatowego lekarza weterynarii.

Ojciec studiował prawo. Jako student często spędzał wakacje u siostry w Tłumaczu. Podczas którejś z wizyt Łucja przedstawiła mu jego przyszłą żonę Jankę. Pobrali się następnego roku w Stanisławowie.

Wbrew nadziejom dziadka Gelehrtera żaden z jego synów nie obrał sobie kariery prawniczej. Kiedy więc dziadek zmarł w 1924 roku, niecały roku po śmierci babci Salomei, Ojciec przejął po teściu kancelarię wraz z jej niezbyt liczną klientelą: trochę Rusinów z okolicznych wsi i małomiasteczkową biedotę żydowską.

Z czasem Ojciec złożył dodatkowe egzaminy, które do tytułu doktora praw dodały mu tytuł obrońcy w sprawach wojskowych i karnych, a na bramie domu zawisła nowa tabliczka informacyjna z jego nazwiskiem i pełnym tytułem.

Tymczasem dziadek Zygmunt i babcia Amalia mieli już czworo wnuków: dwóch synów ciotki Łucji i dwoje dzieci wujka Ludwika. Wobec słabego zdrowia Mamy wydawało się, że po śmierci Maniusia Rodzice pozostaną bezdzietni. Kiedy w grudniu tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku do Lwowa dotarła wiadomość o narodzinach najmłodszej wnuczki uradowany dziadek natychmiast przyjechał do Stanisławowa i prosto z dworca udał się do sanatorium. Wszedł do pokoju Mamy, kiedy po raz pierwszy pokazano jej noworodka. Mama spojrzała z niedowierzaniem na pomarszczoną buzię dziecka pod grzywą zmierzwionych ciemnych włosów i wykrzyknęła: „Boże, jaka ona brzydka!"

Dziadek długo nie mógł tego Mamie wybaczyć, a mała Irusia pozostała jego ukochaną wnuczką aż do śmierci, która nastąpiła w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku.

Po śmierci męża babci Amalii pozostała we Lwowie kamienica przy ulicy Małej 6, obok kościoła św. Antoniego na Łyczakowie. Była to ślepa uliczka, zakończona klasztornym murem, za którym spacerowały zakonnice w czarnych habitach, widoczne z okien babcinej sypialni. Kamienica była trzypiętrowa z oficyną, a lokatorzy z szacunkiem nazywali babcię „panią gospodynią".

[1] szczypiorek

[2] Lwowski Instytut Wydawniczy, lipiec 1939 r. (Żydzi Bojownicy o Niepodległość Polski", str. 543)



Babcia Salomea Gelehrter



Dziadek Salomon Gelehrter



Moja Mama Janka w 1935 r.



Mama w 1937 r.



Dziadek Zygmunt Wilder (1927)



Mój Ojciec Oleś (1928)



Ojciec w 1936 r.



Mój braciszek Maniuś (1926 r.)



Rodzice we Lwowie (1935 r.)



Ojciec z Tuśkiem i Lolkiem (1936 r.)

Rozdział 2

Po dwóch tygodniach pobytu w sanatorium Rodzice zabrali mnie do domu. Było to obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze, z oknami wychodzącymi z jednej strony na Trzeciego Maja, z drugiej na ulicę Szydłowskiego. Pokoje łączyły się ze sobą w amfiladzie, wysokie, z gipsowymi amorkami na suficie. Amorki były tłuściutkie i w pulchnych rączkach trzymały rogi obfitości z których wysypywały się girlandy gipsowych kwiatów.

Część mieszkalna składała się z pięciu pokoi; w dalszych dwóch mieściła się kancelaria. W gabinecie Ojca stały skórzane fotele, rzeźbione biurko i szafa biblioteczna, wypełniona rzędami zielono oprawnych książek. Obok, w poczekalni siadywali chłopi w przepoconych kożuchach i palili cuchnące machorką papierosy. Pod oknem, przy maszynie do pisania siedziała mondantka[1], panna Pepa, która tak szybko przebierała palcami po klawiaturze, że chłopi spoglądali na nią z podziwem i kiwając głowami mówili: „Podywysia, jak szwydko pysze!"[2]

Ojciec uwielbiał sport; w zimie jeździł na nartach, w lecie uprawiał futbol, najpierw jako zawodnik, w późniejszych latach jako sędzia piłkarski. Przez wiele lat był przewodnikiem górskim i sędzią okręgowym Polskiego Związku Narciarskiego.[3] Kiedy miałam trzy lata nauczył mnie jeździć na nartach. Kiedyś zabrał mnie na zawody narciarskie do pobliskiego Ciężowa. W gazecie ukazała się potem fotografia małej dziewczynki z podpisem: „Ogólny podziw wśród licznie zgromadzonych widzów budziła najmłodsza narciarka Stanisławowa, pięcioletnia Irena W.", a wycinek tej gazety Mama z dumą posłała wujkowi Józkowi do Rumunii. Kiedy miałam sześć lat jeździłam już z Ojcem na nartach w Jaremczu i Worochcie.

Ojciec nauczył mnie także jeździć na łyżwach. Ślizgawka mieściła się za parkiem Romaszkana. Właściwie były to dwa parki – „stary" po lewej stronie i „nowy" – po prawej. Ślizgawka nazywała się „Sielanka"; składała się z kilku zamarzających w zimie stawów, a największe dwa były oczyszczane i polewane wodą. Ślizgawkę oświetlały setki różnokolorowych żarówek. Buty i łyżwy wypożyczało się w ogrzewanej szatni, a w bufecie można było kupić herbatę i parówki. Kto nie czuł się zbyt pewnie na łyżwach wożony był po lodzie na sankach.

Mama rzadko brała udział w naszych eskapadach. W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku pisała w liście do Józka: „*...Ostatnio przeleżałam na grypę, która będąc nagminna porządnie mnie chwyciła. Dzięki Bogu że reszta w domu się nie zaraziła... Zima tu teraz w pełni. Olek używa*

sportu narciarskiego i świetnie jeździ. Ja też zaczęłam (byłam dwa dni w Worochcie i nieźle mi poszło. Niestety przerwać musiałam, gdyż z powodu grypy miałam znowu z tym zwariowanym sercem do czynienia. Teraz mi już na tyle dobrze, że na przyszły tydzień chyba znowu będę jeździć (w okolicach Stanisławowa i Tłumacza). Cudny to sport.!"

Ojciec często chodził do kawiarni. W południe, kiedy w kancelarii nie było klientów, albo kiedy mogła ich załatwić sama panna Pepa, Ojciec zdejmował kapelusz z wieszaka, i zastrzegając się, że jak tylko będzie potrzebny żeby zaraz po niego posłać – wychodził na kawę. Panna Pepa kiwała wówczas poważnie głową, chociaż wiadomo było, że posyłać nie ma kogo, bo służąca Marynia musi gotować obiad i pilnować mięsa, aby się nie przypaliło. A kiedy założono nam telefon, czarny z metalową rączką do kręcenia, numer dwieście sześćdziesiąt cztery (*„Oleś ma już własny telefon w biurze, do przenoszenia na noc do sypialni"* – pochwaliła się Mama Józkowi). Ojciec zwykł był mawiać: *„Więc jak będę potrzebny, to proszę po mnie zadzwonić."* Panna Pepa i teraz kiwała potakująco głową, uśmiechając się tylko leciutko kącikiem ust, wiedziała bowiem równie dobrze jak Ojciec, że w cukierni pana Krowickiego telefonu dotąd jeszcze nie założono.

Czasem Ojciec zabierał mnie ze sobą. Swoisty zapach kawy i cygar unosił się w powietrzu, drażnił podniebienie. Kiedy Ojciec wchodził na salę, panowie siedzący przy marmurowych stolikach unosili się lekko z miejsc, mówiąc: „moje uszanowanie panu mecenasowi", albo „sługa uniżony pana mecenasa". W sąsiedniej salce panowie grali w bilard lub czytali gazety. Niektórzy podchodzili do naszego stolika, zamieniali z Ojcem kilka słów, i głaskając mnie po głowie lekko szczypali w policzki i mówili: „ho, ho, jaka to już dorosła panna ta mała Wilderówna!"

Z Mamą spędzałyśmy rok – rocznie kilka miesięcy w górach. Górskie powietrze było mi zalecane przez domowego lekarza, doktora Oberharda, ponieważ od wczesnego dzieciństwa dokuczały mi gruczoły.

Tak więc co roku wyjeżdżałyśmy do Jaremcza.

Położone u podnóża Karpat a oddalone o trzydzieści kilometrów od Stanisławowa Jaremcze było jedną z najbardziej malowniczych miejscowości letniskowych Galicji. Leżało w głębokim jarze na zachodnim brzegu Prutu i nad jego dopływem Żonką. Okoliczne góry, porośnięte gęstymi iglastymi lasami zasłaniały miejscowość od wiatrów, więc Jaremcze miało łagodny podgórski klimat, ceniony przez kuracjuszy. Szczególną atrakcją były tu kąpiele w Prucie, który spadał i rozpryskiwał się kaskadami z olbrzymich głazów, wypełniających kamienne łożysko rzeki.



Oleś na nartach (Worochta 1934 r.)

bek Stanisław (Zakopane), Zylberman Leopold (Warsz... wa), Żarlikowski Kazimierz (Krynica Zdrój), Żytk... wicz Władysław (Warszawa).

III. SĘDZIOWIE OKRĘGOWI:

I. Warszawski Okręg PZN.:

(W = Warszawa; inne miejscowości podane są w pełnym brzmieniu)

Por. Bidas Michał (Brześć), mgr Bojcun Władysław (Poznań), Chowańczak Jan (W), płk. Czapiński Emil (Lublin), por. Czarnecki Stefan (W), Ciszek Józef (Lublin), inż. Dąmbski Alojzy Tomasz (W), Drewnowski Jan (W), inż. Dudryk Maksymilian (W), kpt. Fijałkowski Stefan (Modlin), płk. Fonferko Tadeusz (W), rtm. Goszczyca Stanisław (Leszno), płk. Grodzicki Mieczysław (W), sierż. Heidrych Teodor (Lublin), dr Jabłczyńska-Jędrzejewska Hanna (W), por. Kaja Tadeusz (Lublin), por. Kaniowski Władysław (Poznań), por. Kasprzyk Alfred (W), Krzeczkowski Bronisław (W), Lebenbaum Gusta (Łódź), inż. Lekszycki Józef (W), płk. dypl. Lichtarowicz Ludwik (W), mjr. Lipiński Wacław (W), kpt. Lubicz-Nycz Leszek (Poznań), Maciak Stanisław (Łódź), Malinowski Stanisław (W), Miecznikowski Jerzy (Poznań), Miłobędzki Adam (W), Morsztynkiewicz Ludwik (W), por. Myśliński Piotr (Lublin), Piechota Jan (Lublin), inż. Rothert Bolesław (W), mjr Sabatowski Tadeusz (Lublin), por. Sikorski Józef (Wierzbnik), Składanowski Jan (W), Składowa Hilda (W), Skotnicki Franciszek (W), Smoluchowski Wilhelm (Natalin), Szkółnik Mieczysław (W), Trzepałko Franciszek (W), inż. Weker Wacław (W), Węglorz Emil (Poznań), Winiarski Czesław (W), dr Zabawska-Domosławska (W), Zapolska Zofia (W).

II. Wileński Okręg PZN.:

Grabowiecki Jan (Wilno), Nowicki Mieczysław (Wilno), Papieski Hipolit (Słonim) por. Pawłowicz Józef (Wilno), por. Prus Stanisław Maksymilian (Głębokie), Ruszczycki Czesław (Święciany), Szwykowski Ludwik (Wilno), por. Więckowski Stanisław (Dukszty), por. Wilkojć Jan Józef (Porubanek).

III. Lwowski Okręg PZN.:

(L = Lwów; inne miejscowości podane są w pełnym brzmieniu)

Por. Antonów Jan (Kołomyja), Bandrowski Zbigniew (L), por. Baszniak Edward (L), Bernaś Bronisław (L), por. Bysko Stanisław (Dolina), kpt. Cehak Leon (L), por. Chełchowski Piotr (Stanisławów), Cybyk Aleksander (Tarnopol), por. Fedorowicz Kazimierz (Czortków), Gąsior Antoni (L), inż. Głodkiewicz Mieczysław (L), por. Halka Władysław (Stryj), Horowitz Oswald (L), kpt. Jarosiewicz Marian (L), por. Jaworski Zbigniew (Stanisławów), kpt. dypl. Karnibad Stanisław (L), Kozło Włodzimierz (Worochta), Kubal Michał (L), Kugler Emil (L), mgr Kulpiński Zbigniew (Brzeżany), Kupniewski Edmund (Stryj), Lubieniecki Stanisław (L), Lach Witold (L), Machniewicz Marian (Stanisławów), Maciejewicz Stefan (L), mgr Madfes Karol (L), Meisels Henryk (L), por. Miś Bartłomiej (L), Münnich Irena (Czortków), Owiński Tadeusz (L), Prugar Bruno (L), Puchalski Roman dr, Radzyńkiewicz Ryszard (L), inż. Rutkowski Mieczysław (Tarnopol), inż. Rzepecki Jerzy (L), kpt. Schubert Józef (Stanisławów), Sokal Stanisław (L), Stasnowski Jerzy (L), Szczepanowski Jan (L), Szyszyński Stefan (L), Topercer Jan (L), inż. Walczak Janusz (L), dr Wilder Oskar (Stanisławów), por. Wronka Mieczysław (L), kpt. Zaremba Stanisław (L), inż. Złotkowski Zdzisław (L).

IV. Podhalański okręg P.Z.N.:

(Z = Zakopane; inne miejscowości podane są w pełnym brzmieniu)

Bąbała Władysław (Z), Cybulski Jan (Z), Czech Władysław (Z), Dyrek Ferdynand (Z), Firsoff Włodzimierz (Z), Frey Salomon (Nowy Targ), inż. Horowitz Dawid (Z), Jabłoński Michał Herbert (Z), Joniec Marian (Z), Kobierski Adam (Bukowina Tatrzańska), Kołakowski Zdzisław (Z), Lorek Karol (Z), Michalski Stanisław (Z), Mieloch Mieczysław (Z), Mietelski Władysław (Z), Motyka Stanisław (Z), Miśkiewicz Bronisław (Z), Ochotnicki Edward (Z), Piwok Leonard (Z), Piwok Maurycy (Z), Rubinowski Rudolf (Poronin), Singer Jakub (Z), Szczypiński Jan Kanty (Z), Wechsberger Szymon (Z), dr Werner Artur Karol (Szczawnica), Woroniecki Adam (Szczawnica).

Z kalendarza Narciarskiego 1936/1937

2 87 Unger Ludwik, dr., woj. inspektor Starostwa, mieszk., Orunwaldzka 2.
3 29 Urman, cegielnia, Zosina Wola 83.
1 58 Urman Adolf, cegielnia, Goluchowskiego 28.
2 01 Urman Cyla, Zosina Wola 39.
1 90 Urman Dawid, inż., Sobieskiego.
8 20 Urman I., dr. med., specjalista chor. kob. i akuszer, Sobieskiego 16.
7 40 Urząd parafjalny gr.-katolicki, pl. Paderewskiego 22, I p.
1 46 Urząd Ruchu Kolejowego, dworzec.
6 84 Urząd Skarbowy Akcyz i Monopolów Państw., 3-go Maja 31.
30 Urząd Skarbowy I (Działy 1—5 i 7).
3 42 Urząd Skarbowy II, 3-go Maja 31.

V

4 39 Vogel Chalm, kupiec, Lipowa 21.
2 50 Vogel Jona, inż. budowl. i zaprzysiężony znawca sądowy, Kraspwskiego 9.
3 09 Vogel Józef, dr., specjalista chorób wewn. i dziecięcych, Belwederska 5.
7 19 Vogel Rudolf, notarjusz, Sobieskiego 10.

W

3 11 Wallach Eljasz, mieszkanie, Kollątaja.
4 38 Weil Samuel, kupiec, Kilińskiego 24.
3 19 Weingarten Emanuel, inż., ceg. „Patrja", 3-go Maja 35.
5 65 Weingarten Karol, dr., adwokat i obrońca wojskowy, Goluchowskiego 30.
6 28 Weingarten Lazar, inż., 3-go Maja 37/1.
7 35 Weingarten Oskar, dr., adwokat, mieszk. pryw., Kazimierzowska 9.
4 56 Weisenfreund Izak, kupiec, Matejki 13.
62 Werth Bracia, eksport trzody chlewnej, Kolejowa 11.
7 46 Wiesenthal Dawid, dr., lekarz, Karpińskiego 10.
2 64 Wilder Oskar, dr., adwokat i obrońca w sprawach karnych i obrońca wojskowy, 3-go Maja 3/I.
4 80 Will Sonia, siostra, Pierackiego 12.
1 69 Windreych Henryk, wspólwłaśc. f-my Windreych i Zang, 3-go Maja 33.
4 60 Wittels Bernard, Sobieskiego 6.
1 94 Wittels Juljusz, dr., dyr. szpitala żydowskiego, Goluchowskiego 8.
5 66 Więzienie przy Sądzie Okręg., B. Chrobrego 4.
3 18 Wohl Bracia Izrael i Markus, skład wapna, gipsu i cementu, Kollątaja 20.
3 32 Wojewódzka Konstanty, specj. chorób kob., położnik i operator, Pierackiego 3.
7 29 Wojewódzki Okręg L. O. P. P. Stanisławów (Dyr. Kolej., parter, drzwi Nr. 11 i 13), Orunwaldzka.
Wojewódzki Urząd, Karpińskiego 7.
1 72 — centrala telefoniczna, urzędnik dyżurny
1 02 —
1 73 — sekretarjat wojewody
4 25 — biuro wojewody
6 20 — biuro wicewojewody
1 72 — (dod.) biuro naczelnika Wydz. Bezp.
— „ Wydział ogólny
— „ „ administracyjny
— „ „ samorządowy
— „ „ wojskowy
— „ „ pracy, opieki i zdrowia
— „ „ komunik.-budowl.
— „ Oddział budżetowo - gospodarczy
1 43 — Wojewódzki Urząd Rozjemczy, Bilińskiego 11.
5 05 — Wojewódzkie biuro dla spraw finansowo-rolnych, Bilińskiego 11.

WOJSKO

1 55 Komenda Garnizonu, Kamińskiego 19.
2 75 Wojskowy Sąd Rejonowy, Kamińskiego 19.
1 56 D-two 11 Dywizji Piechoty, Kamińskiego 19.
— (dod.) szef Sztabu 11 Dyw. Piechoty, Kamińskiego 19.
37 Dowódca 11 Dyw. Piechoty, Kamińskiego 19.
— (dod.) Komendant Garnizonu, gen. bryg. Łukowski, mieszk., Kamińskiego 19.
2 38 Kompanja telegraficzna 11 Dyw. Piechoty, Wincentego Pola.
1 14 48 pułk piechoty, Goluchowskiego 119.
— (dod.) adjutant 48 p. p. strz. kres.
1 53 I i III baon 48 pułku piech., 3 Maja.
2 69 D-two 6 Samodz. Bryg. Kaw., Kamińskiego 19.
— (dod.) Szef Sztabu 6 Sam. Bryg. Kaw., Kamińskiego 19.
4 D-ca 6 Sam. Bryg. Kaw., płk. dypl. Kleeberg, mieszk. pryw., Kamińskiego 19.
8 6 Pułk Ułanów Kanlowskich, Legjonów.
— (dod.) D-ca 6 p. ułanów, Legjonów.
— (dod.) kwatermistrz 6 p. ułanów, Legjonów.
19 6 Dywizjon art. konnej, Zosina Wola.
— (dod.) D-ca 6 d. a. k.
2 05 11 pułk art. lekkiej, Bilińskiego.
— (dod.) D-ca 11 p. a. l.
6 48 S/Z 8 pułku ułanów, Goluchowskiego.
7 07 7 pluton radjotelegraficzny, Goluchowskiego.
17 Delegat Sztabu Gł. przy Dyr. O. K. P., Orunwaldzka.
67 Pluton Żandarmerji, pl. Trynitarski.
6 52 P. K. U. Stanisławów, pl. Trynitarski.
4 03 Ekspozytura Samodz. Ref. Inf., Kamińskiego 19.
4 21 Garnizonowa Izba Chorych, pl. Trynitarski.
1 71 Składnica Mat. Int., Zeligowskiego.
4 14 Filja Pom. Skł. Uzbr. 6, w Jamnicy.

7 53 Wolański Jan, dr., adw., Św. Józefa 1.
48 Wolin I Schreier, tow. tekstylne, Mickiewicza 6.
3 08 Wuhrman Wolf, skład żelaza, 3 Maja 4.
1 15 Wydział Powiatowy, pl. Mickiewicza 4.
1 08 Wytwórnia masarska Jana Munika, przedtem Łukasz Torończak, Rynek.
1 20 Wytwórnia Wódek Państwowych.

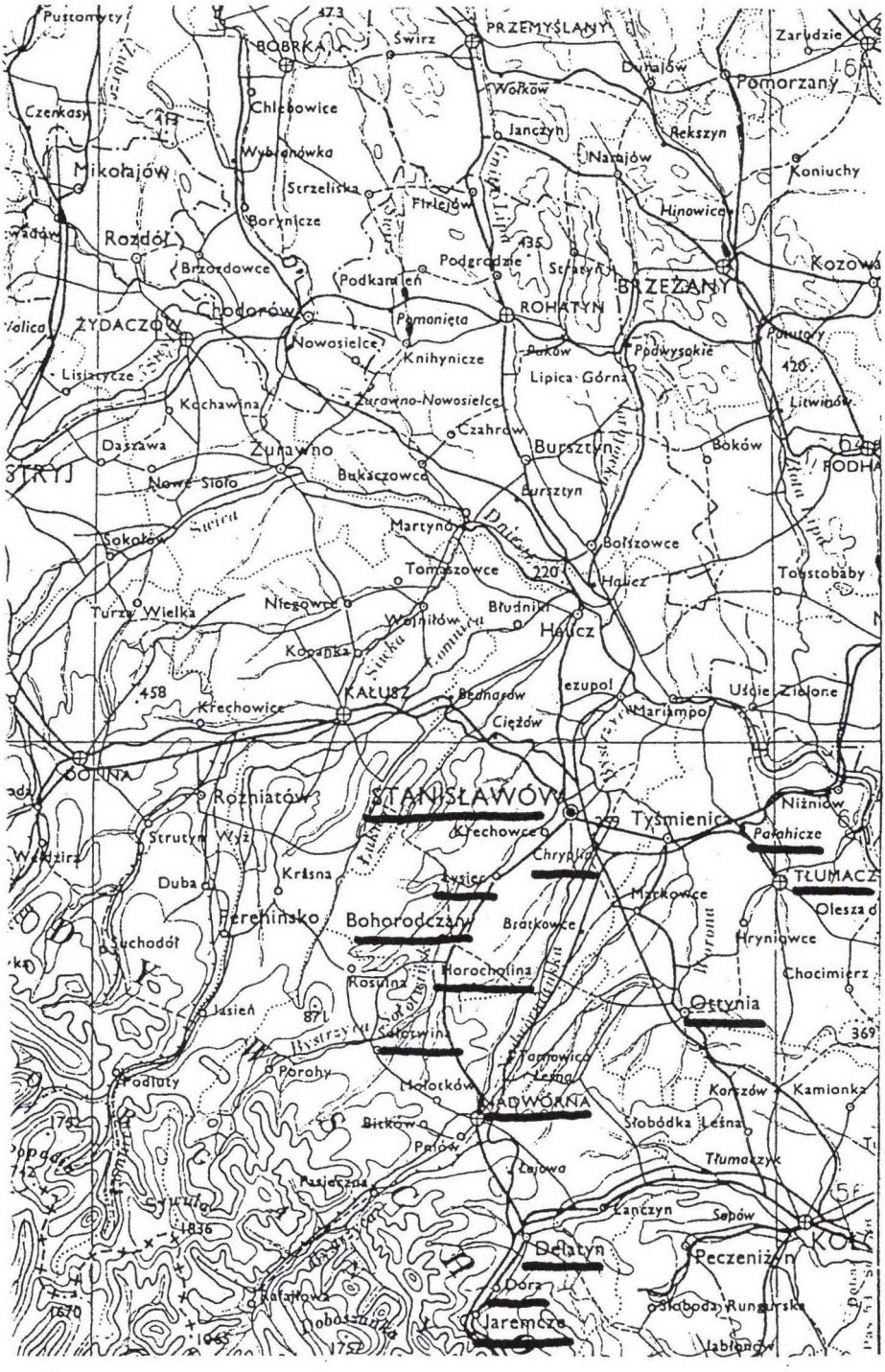
Z, Ż

3 21 Zaczek Stanisław, dyrektor oddziału Banku Gospodarstwa Krajowego, mieszkanie.
58 Zakład Sprzedaży Wyrobów Tyton. Polsk. Mon. Tyt., Koszarowa 4.
1 12 Zang S., międzynarodowe przedsiębiorstwo transportowe.
6 63 Zarząd dóbr, Krechowce.

ZARZĄD MIEJSKI

Prezydjum.
56 — Biuro Prezydenta miasta, Karpińskiego 7.
4 54 — Biuro wiceprezydenta miasta, Karpińskiego 7.
Wydziały
18 — Miejski Urząd Zdrowia i Opieka Społeczna, Karpińskiego 6.
5 46 — Naczelny lekarz miejski, mieszk.

Strona z książki telefonicznej Województwa Stanisławskiego z 1933 r.



Ze Stanisławowa do Jaremcza

Kuracjusze przyjeżdżali tu z całej Polski, przede wszystkim ze Lwowa i okolic, a nie rzadko nawet z Krakowa czy Warszawy, chociaż wobec odwiecznej rywalizacji Galicji z Kongresówką ci ostatni traktowani byli z pewną dozą nieufności.

Letnicy zjeżdżali całymi rodzinami, zatrzymując się przeważnie w tych samych pensjonatach – „Zipperówce", „Splendidzie" i „Majestiku". Pensjonaty te oferowały wykwintne utrzymanie, a w niektórych codziennie odbywał się dancing z orkiestrą.

Niektórzy kuracjusze wybierali pensjonaty skromniejsze – „Czerwony Dwór", „Gencjanę" lub „Halkę", które były położone niedaleko plaży, często z bezpośrednim zejściem do Prutu.

Jeszcze inni woleli pomniejsze wille z bardziej umiarkowanymi cenami. Do tych ostatnich należała nasza willa „Irena", w której można było wynająć pokoje bez utrzymania.

Przed pierwszą wojną światową na miejscu „Ireny" stał letni dom dziadków Gelehrterów. Dom był murowany, piętrowy, z dużym ogrodem, otoczonym zagajnikiem leszczynowym. Budynek spłonął kilka miesięcy przed zakończeniem wojny. Z czasem kamienne fundamenty zarosły trawą. Później Mama posadziła tam kilkanaście krzewów różanych, które tworzyły barwne rondo, a zapach róż, mocny i słodki, roznosił się po całej okolicy. Z róż tych Mama smażyła cudownie pachnące konfitury, które w zimie były doskonałym środkiem na wszelkiego rodzaju przeziębienia.

Kiedy po śmierci dziadków większa część majątku dostała się Mamie – Rodzice podzielili ją na trzy parcele: na jednej stanęła „Irena"; na drugiej ciotka Łucja z wujkiem Raulem postawili nowoczesny pensjonat „Helios", który miał nawet własny agregat prądotwórczy uniezależniający go od dostaw prądu z elektrowni co powodowało cichą zawiść właścicieli pozostałych posesji w Jaremczu. Na trzeciej, ostatniej parceli wujek Ludwik zbudował willę „Ludwikówkę", która przeznaczona była całkowicie pod wynajem pokoi letnikom i wujostwo rzadko pojawiali się w Jaremczu. Willa corocznie oddawana była w dzierżawę, a podczas wakacji przyjeżdżał tu tylko ich syn Zbyszek, pozostający pod opieką dalekiej kuzynki Mani. Manię nazywano nie wiadomo dlaczego „Mańką Pryszcz", bo cerę miła białą i gładką, jak wszystkie rudowłose kobiety.

Wszystkie trzy parcele pozostały więc w rodzinie i nie były od siebie odgrodzone. Z jednej strony naturalną granicę tworzył lasek leszczynowy, z drugiej ukochana sosna Mamy, rosnąca między „Ireną" a „Heliosem". Mama posadziła ją jeszcze przed pierwszą wojną światową podczas jakichś beztroskich wakacji, spędzanych w Jaremczu z rodzicami i braćmi.

Tak więc cały teren traktowany był przez dzieci jako jedno wielkie miejsce do zabawy w chowanego.

Budowa „Ireny" została zakończona z początkiem lat trzydziestych, ale prace przy różnych przybudówkach trwały jeszcze długo.

„Irena" była willą jednopiętrową; na parterze mieściły się dwa jednakowe mieszkania. Jedno z nich było nasze – dwa duże pokoje z kuchnią i oszklona weranda, na której stał wielki stół ping-pongowy. Za tym stołem spędzaliśmy każdą chwilę podczas nielicznych deszczowych dni w Jaremczu. Czasem kiedy podczas upalnego letniego dnia zrywała się gwałtowna burza, a deszcz lał się z nieba strumieniami, rozbieraliśmy się prawie do naga i brodziliśmy po ogrodzie.

W bliźniaczym mieszkaniu po drugiej stronie mieszkali z roku na rok nasi przyjaciele – Janek i Frydzia Seibaldowie. z córeczka Rutką. Dorośli przyjaźnili się od lat, a z młodszą o kilka miesięcy Rutką uważałyśmy się za siostry. Państwo Seibaldowie, ze znanej rodziny stanisławowskich młynarzy, mieszkali niedaleko nas w młynie za mostem na Sapieżyńskiej, a wszystkie nasze wakacje spędzaliśmy razem w Jaremczu. Kiedy w drugiej połowie lat trzydziestych Rutka z rodzicami przeprowadziła się do Kołomyji wszyscy przeżyliśmy to nasze rozstanie bardzo boleśnie. Tym bardziej więc po roku wyczekiwaliśmy jaremczańskich wakacji z wielką niecierpliwością.

Na piętrze mieściły się trzy pokoje, każdy z balkonem, w których zatrzymywały się matki z dziećmi, lub młode bezdzietne małżeństwa.

Do Jaremcza przyjeżdżałyśmy z Mamą już w połowie maja, pozostając tam aż do nastania jesiennych chłodów.

Przed naszym przyjazdem dozorca pan Franciszek Rzucidło otwierał zamknięte na zimę okiennice, mył okna i wstawiał gałązki z młodymi listkami do glinianych wazonów, a na świeżo wymytych sosnowych podłogach rozkładał kolorowe kilimy huculskie; pachniało drzewem, żywicą i wapnem.

Niedługo po przyjeździe Mama zaczynała przygotowywać „Irenę" na przyjęcie letników. Jednego dnia przycinała żywopłot po obu stronach aleji. Drugiego bieliła kamienie, którymi wyłożone były ścieżki i klomby. Na klombach, na których później czerwieniły się strzępiaste główki georginii wtykała kule z różnokolorowego szkła, w których można było przeglądać się jak w małych krzywych zwierciadłach. Wreszcie malowała drucianą siatkę, dzielącą „Irenę" od „sztreki"[4]. Najpierw powlekała ją jaskrawym cynobrem, a potem pokrywała zieloną farbą, aby siatka była mniej widoczna na tle zieloności otoczenia.

W połowie lat trzydziestych ciotka Łucja rozeszła się z mężem. Wujek Raul co roku spędzał kilka tygodni w Jaremczu. Przyjeżdżał sam – bez żony. Był wcale dobrym tenisistą i czasem partnerował Rodzicom na korcie. Nie bardzo go jednak lubiłam, bo byłam trochę zazdrosna o moją piękną ciotkę.

Po formalnościach rozwodowych ciotce Łucji przypadła kamienica przy ulicy Kochanowskiego we Lwowie, wujek Raul zaś zatrzymał pensjonat „Helios". Wprowadziła się tam wówczas rudowłosa kuzynka Mania, do niedawna spędzająca wakacje w „Ludwikówce". Teraz zajęła się administracją „Heliosu" i ku oburzeniu rodziny oraz powszechnemu zgorszeniu publicznemu, oficjalnie zamieszkiwała z wujkiem Raulem w czasie jego pobytu w Jaremczu.

Ciotka Łucja opuściła Tłumacz i powróciła do Lwowa, gdzie przebywali na studiach jej dwaj synowie: starszy – trojga imion Herbert Olaf Maksymilian, zdrobniale Tusiek i młodszy o kilka lat Lolek. Tusiek studiował na Politechnice Lwowskiej i ze szczególnym zamiłowaniem oddawał się szybownictwu. Trochę lewicował. W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku ożenił się z koleżanką z wydziału chemii, poczym oboje wyjechali do Hiszpanii, aby w Brygadzie Międzynarodowej walczyć „O wolność waszą i naszą" przeciwko generałowi Franco. Po klęsce armii republikańskiej znaleźli się we Francji, gdzie żona Tuśka - Irena kończyła przerwane studia; do kraju już nie wrócili i niedługo potym osiedlili się w Ameryce.

We Lwowie pozostał Lolek, student konserwatorium w klasie klarnetu i skrzypiec. Ze swoją duszą artysty i głową w obłokach był zupełnym przeciwieństwem brata.

Niedługo po rozwodzie ciotki Łucji rozpoczęły się niesnaski między Rodzicami a wujkiem Raulem. Wtedy właśnie między „Ireną" a „Heliosem" stanął, niby mur graniczny, wysoki parkan z ciosanych desek, który skutecznie zeszpecił widok z naszych okien, a co gorsze, podzielił na poły ukochaną sosnę Mamy. Do niezmiennych prac na początku sezonu doszło zatem jeszcze jedno zajęcie; malowała więc Mama ten płot na najprzeróżniejsze odcienie zieleni, aby choć trochę złagodzić jego brzydotę. Malowanie to było mało skuteczne, ale z czasem wszyscy, za wyjątkiem Mamy, przyzwyczaili się do jego widoku.

W połowie czerwca do Jaremcza zjeżdżali letnicy. Na deptaku pojawiały się grupy miastowiczów: panowie w jasnych ubraniach albo sportowych pumpkach do kolan i cyklistówkach oraz kolorowo ubrane panie. Do sąsiednich pensjonatów wprowadzały się rodziny z dziećmi.

Pod koniec miesiąca przyjeżdżał Ojciec.

Dorośli grali w tenisa i chodzili na górskie wycieczki – do parku leśnego na zboczach Makowicy, albo i wyżej – na szczyt Makowicy i Jawornika. W pochmurne dni grali w brydża i ping-ponga, chodzili na kawę do kawiarni Hanusa koło dworca i tańczyli na fajfach[5] u Skrzyńskiego.

Dzieci grały w serso i puszczały bańki mydlane. Z Rutką, kuzynem Zbyszkiem i synem dozorcy, pana Franciszka, Staszkiem Rzucidło budowaliśmy szałasy z gałęzi i bawiliśmy się w wojnę.

Po zboczu, porośniętym srebrzystą trawą kosówką zjeżdżaliśmy na drewnianych deskach prosto w moczary, pełne szuwarów, błękitne od niezapominajek.

Chowaliśmy się za drzewami w leszczynowym zagajniku i słuchaliśmy dziwnej piosenki Staszka: „Ryżyk-pyżyk – de ty był?, na Kaukazi wodku pył".

W wysokiej trawie szukaliśmy grzybków-podpieńków i szaro-różowych gołąbków i liczyliśmy rude kity wiewiórek.

„Irena" leżała obok toru kolejowego, który nazywaliśmy „sztreką". W rowie wzdłuż sztreki czerwieniły się poziomki, a rozpięte nad nią druty telegraficzne uciekały gdzieś daleko, drgając pod dotknięciem ptasich skrzydeł.

Z wnętrza słupów dobywało się monotonne brzęczenie, jakby to nie były słupy telegraficzne, tylko roje pszczół, ukryte przed ludzkim okiem.

Kiedy przejeżdżał pociąg – w górę do Worochty, czy w dół do Delatyna, i lokomotywa wypluwała z siebie strumienie gorącego powietrza stawaliśmy przy torze i powiewając chusteczką krzyczeliśmy co sił w piersiach „Hules!, Hules!" Nikt już dobrze nie pamiętał kiedy narodził się ten zwyczaj. Starsi ludzie powiadali, że tak właśnie nazywał się pewien mieszkaniec Jaremcza, który porzucił swoją żonę i wyjechał w świat. Nieszczęśliwa kobieta postradała zmysły i codziennie wybiegała do pociągu, szukając go wśród podróżnych, a ludzie na peronie wołali „Hules!, Hules!" razem z nią.

Pod kamiennym wiaduktem kolejowym dzieci krzyczały: „Kto zerwał jabłko z drzewa?", a echo niezmiennie odpowiadało „EWA... EWA... EWA..."

Dorośli i dzieci chodzili na plażę „Pod Jeleniem"; kąpali się w Prucie i opalali się na kamieniach. Zbierali małe, płaskie kamyczki i rzucali je na wodę. Kamyczki odbijały się od powierzchni kilkakrotnie, cztery albo pięć razy, czasem sięgając nawet drugiego brzegu. Nazywaliśmy to „puszczaniem kaczek:".

Bawiliśmy się w chowanego przy wielkim głazie, zwanym od imienia słynnego rozbójnika „Kamieniem Dobosza". Dobosz był legendarną wersją tatrzańskiego Janosika, a jego wyczyny żyły w pamięci Hucułów z pokolenia na pokolenie. Wizerunki Dobosza można było znaleźć na drewnianych szkatułkach i rzeźbionych talerzach, sprzedawanych przez miejscowych artystów ludowych. Kamień ten leżał przy torze kolejowym koło stacji Jaremcze-Wodospad. Nieco dalej, bliżej Jamny znajdował się inny kamień, zwany „Kamieniem Kratera". Był to olbrzymi głaz, zwisający nad szosą; przechodząc pod nim umieraliśmy ze strachu, że może właśnie teraz, już w tym momencie głaz ten spadnie nam na głowę.

Chodziliśmy na wycieczki do „Jaskiń Dobosza", zbierając po drodze borówki[6], ukryte pod zielonymi listkami, z początku niewidoczne, potem oszałamiające granatową obfitością. I poziomki, pachnące rozgrzaną trawą i kwiaty polne o wszystkich kolorach tęczy.

Nagle, nie wiadomo kiedy, pojawiało się pierwsze babie lato, a z nim poranny szron na trawie i pożółkłe liście na drzewach. W powietrzu unosił się zapach kartofli, pieczonych na ognisku i sezon letni dobiegał końca. Jeszcze tylko jak co roku pożegnalny festyn dla dzieci w „Irenie": zagadki i żywe obrazy, deklamacje, śpiewy i tańce. Festyn zamykał barwny korowód przebierańców, do którego Mama w tajemnicy szyła kostiumy i czapki z bibułki. A potem już tylko wygaszone lampiony, zwisające smutno z maminej sosny i girlandy papierowych kwiatów, które pan Rzucidło nazajutrz bezlitośnie wyrzucał na śmietnik.

Jesień i pierwsze miesiące zimy spędzaliśmy w Stanisławowie, aby już po Nowym Roku znowu przygotowywać się do wyjazdu. Zabierałyśmy mnóstwo ciepłego odzienia, swetry szydełkowane przez Mamę, szaliki i śmieszne czapki-kominiarki, które włożone na głowę odsłaniały tylko dziurki od nosa, oczy i usta. Ojciec sprawdzał wiązania nart i dobierał smary, inne na każdy rodzaj śniegu i podkładki z foczego futra do górskich podchodów.

Zima w Jaremczu była majestatyczna i dostojna. Fioletowe cienie kładły się na puszystym śniegu. Z dachów zwisały srebrzyste sople lodu. Drzewa uginały się pod ciężarem śnieżnych czap, a wspaniałą ciszę przerywało tylko skrzypienie sań i delikatny dźwięk dzwoneczków zawieszonych na końskiej uprzęży.

Jeździłyśmy z Mamą na sankach i nartach, leżakowałyśmy w słońcu, a kiedy zapadał wczesny zimowy zmierzch grałyśmy w „bitwę morską" i „inteligencję". W kaflowym piecu wesoło buzował ogień, rozpalany co rano przez pana Rzucidło, było ciepło, cicho i przytulnie.

Ojciec przyjeżdżał pod koniec tygodnia. Wynajmowaliśmy wtedy sanie u Hucułów i jechaliśmy przed siebie, do Tatarowa czy Mikuliczyna. Z nieba sypały gęsto płatki śniegu, a blade słońce z trudem przebijało się przez chmury. Czasem urządzaliśmy kulig – my z Mamą, owinięte w futrzane baranice na saniach, a Ojciec, przytroczony do sań kijkami jechał za nami.

Ojciec zabierał mnie na Zaroślak. Jechaliśmy pociągiem do Worochty, a stamtąd kolejką górską przez Ardżeluzę, Zawojelę, Kukul i Foreszczenkę. Na Zaroślaku czekały sanie, przysłane przez kierow-

nika schroniska, pana Czuczewicza. Jechaliśmy zwolna między ośnieżonymi sosnami, parujące zady końskie podskakiwały rytmicznie w takt jednostajnej melodii dzwoneczków, a pod futrzaną derką było ciepło i sennie.

Ze schroniska prowadziły szlaki narciarskie na Chomiak, Pop-Iwan i Howerlę. Ojciec uczył mnie jazdy pługiem i podchodów pod górę zakosami, pokazywał co to telemark i christiana, jak szusować w dół i slalomem zjeżdżać między kijkami. Czasem było tak ciepło, że rozbieraliśmy się do pasa, opalając się w słońcu.

Na Zaroślak jeździliśmy także w lecie. Trasę kolejki górskiej odbywaliśmy wówczas drezyną; siedzieliśmy z Ojcem na drewnianej platformie, torującej sobie drogę wśród traw i krzaków, rosnących po obu stronach sztreki. Gałęzie drapały nas po twarzy i wplątywały się we włosy. Na niebie jarzyło się rozpalone słońce. Słuchaliśmy świergotu ptaków; barwne motyle fruwały nad naszymi głowami, a na horyzoncie widniały majestatyczne szczyty Czarnohory...

[1] sekretarka w kancelarii adwokackiej
[2] „Zobacz, jak szybko pisze!"
[3] Kalendarz Narciarski PZN z r. 1936/37, str. 143 i 235 oraz następne do 1939 r.
[4] tory kolejowe
[5] podwieczorki taneczne o 5-tej po południu.
[6] czarne jagody



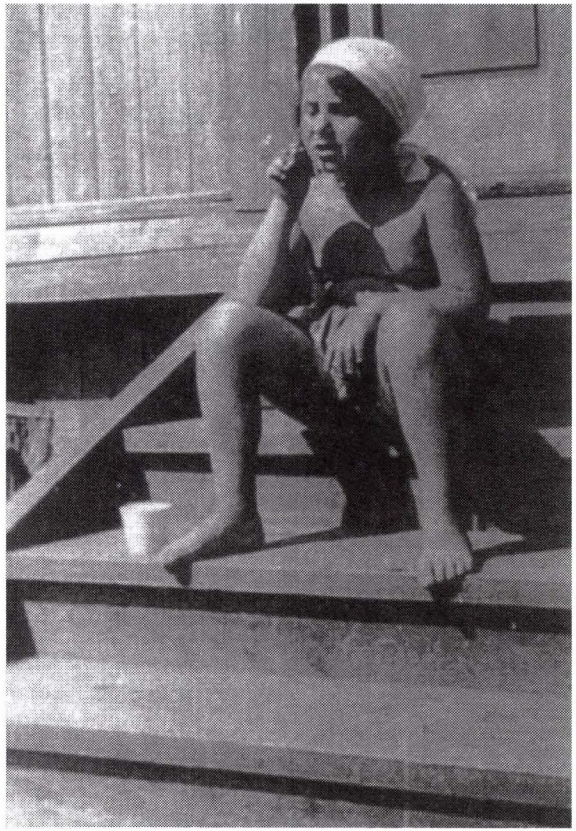
Z kuzynem Jurkiem w Stanisławowie, 1931 r.



Stanisławów, 1932 r.



Z Mamą w Jaremczu, 1933 r.



Przed „Ireną" w Jaremczu, 1936 r.

Rozdział 3

W połowie lat trzydziestych warunki materialne Rodziców bardzo się pogorszyły. Co prawda chłopi nadal nawiedzali kancelarię, ale *„...Oleś ma wiele roboty, tylko pieniędzy coraz mniej się zarabia – ogólny brak floty*[1]*..."* – pisała Mama do Józka.

Tak więc, najpierw nieznacznie, a potem coraz dotkliwiej zaczęliśmy odczuwać skutki kryzysu. W domu wprowadzono drobne oszczędności. Ogrzewanie dużego mieszkania stało się problemem. Nagle pojawiły się blaszane piece trocinowe, który były tanie w użyciu, ale grzały tylko wtedy, kiedy trociny się paliły i bardzo szybko stygły. Dwa pokoje zostały zamienione na stancję dla studentów, przybywających z pobliskich miasteczek po naukę w miejscowym gimnazjum. Gimnazjum męskie mieściło się tuż za rogiem. W godzinach popołudniowych z bramy gimnazjalnej wysypywał się gwarny tłum młodzieży: ci młodsi, w granatowych mundurkach i czapkach z niebieskimi wypustkami, i starsi – licealiści, którym wąs już czerniał pod nosem – z wypustkami w kolorze amarantowym.

Lokatorzy byli chłopcami spokojnymi, nikomu nie wadzili i właściwie mało kiedy było ich widać. Rano wychodzili do gimnazjum. Po południu uczyli się gdzieś w grupach, albo udzielali korepetycji na mieście, a regularne przekazy za stancję były pewną pomocą w domowym budżecie.

„...Kochany Józiu – pisała Mama – *nie dziw się, że tak rzadko teraz pisuję, lecz zawsze wstrzymuję się z napisaniem listu, myśląc, że może przecież coś się polepszy i że coś dobrego będę mogła donieść. Tymczasem coraz to gorzej. Stosunki materialne są wprost straszne. Ponieważ nie mogliśmy gdzieś w odpowiednim miejscu znaleźć mieszkania (ze względu na kancelarię) odnajęliśmy dwa pokoje, ale to też jest tylko ziarenkiem w morzu. Martwię się bardzo, bo nie wiem jak koniec z końcem powiązać. Oleś ma do czynienia, ale klienci nie płacą i księga kasowa rośnie..."*

Skończyły się wypady Ojca do kawiarni, a Mama zaczęła wyrabiać kwiaty z włóczki i dostarczała je do sklepu galanteryjnego pana Löwena w pasażu. Ale i to okazało się niewystarczające.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku musieliśmy opuścić nasze mieszkanie. *„...Od kilku miesięcy mieszkamy przy Sobieskiego 41. Na Trzeciego Maja było w zimie nie do wytrzymania..."* – pisała Mama do Józka.

ADWOKAT Dr OSKAR WILDER
OBROŃCA WOJSKOWY
STANISŁAWÓW, UL. 3-go MAJA L. 1a. TELEFON NR. 52 i 3264

Stanisławów, dnia 25/IV 1934

Mój kochany Józiu. Dziękuję ci bardzo za pamięć i życzenia do moich urodzin. - Nie dziw się że tak rzadko piszę - ten rzadki rodzaj i ilość zajęcia. Listu, słyszę że moje pierwsze są coraz lepsze i coraz dłuższe - a będę mogła dawać. Tymczasem coraz to gorzej. Stosunki materjalne wprost okropne! Pomimo że nie mogliśmy odnaleźć odpowiedniego miejsca (ze względu na [illegible] warunki mieszkania, odmawiamy z pokoje ale to jest ten tylko warunkiem w mieście. Martwię się bardzo bo nie wiem jak koniec z końcem powiązać. Oleś ma do czynienia - ale klijenci nie płacą i księga handlowa rośnie. Mamy natomiast wiele pociechy z Józi, która jest już dużą dziewczynką (z grubsza biorąc 5 lat) umie czytać i pisać (drukowane) i pisze sama na maszynie i czyta sobie książki i gazety. Mimo dobrego wyglądu ma opuchnięte - tak że mówi się na nią specjalnie uwarial. Pomimo że mnie chorowała (a tu nie ma pomocy lekarza) umiałam z nią pojechać do Lwowa by uradzić jak dalej leczyć. — Ja czuję się tak jak na odludziu - nigdzie nie chodzę, z nikim wogóle się nie widuję - nerwy mam mocno nadwerężone. — Cieszę się jak przypuszczam od Was jakiej wiadomości - i dziwię się Bogu że Tobie się nieźle wiedzie i jesteś zadowolony. W załączeniu przesyłam ci Twoją metrykę. Kiedy ślub? Życzenia jeszcze czekają przy Was, i dziękuję bardzo ich Lilli Bysta dobra i kochana dla [illegible]

List Mamy do Józka z 25 kwietnia 1934 r.

ADWOKAT Dr OSKAR WILDER
OBROŃCA WOJSKOWY
STANISŁAWÓW. UL. [illegible] TELEFON NR. 544.
obecnie ul: Sobieskiego 41/II p.

Stanisławów, dnia 19/I 1937

Meine Lieben! Während der Schulferien waren wir in Jaremcze, u. Olek berichte uns paar Mal. Leider war der Aufenthalt nicht gelungen da ich mich gesundheitlich schlecht fühlte u. konnte mich (3 Wochen) kaum rühren. Ich hatte mit dem Herz zu tun, jetzt geht es mir fast ganz gut, aber vom Wintersport ist keine Rede. - Vom letzten Brief erfuhr ich dass Dein Papa so krank war. Wie geht es ihm jetzt? Ich kann mir lebhaft vorstellen was Du mitgemacht hast, liebe Lili. - Für die Neujahrswünsche danken wir Euch bestens u./ erwidern dieselben aufs herzlichste.

Übersende Euch auch eine Aufnahme von Józio. Bei der Schulvorstellung hatte sie 3 verschiedene Rollen, u./ spielte glänzend! Sie ist die beste Schülerin der Klasse, u./ wirklich sehr begabt. Aber zu Hause ist sie sehr schlimm obwohl Olek behauptet dass sie sehr brav ist (ihm gegenüber). - Ich wäre so froh wenn wir uns wenigstens dieses Jahr sehen könnten! - Bitte, schreibet uns wieder, wenigstens paar Zeilen. - Ich umarme Euch herzlich u. küsse recht fest! Janka

Ostatni list Mamy do Józka i Lili z 19 stycznia 1937 r.

Küsse Tante und Onkel. Mutter lernt mich „po niemiecku". Czy podoba się Wujciowi fotografia krakowianki? Byłam jeszcze „szynkarką" (Wirtin) i „dynią" (Kürbiss). Czy jeździ Wujcio na nartach? Und Tante z Sport ist eine gute und angenehme Sache.

Całuszy od "darowanego pedraka"

Kuba

Z listu do Józka z 19 stycznia 1937 r.



Wujek Józek i ciocia Lili

Mieliśmy teraz trzy pokoje mieszkalne; w czwartym mieściła się kancelaria, a przedpokój został zamieniony na poczekalnię.

Podczas przeprowadzki zginęła gdzieś ukochana kotka Żabcia, która uporczywie wracała do starego mieszkania. Dozorca dwa razy przynosił ją w koszyku na Sobieskiego. Kiedy jednak Żabcia uciekła po raz trzeci nikt już jej więcej nie widział. Wtedy Rodzice kupili mi żółtego kanarka Kubusia, którego klatka stanęła na stoliku w moim pokoju. Odtąd świergot Kubusia codziennie budził mnie ze snu i sprawiał mi wiele radości.

Zdrowie Mamy pogarszało się coraz bardziej.

W domu pojawiła się wówczas panna Andzia, która chodziła ze mną na spacery, zgodnie z zaleceniem doktora Oberharda „aby mała dużo przebywała na świeżym powietrzu".

Panna Andzia wcześnie nauczyła mnie czytać. A że kiedy nie było klientów chętnie przebywałam w poczekalni i zaprzyjaźniłam się z panną Pepą – nauczyłam się także pisać na maszynie. *(...Mamy wiele pociechy z Irusi, która jest już dużą dziewczynką (w grudniu ukończyła pięć lat), umie czytać i pisać, pisze sama na maszynie i sama czyta sobie książki...")*

Któregoś dnia panna Andzia zabrała mnie do cyrku Staniewskich, który przyjechał na gościnne występy do Stanisławowa. Powstał wtedy mój pierwszy wierszyk: *„W cyrku bardzo jest wesoło, małe pieski tańczą w koło, gra muzyka, skrzypki płaczą, małe pieski w tańcu skaczą..."*

Panna Andzia posłała wówczas ten wierszyk do redakcji pisemka dla najmłodszych „Mały Płomyczek", które zamieściło go w jednym ze swoich numerów.

Z czasem pannę Andzię zastąpiła panna Ida, która także zaczęła uczyć mnie niemieckiego, a panna Pepa uczyła mnie stenografii.

W tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zostałam zapisana do szkoły. Do wieku szkolnego brakował mi przeszło rok, więc zgodnie z regulaminem musiałam przystąpić do egzaminu z polskiego, rachunków i religii. W wyniku egzaminu komisja przy szkole państwowej im. Królowej Jadwigi zakwalifikowała mnie do drugiej klasy, więc przez wszystkie lata szkolne byłam zawsze o dwa lata młodsza od swoich koleżanek.

Miałam teraz skórzany tornister na plecy i książki szkolne z księgarni pana Bodeka na Sapieżyńskiej; dostałam komplet zeszytów – w linijkę do polskiego, w kratkę do rachunków i czysty do przyrody. Miałam drewniany piórnik wybijany paciorkami, z przegródkami na ołówek, rączkę[2] i radyrkę[3]. Po pewnym czasie rączkę zastąpił filfeder[4] z gumową pompką do nabierania atramentu. Nosiłam granatowy fartuszek z białym pikowym kołnierzykiem

i granatowy beret z odznaką szkoły – otwarta książka z napisem „Ora et labora".

Miałam dużo koleżanek: śmieszkę Ginkę, rudowłosą Ankę, nierozłączki Hertę i Lilkę, drobniutką Halę i grubą Gustę, której matka miała sklep z owocami i Gusta czasem przynosiła do szkoły pęk bananów „Fyfesów" do podziału. Zosia o jasnych włosach, upiętych w koronę siedziała w ławce z Lusią i Milą, zwaną „Myszką" i wiele innych. Dziewczynki wpisywały się do pamiętników szkolnych wierszykami „ku pamięci": „...Dwa serca złączone, klucz rzucony w morze, nikt nas nie rozłączy, tylko Ty, O Boże..." albo „...Na górze róże, na dole fiołki, my się kochamy, jak dwa aniołki..." Kiedy byłyśmy starsze pisałyśmy: „...Minie młodość, już nie wskrześnie swym weselem i urodą, lecz się starzeć mniej boleśnie, gdy zachowasz duszę młodą..."

Każda z nas miała swoją „koleżankę od serca". Moją była Lidka. Lidka była sierotą, wychowywaną przez babcię, wyglądającą jak postać z obrazu Grottgera. Lidka mieszkała tuż obok szkoły przy ulicy Kraszewskiego. Dom stał w dużym ogrodzie, w którym rosły porzeczki, maliny i aloes. Aloes służył do wyciskania soku dla Lidki, która chorowała na płuca. Zazdrościłam jej trochę, bo zawsze była zwalniana z gimnastyki. Wujek Lidki był właścicielem kina „Urania" na Sapieżyńskiej i pozwalał nam wchodzić bez biletu na wszystkie filmy dla dzieci i młodzieży. Programy zmieniały się co tydzień; najulubieńsze były komedie z Flipem i Flapem, i wszystkie filmy kreskówkowe.

Dyrektorką szkoły była panna Hubertówna. Panna Wajsówna uczyła historii, a pani Wolańska geografii; nauczycielem religii był pan Segal, a wszystkie „kochałyśmy się" w wychowawczyni klasy – polonistce pani Jaroszewskiej. Dziewczynki współzawodniczyły ze sobą o jej względy. Każda chciała nieść „Pani" teczkę i być wybraną do wykonywania drobnych poleceń. Ta, której „Pani" zleciła odniesienie katalogu do pokoju nauczycielskiego, zebranie zeszytów czy starcie tablicy – była przedmiotem zazdrości wszystkich pozostałych.

Dzień szkolny rozpoczynała modlitwa. Najpierw zbierałyśmy się na wspólnym korytarzu i śpiewałyśmy hymn szkolny do patronki szkoły: *„Święta Jadwigo, Królowo Pani, cześć Ci oddają Twoi poddani; w opiece Twojej jest nasza szkoła, która do czynów nas wzniosłych woła..."*

Potem, we własnych klasach śpiewałyśmy modlitwę poranną: *„Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki..."*

Raz w tygodniu dzieliłyśmy się na trzy grupy: jedna zostawała w klasie na lekcji religii rzymsko-katolickiej; po drugą przychodził ksiądz prawosławny, a trzecia przechodziła do klasy na drugim piętrze na lekcje religii mojżeszowej z panem Segalem.

Każda z nas miała swoje ulubione przedmioty. Oczywiście, wszystkie przepadałyśmy za lekcjami polskiego, prowadzonymi przez panią Jaroszewską. Lubiłam przyrodę, geografię i rysunki, nie lubiłam robót ręcznych i nienawidziłam rachunków. Lekcje rachunków ciągnęły się w nieskończoność i zdawało się, że dzwonek na przerwę zawsze się spóźnia.

Niecierpliwie czekałyśmy na dużą pauzę. Boisko szkolne zapełniało się wówczas hałaśliwą gromadą dziewczynek, byle prędzej zjadających przyniesione z domu śniadania. Potem zostawało jeszcze trochę czasu na zabawę w „złotą kulę" i „jaworowych ludzi", w „komórki do wynajęcia" i w „niedźwiedzia", którego trzeba było obchodzić z daleka, bo „jak się zbudzi to nas zje!" Uciekałyśmy wtedy z piskiem, rozbiegając się po całym boisku i chowałyśmy się za morwowymi drzewami, z których spadały słodkie białe owoce, podobne do malin. W starszych klasach grałyśmy w „dwa ognie" i siatkówkę.

Za parkanem stał budynek „Sokoła", gdzie Ukraińcy wystawiali swoje amatorskie przedstawienia: „Marusię Bohusławkę" i „Zaporożca nad Dunajem". Chłopcy nosili wyszywane soroczki[5], i barwne kozackie szarawary. Podglądałyśmy ich, kiedy zbierali się na próby i każda z nas miała swego mołojca[6] do cichej adoracji.

Z drugiej strony, od Kilińskiego, stała szkoła zakonna Urszulanek. Nie lubiłyśmy jednak „świętoszek" a uczucia te chyba polegały na wzajemności, bo nie zadawałyśmy się ze sobą nigdy.

Wielką pasją lat szkolnych były książki. Najpierw książki „dla panienek" Lidii Czarskiej, później „Ania z Zielonego Wzgórza" i najukochańsze „Serce" Amicisa; potem przygody „Z Czarnego Lądu" Karola Maya, pochłaniane z wypiekami na twarzy, często czytane ukradkiem pod ławką, i wiele innych, znoszonych do domu ze szkolnej biblioteki. Z czasem dobrałam się do biblioteki Rodziców, odkrywając powieści Rodziewiczównej, Orzeszkowej i Sienkiewicza.

W mieszkaniu na Sobieskiego mieszkaliśmy dwa lata. Mama coraz częściej zapadała na zdrowiu. Pewnego dnia była tak słaba, że nie mogła już wstać z łóżka.

W domu coraz częściej zaczęli pojawiać się lekarze. W pokoju Mamy spuszczono zasłony w oknach, a któregoś dnia wstawiono tam butlę z tlenem.

Nagle zjawiła się pielęgniarka, która nie wpuszczała mnie do maminej sypialni.

Niedługo potem Ojciec zaprowadził mnie do rodziców Rutki. Mieszkałam

z nimi we młynie przez kilka miesięcy. Wszyscy byli dla mnie bardzo dobrzy.

Pod koniec marca Ojciec zabrał mnie do domu. Mama leżała pod namiotem tlenowym; była bardzo blada. Ojciec kazał mi pocałować ją w rękę i zaraz potem wyprowadził z pokoju.

Mama umarła pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

[1] gotówki
[2] drewniana obsadka
[3] gumka do ołówka
[4] wieczne pióro
[5] koszule
[6] młodzieńca

Rozdział 4

Nie chcieliśmy już więcej mieszkać na Sobieskiego i kilka miesięcy później przeprowadziliśmy się na Sapieżyńską, blisko starego mieszkania przy Trzeciego Maja. W tym czasie znikła nagle służąca Marynia, a wraz z nią sporo bielizny pościelowej, trochę srebra i zimowa garderoba Mamy.

Po raz pierwszy nie pojechaliśmy tego roku do Jaremcza. Wakacje spędziliśmy z Rutką i jej rodzicami na granicy rumuńskiej, w Skolem.

Często chodziliśmy na cmentarz. Jechaliśmy dorożką, bo cmentarz leżał daleko za miastem. Kiedy dorożka zatrzymywała się przed cmentarną bramą podchodzili do nas żebracy, wyciągając ręce po jałmużnę. Dużo było między nimi kalek i ślepców o pustych oczodołach; dotykali naszych ubrań i natarczywie prosili o wsparcie.

W domu nastąpiły duże zmiany. Kiedy wracałam ze szkoły zajmowała się mną panna Pepa. Odrabiała ze mną lekcje i chodziła ze mną na spacery. Często zabierała mnie do parku Romaszkana. Wstępowałyśmy wtedy do domu przy ulicy Lipowej, gdzie panna Pepa mieszkała z rodzicami, siostrą Niusią i najmłodszym bratem Kubą. Kuba miał dwadzieścia lat i był sparaliżowany. Leżał nieruchomo na łóżku, z oczyma, utkwionymi w sufit i wydawał z siebie nieartykułowany, przerażający bełkot, zrozumiały tylko dla rodziców.

Państwo Salimonowie wydawali mi się bardzo biedni. Mieszkali w dwóch pokojach, z których jeden służył również za kuchnię. W mieszkaniu nie było wody, tylko na półpiętrze stała drewniana beczka, napełniana wodą z podwórzowej studni. Tam też mieściła się ubikacja.

Panna Pepa spędzała z nami coraz więcej czasu. Chodziła ze mną na mecze futbolowe, a w zimie na ślizgawkę; jeździła z nami do Jaremcza. Była dla mnie dobra i bardzo ją lubiłam.

Nastał rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. Coraz częściej mówiono o wojnie z Niemcami. Radio nadawało wojskową muzykę, a gazety zapewniały, że jesteśmy „silni, zwarci i gotowi" i że „nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami dzielny Wódz, Marszałek Śmigły-Rydz."

Tu i ówdzie krążyły pogłoski, że Niemcy źle traktują swoich żydowskich obywateli, a w Stanisławowie mieszkało podobno kilka rodzin żydowskich wydalonych z Niemiec; ale nikt ich właściwie nie widział i nikt się tym za bardzo nie przejmował.

W lipcu znowu pojechaliśmy do Jaremcza.

Lato było piękne; kuracjusze jak zawsze tańczyli u Skrzyńskiego i kąpali się w Prucie. Grano w tenisa, chodzono na wycieczki do Jamny i Diłoku, a gazety wyśmiewały się z Niemców.

Ale coś wisiało w powietrzu. W połowie sierpnia wróciliśmy do Stanisławowa, a zaraz potym pojechaliśmy do Lwowa. Mieszkała tam teraz cała rodzina Ojca - babcia Amalia, ciotka Łucja z Tuśkiem i Lolkiem i wujek Ludwik z rodziną, który po powrocie z Czortkowa także zamieszkał na Małej; dorośli prowadzili ze sobą długie rozmowy za zamkniętymi drzwiami, a ja większość czasu spędzałam z kuzynem Zbyszkiem.

Pewnego dnia Zbyszek zabrał mnie do pobliskiego parku przy Kurkowej.

W parku bawiły się dzieci, roześmiane grupy młodzieży spacerowały po parkowych alejkach. Na ławkach siedziały matki z niemowlętami, a starsi panowie czytali gazety i grali w szachy.

Nagle potężny huk wstrząsnął powietrzem.

Ziemia zatrzęsła się pod nogami.

Zawyły syreny fabryczne.

Na Pasaż Mikolasza spadła pierwsza bomba.

Właśnie wybuchła wojna i tak to zapamiętałam w swoim wierszu:

...„Zerwały się z jękiem syreny fabryczne,
ALARM LOTNICZY NA MIASTO LWÓW;
...Trzy koma cztery, uwaga.... nadchodzi...
rwą się w głośniku odłamki słów...
Warczą motory, dudnią silniki,
alarm lotniczy na miasto trwa...
Oczy oślepłe, wargi spieczone...
trzy koma cztery punkt zero dwa...
Wszyscy do schronów! Ciemno i duszno,
faluje morze zmęczonych głów...
HALLO, UWAGA, HALLO UWAGA!
Alarm lotniczy na miasto Lwów!
Gwiazdy migocą, serce zamiera,
rwie się jak granat melodia głucha...
wciąż dalej i słabiej... aż w ciszę się zmienia,
i milknie... a cały Lwów słucha...”

4 września wróciliśmy do Stanisławowa. Miasto wyglądało jakoś inaczej. Okna domów zaklejone były paskami papieru. Na skrzyżowaniach ulic leżały worki z piaskiem i stały wiadra z wodą. Sklepy świeciły pustkami, niektóre były zamknięte. Na słupach ogłoszeniowych wisiały rozporządzenia władz i odezwy do ludności.

Tego samego dnia Ojciec zgłosił się do Ochotniczej Służby Przeciwlotniczej. Przydzielono go do punktu obserwacyjnego na dachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Bilińskiego.

Radio nadawało komunikaty o przebiegu walk. Wiadomości były optymistyczne i z dnia na dzień spodziewano się zakończenia wojny.

Po kilku dniach wojsko i policja znikły z ulic miasta; miasto pozostało bez władzy, a ulicą zawładnął motłoch. Rabowano, wybijano szyby w oknach, a pod naszym domem leżał trup zabitego mężczyzny.

Służba Przeciwlotnicza została rozwiązana i Ojciec zgłosił się do Ochotniczej Służby Porządkowej. Grupy porządkowe przez dwa dni patrolowały ulice, starając się utrzymać jako taki spokój.

Potem rozeszła się pogłoska, że Rosjanie zawarli przymierze z Niemcami i że wschodnie tereny Polski zostają przyłączone do Rosji.

Rosjanie wkroczyli do Stanisławowa w połowie września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku.

Nastąpiły nowe porządki.

Na ulicach pojawiły się czerwone transparenty. Zegary kazano przesunąć o dwie godziny wstecz, na czas moskiewski. Zmieniono nazwę szkoły, która nie nazywała się już szkołą imienia Królowej Jadwigi, tylko Desatiletką[1] nr 4. Ze ścian znikły portrety Prezydenta Mościckiego i Marszałka Rydza-Śmigłego, a na ich miejsce powieszono portrety Stalina. Polskie godło państwowe zastąpiono czerwoną flagą z sierpem i młotem.

Znikła tez dyrektorka szkoły, panna Hubertówna i ukochana pani Jaroszewska. Nowy dyrektor, zawped[2] Szkorupa, mówił do nas po ukraińsku i kazał nazywać się Adrejem Andrejewiczem.

Lekcje religii zostały zniesione.

Rosjanie wydali zarządzenie o obowiązku pracy dla wszystkich pod hasłem „chto nie rabotaje, tot nie kuszaje"[3].

Ojcu kazano zamknąć kancelarię. Po jakimś czasie dostał pracę w klubie sportowym „SPARTAK",

I któregoś dnia ożenił się z panna Pepą.

Z początkiem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku wyrzucono nas z mieszkania. Wprowadził się tam ruski komandir[4]. Na razie pozwolono nam zostać w jednym pokoju, ale kiedy po jakimś czasie pojawiła się komandirsza[5] wystawiono nasze rzeczy na ulicę.

Wprowadziliśmy się wówczas do mieszkania rodziców Pepy przy ulicy Lipowej koło parku; państwo Salimonowie odstąpili nam frontowy pokój, a sami z Niusią i sparaliżowanym Kubą pozostali w mniejszym, służącym jednocześnie jako kuchnia. Byli małomówni i rzadko wychodzili ze swego pokoju. W obecności zięcia czuli się skrępowani, utrzymując pełen szacunku dystans. Nigdy nie zwracali się do Ojca po imieniu; odzywali się rzadko i tylko wtedy, kiedy byli o coś zapytani.

Ojciec wracał z pracy późnym popołudniem. Pepa dostała nakaz pracy jako maszynistka w miejskiej Komendzie Milicji. W drodze do domu stała często w kolejkach po żywność, o którą było coraz trudniej. Brakowało tłuszczu, mięsa i cukru. Przeważnie jedliśmy kaszę jaglaną z fasolą albo gotowaną na gęsto kapustę.

Po powrocie ze szkoły byłam sama. Do drugiego pokoju nie wchodziłam, bo bałam się bełkotu Kuby.

Pewnego dnia w szkole Andrej Andrejewicz ogłosił powstanie drużyny młodzieżowej „Pionier". W programie były zajęcia świetlicowe po szkole, wycieczki krajoznawcze za miasto i wieczory przy ognisku. Zgłosiło się czternaście osób. Dostaliśmy czerwoną chustkę na szyję i znaczek pionierski, a po lekcjach wyświetlono nam film o szczęśliwym życiu pionierów w radzieckiej ojczyźnie.

Kiedy później niż zwykle wróciłam do domu Ojciec nie krył swego niezadowolenia. Rodzice Pepy milczeli jak zwykle, ale tym razem milczenie ich było bardzo wymowne. Państwo Salimonowie nie lubili Rosjan. Wyrażało się to między innymi w formie bardzo specjalnego protestu: kiedy po zajęciu Stanisławowa przez władze rosyjskie wprowadzono nowy czas moskiewski postanowili nie przestawiać zegara i przez długie miesiące żyli według „czasu polskiego".

Od tego dnia zostawałam po lekcjach w świetlicy nazywanej teraz „krasnym ugoikom"[6]; śpiewaliśmy piosenki wojenne o Moskwie i Stalinie, o Katiuszy i bohaterskich lotnikach radzieckich. Graliśmy na instrumentach muzycznych, trąbce i bębnie. Powstał zespół taneczny, który miał w repertuarze rosyjskie i ukraińskie tańce ludowe.

Przed końcem roku szkolnego wybrano mnie do grupy, która miała wyjechać na wakacyjny obóz pionierski do Arteku na Krymie. Ojciec stanowczo się temu sprzeciwił i mimo moich oporów przeniósł mnie do innej szkoły, naprzeciw naszego domu na Lipowej.

Nie lubiłam tej nowej szkoły. Językiem wykładowym był język ruski[7]; koleżanki, starsze ode mnie o dwa albo trzy lata w ogóle nie zwracały na mnie uwagi; miałam kłopoty z rachunkami i tęskniłam za starą szkołą.

W domu też było niewesoło. W nocy budziły mnie jęki Kuby i odgłosy,

dochodzące z sąsiedniego pokoju. Czasem był to płacz Niusi - Rosjanie aresztowali jej narzeczonego, a prowadzone szeptem rozmowy albo odgłos szurających za drzwiami kroków nie pozwalał mi zasnąć.

Dużo czytałam. Mój nastrój najlepiej oddawał wiersz Tarasa Szewczenki „Mołytwa"[8] – *„Mynajuť dni, mynajuť noczi, mynaje lito; szelestyť pożołkłe łystia, hasnuť oczi, zasnuły dumy, serdce spyť. I wse zasnuło... I ne znaju, czy ja żywu, czy dożywaju, czy tak po switi woloczus´, bo wże ne płaczu, ne smijus´... Dole, de ty? Dole, de ty? Nema nijakoji..."*

Przetłumaczyłam go na polski: *„...Dni i noce mijają, płyną lata jak potok, mija życie i serce zamiera... Zżółkły liście na drzewach, zgasły oczy zmęczone, żal i gorycz na duszy dnie wzbiera... Płynie lato za latem, płynie wiosna za wiosną, dni milczące mijają powoli, serce nie wie czy żyje, czy zasypia na wieki, żal – je ściska, żal dławi, żal boli... Los wielkimi krokami dookoła się skrada, ale podejść się lęka...dlaczego?..."*

[1] szkoła dziesięcioletnia
[2] zawiedujuszczyj pedagogiczeskoj czastiu – tu: kierownik naukowy
[3] „kto nie pracuje ten nie je"
[4] dowódca
[5] żona dowódcy
[6] „Czerwony Kącik"
[7] ukraiński
[8] „Modlitwa"

Rozdział 5

Od wybuchu wojny minęły prawie dwa lata.

Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku wybuchła wojna rosyjsko-niemiecka. Rosjanie w popłochu ewakuowali miasto. Ładowali co się dało do aut ciężarowych - rodziny, meble i dobytek.

Ludzi ogarnęła panika. W strachu przed Niemcami niektórzy uciekali razem z Rosjanami. Większość postanowiła przeczekać i nie ruszała się z miejsca. Ojcu w pracy również zaproponowano ewakuację w głąb Rosji. „Uchodite skoreje" – powiedzieli – „Germancy idut!"[1)]

Niestety, Ojciec nie skorzystał z tej oferty i pozostaliśmy w Stanisławowie. Władze rosyjskie wycofały się z miasta i zarząd nad Stanisławowem objęli ukraińscy nacjonaliści. Na ulicach pojawiły się niebiesko-żółte chorągwie, a ludzie pozdrawiali się słowami: „Sława Ukrajini!" odpowiadając „Sława na wiky!"[2)]

Znowu rozbijano szyby w sklepach, rabowano i mordowano.

Po kilku dniach niepokoju do Stanisławowa weszły wojska węgierskie. W mieście zapanował porządek; Węgrzy byli grzeczni, zachowywali się poprawnie, a niektórzy spacerowali po Lipowej z miejscowymi dziewczętami. Mieli dobrze skrojone mundury i czapki z pióropuszem.

Po trzech tygodniach sielanka się skończyła i zjawili się Niemcy.

Teraz ludzie bali się już wychodzić na ulicę.

Wydarzenia następowały szybko. Zaczęły się szykany ludności żydowskiej. Żydzi musieli ustępować miejsca na chodniku przechodzącym Niemcom. Rabina i jego żonę zapędzono do sprzątania ulic. Skonfiskowano Żydom aparaty radiowe, potem kazano oddać biżuterię i futra. Dawny gmach sądu przy ulicy Bilińskiego zajęło Gestapo.

O jedzenie było coraz trudniej. Codziennym posiłkiem były gotowane kartofle - jeden garnek na siedem osób.

Nie było pieniędzy. Zaczęliśmy sprzedawać ubrania, aby za zdobyte pieniądze kupić od chłopów trochę żywności.

Ojciec znalazł pracę jako robotnik na tartaku. Wracał do domu z rękami w bąblach albo zdartą do krwi skórą.

Nagle wszystko się zmieniło. Dotąd żyliśmy między ludźmi; mieliśmy sąsiadów i przyjaciół. Ludzie kłaniali się Ojcu na ulicy. Miałam koleżanki szkolne i ulubione nauczycielki. Teraz świat zaczął się dzielić na Polaków, Żydów i Ukraińców. Żaden inny podział nie był już ważny. Okazało się, że sąsiedzi z pierwszego piętra to Ukraińcy, którzy czekają tylko, żeby zająć nasze mieszkanie. Że Polak, któremu Ojciec zaniósł dywan do sprzedania wyparł się, że go dostał. Że dzieci z mieszanych małżeństw są Żydami. Że matka Herty jest Niemką, więc Niemcy kazali jej wyrzec się żydowskiego męża, inżyniera Garfunkla, a dr Wojewidka jest Ukraińcem i ma żonę Żydówkę. I w jakiś czas później żona inżyniera Garfunkla zginęła w getcie razem ze swoją żydowską rodziną, a dr Wojewidka został razem z żoną zastrzelony przez Gestapo. I że dyrektorka szkoły im. Królowej Jadwigi, panna Hubertówna urodziła się jako Żydówka.

Wydarzenia toczyły się coraz szybciej. W niedzielę 2 sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku zawiadomiono Ojca o poleceniu władz niemieckich aby wszyscy adwokaci - Żydzi stawili się w gmachu sądu na Bilińskiego. To samo polecenie dostała cała inteligencja żydowska: rano mieli się zgłosić nauczyciele, inżynierowie i muzycy; w południe, razem z adwokatami - lekarze i dentyści - razem około tysiąca osób.

„Nie czekajcie na mnie z obiadem" - powiedział Ojciec, wychodząc z domu.

Widzieliśmy Go wtedy po raz ostatni.

Na drugi dzień rano poszłyśmy z Pepą na Bilińskiego. Przed gmachem sądu stał tłum kobiet - żony, matki i dzieci. Ktoś widział przykryte plandekami samochody ciężarowe, wyjeżdżające z sądowego podwórza. Mówiono, ze Niemcy wywożą ludzi do obozów pracy. Ale Polacy mówili, że w lesie pod Pawełczem kopano groby i że tam ich wieziono i rozstrzeliwano.

Z początkiem sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Niemcy wprowadzili dla Żydów przymus noszenia opasek z gwiazdą Dawida. Kiedy ktoś pokazał się na ulicy bez opaski zabierano go na Gestapo i rozstrzeliwano. Opaski musieli nosić wszyscy Żydzi od czternastu lat.

Do trzynastych urodzin brakowały mi jeszcze cztery miesiące.

Na świadectwach szkolnych miałam napisane: *„Irena Wilderówna, narodowość polska, wyznanie mojżeszowe"*.

Dziadek Gelehrter był członkiem komitetu organizacyjnego budowy Wielkiego Templum w Stanisławowie w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym roku.

W szkole co tydzień uczęszczałam na lekcje religii mojżeszowej.

Ale codziennie, razem ze wszystkimi, śpiewałam modlitwę poranną „Kiedy ranne wstają, zorze..."

Kiedy umarł Marszałek Piłsudski brałam udział w szkolnym nabożeństwie kościelnym. Na Wielkanoc malowałam z Marynią pisanki i kleiłam łańcuchy choinkowe na Boże Narodzenie. Mimo wysiłków pana Segala nigdy nie nauczyłam się czytać po hebrajsku, ale znałam na pamięć wszystkie kolędy.

Tego dnia jednak wiedziałam dokładnie kim jestem. Nie pomogły perswazje Pepy ani Niusi ani jej rodziców; postanowiłam nosić opaskę razem z dorosłymi.

Nadszedł dzień dwunastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Akcja zaczęła się o siódmej rano. Niemcy i Ukraińcy chodzili od domu do domu, walili kolbami w drzwi mieszkań, krzyczeli „Loss, loss!"[3] i szczuli Żydów psami, wypędzając wszystkich na ulicę.

Ułożyliśmy Kubę na kocach. Był bezwładny, ciężki i trudno go było znieść z drugiego piętra. Krzyczał, kiedy jego głowa obijała się o schody.

Przed domem stała kolumna ludzi tak długa, że nie wiadomo było gdzie się zaczyna a gdzie się kończy. Było chłodno i padał deszcz zmieszany z pierwszym śniegiem.

Złożyliśmy Kubę na mokrym asfalcie. Ludzie stali, niektórzy siedzieli na krawężnikach. Trwało to bardzo długo. Wreszcie Niemcy popędzili nas przed siebie, a potem znowu zatrzymali kolumnę. Powtarzało się to wiele razy - parę kroków naprzód i długi postój - co kilka metrów. Na skrzyżowaniu jakiejś ulicy dołączono nas do innej grupy; wtedy Niemcy zaczęli krzyczeć „Schnell![4]" i znowu popędzali nas kolbami. Nie mogliśmy już dłużej dźwigać koca z Kubą i ciągnęliśmy go po ziemi. Miał zamknięte oczy i jęczał.

Nie wiedziałam gdzie jesteśmy; ze wszystkich stron otaczał nas tłum ludzi. Ktoś powiedział, że idziemy w kierunku cmentarza.

Było już późno po południu, kiedy rozległy się strzały. Najpierw przytłumione, potem coraz bliższe i wyraźniejsze. Kolumna znowu zatrzymała się. Staliśmy bardzo długo, przysłuchując się strzelaninie. O szóstej wieczorem Niemcy poszczuli nas psami z powrotem w kierunku miasta. Niektórzy zostali zatratowani przez tłum, biegnący przed siebie na oślep.

Kazano nam wracać do domu. Ci przed nami nie mieli takiego szczęścia. Od samego rana cmentarz obstawiony był przez Niemców i ukraińską policję. Poprzedniego dnia wykopano tam długi rów. Egzekucja rozpoczęła się o pierwszej. Niemcy kazali ludziom podchodzić do rowu grupami i rozbierać się do naga. Potem Niemcy i Ukraińcy strzelali do nich z karabinów maszynowych. Niektórzy byli tylko zranieni i dusili się przed śmiercią pod warstwą trupów. Wrzucano do rowu kobiety w ciąży i matki z dziećmi przy piersi.

Późnym wieczorem wróciliśmy na Lipową. Było ciemno. Wnieśliśmy jęczącego Kubę po schodach na drugie piętro. Mieszkanie było otwarte. Siedzieli w nim ukraińscy sąsiedzi z pierwszego piętra; nie byli zadowoleni z naszego powrotu.

Tego dnia na cmentarzu zamordowano ponad dziesięć tysięcy Żydów.

W końcu października Niemcy wytyczyli granicę getta: od mostu Halickiego przez ulicę Szewczenki i Piotra Skargi do Kazimierzowskiej i wzdłuż rzeki Bystrzycy - od mostu do przedłużenia żydowskiego cmentarza. W ciągu listopada ludność aryjska miała opuścić swoje mieszkania na tym terenie, a do końca grudnia mieli się tam przesiedlić Żydzi. Potem getto miało zostać zamknięte.

Szesnastego grudnia, cztery dni przez moimi trzynastymi urodzinami zjawił się w naszym mieszkaniu młody Ukrainiec, który z polecenia ciotki Łucji miał mnie wywieźć do Lwowa.

Nie wiedziałam jeszcze, że za czternaście miesięcy getto zostanie zlikwidowane.

Nie wiedziałam, że zginie Pepa i Niusia, Kuba i państwo Salimonowie.

Że zginie wujek Bronek i ciotka Hela, Waldek i Ludwiś.

Że zginą wszyscy.

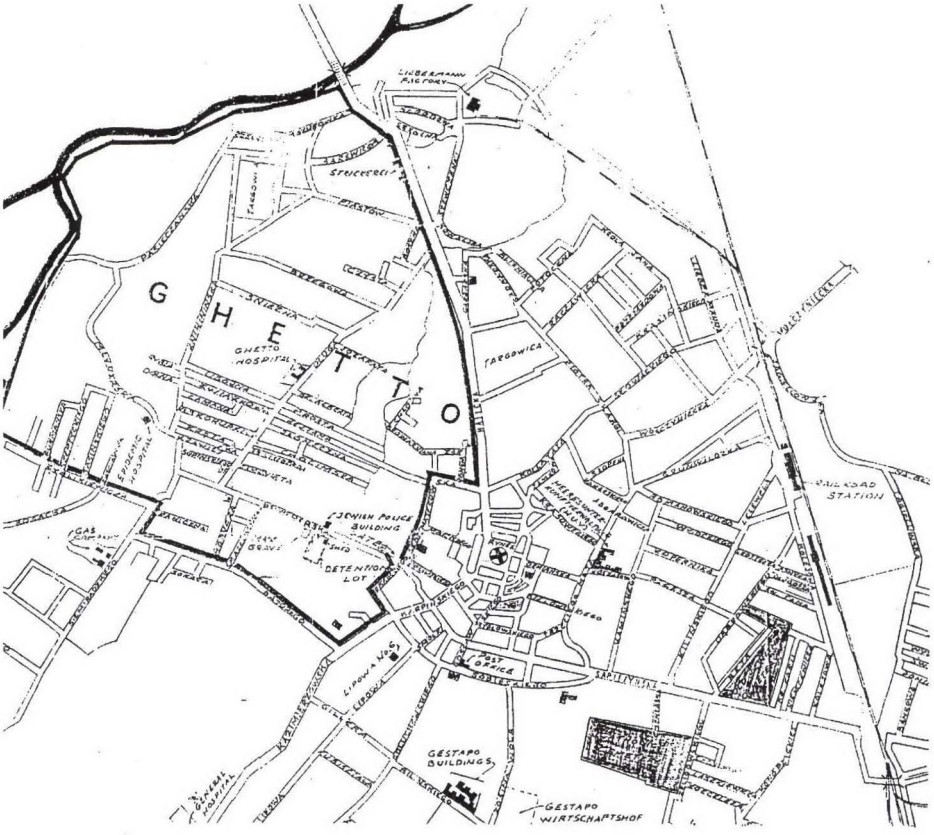
Nie chciałam rozstawać się z Pepą i nie chciałam wyjeżdżać ze Stanisławowa. Ale Pepa wiedziała lepiej. „Jedź, Irusiu, to tylko na krótko. Niedługo wojna się skończy i znowu będziemy razem."

Uwierzyłam.

Tego dnia zdjęłam opaskę z gwiazdą Dawida i razem z młodym Ukraińcem opuściłam Stanisławów.

NA ZAWSZE.

[1] „Uciekajcie szybko! Niemcy idą!"
[2] „Chwała Ukrainie! Chwała na wieki!
[3] „Ruszać się!
[4] Prędzej!



Mapa Getta w Stanisławowie (1941 - 1943)

TUTTLEMAN LIBRARY OF GRATZ COLLEGE
Melrose Park, PA

Rozdział 6

Przez wybite okno nieopalanego wagonu wciskał się strumień ostrego grudniowego powietrza. Pociąg był nieoświetlony; czasem dobroczynną ciemność rozjaśniał błysk zapalanej przez kogoś zapałki albo sprawdzający bilety konduktor świecił w twarze kolejową latarką. Chowałam wtedy głowę w ramiona i udawałam że śpię. Młody Ukrainiec siedział oddzielnie, gdzieś w drugim końcu wagonu.

Podróż ciągnęła się w nieskończoność. Pociąg zatrzymywał się na niewielkich stacyjkach, zgarniając spóźnionych pasażerów; często przystawał w szczerym polu, wśród zasp śniegu, bielejących pod bladą poświatą księżyca, a nocną ciszę przerywało tylko odległe wycie psów, a może wilków.

Kiedyś jeździłam do Lwowa z Rodzicami: z Mamą na konsultacje u jakiegoś znanego lekarza, a po śmierci Mamy już tylko z Ojcem, w odwiedziny do babci. Wyjazdy te czasem zbiegały się z Targami Wschodnimi, które razem zwiedzaliśmy. Chodziliśmy do wytwornej kawiarni Georga - na lody z owocami. Ciotka Łucja zabierała mnie do znanego sklepu Berty Stark, gdzie mogłam sobie wybrać to, co mi się najbardziej podobało. Babcia pozwalała mi bawić się ze swoją ulubioną suczką Ticą, a służąca Antoniowa gotowała moje najulubieńsze potrawy. A potem zawsze wracaliśmy do domu.

Teraz każda chwila coraz bardziej oddalała mnie od Stanisławowa.

Kiedy pociąg zwolnił wreszcie biegu i powoli wtoczył się na lwowski dworzec od domu dzieliło mnie już sto trzydzieści kilometrów.

O północy znalazłam się na Kochanowskiego w ciepłych ramionach ciotki Łucji. Przywitała mnie płaczem; płakałyśmy obie, nie rozmawiając.

Nie wiedziałam jeszcze, że we Lwowie Żydom także groziło śmiertelne niebezpieczeństwo - w początku lipca zginęły cztery tysiące, a w trzy tygodnie później dalsze dwa tysiące ludzi. Że domy żydowskie są plądrowane, synagogi podpalane, a cmentarze niszczone. Że ludność żydowska już od listopada przemieszczana jest do dzielnicy żydowskiej i że podczas tej akcji Niemcy zamordowali pięć tysięcy starych i chorych ludzi. I że getto ma zostać zamknięte do końca grudnia.

Ludzie przygotowywali się na najgorsze. Wiedzieli, że ich czas jest policzony; kto tylko mógł się ratować musiał działać natychmiast.

Następnego dnia ciotka Łucja zabrała mnie do kościoła św. Antoniego na Łyczakowie. Tam siostra zakonna Benedykta zaprowadziła nas do księdza Czaprana, który wystawił mi wyciąg aktu urodzenia z parafialnych ksiąg metrykalnych. Znikła wówczas Irena Wilderówna ze Stanisławowa, córka Oskara i Janiny, wyznanie mojżeszowe, a jej miejsce zajęła Maria, lat jedenaście, wyznania rzymsko-katolickiego, nieślubne dziecko płci żeńskiej z matki Katarzyny, ojciec nieznany.

Potem ciotka Łucja zaprowadziła mnie na Małą 6 i oddała pod opiekę wujka Ludwika i ciotki Stefy.

Dorośli byli zajęci swoimi sprawami. Po domu kręcili się obcy ludzie. Przeważnie byłam pozostawiona sama sobie.

Parę godzin dziennie spędzałam z siostra Benedyktą, która uczyła mnie słów pacierzy i wyznań wiary katolickiej. Lubiłam chodzić do kościoła. Stał blisko domu, za rogiem. Wchodziło się po schodach, na których siedzieli żebracy. W środku panował półmrok, pachniało kadzidłami; było cicho, bezpiecznie i nikt nie przeszkadzał mi płakać.

A w domu pisałam:

„...Spotkali się wczoraj na stopniach kościoła,
on rękę do wiernych wyciągał w pokłonie,
a ona paciorki wciskała im w dłonie
- okrągłe jak groszek paciorki różańca...
Dziś razem już żebrzą,
on żebrze uśmiechu ust które zawisły miedzy nim a niebem,
a które mu będą i wodą i chlebem,
spieczonych jak skórka chlebowa od słońca..."

Spotkania z siostrą Benedyktą skończyły się kiedy z początkiem stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku uciekliśmy ze Lwowa do Warszawy.

Jeszcze dalej od Stanisławowa...

Zima była mroźna. Temperatura spadła poniżej dwudziestu stopni. Jechaliśmy jakimś autem, zdobytym przez wujka Ludwika nie wiadomo skąd. Po obu stronach szosy piętrzyły się sterty zlodowaciałego śniegu, a jezdnię pokrywała śliska warstwa lodu. Posuwaliśmy się ostrożnie i powoli - jak za pogrzebem.

Podróż trwała całą noc. Nad ranem przyjechaliśmy do Warszawy. Ulica Ostrobramska na Grochowie leżała na uboczu. Była rzadko zabudowana - kilka jednopiętrowych domów po parzystej stronie ulicy, z drugiej - zaśnieżone pole, jak na wsi.

Zatrzymaliśmy się przed numerem 94. Państwo Edward i Stanisława Ficowie wiedzieli już o naszym przyjeździe. Zamieszkaliśmy u nich; pokój był niewielki, ogrzewany żeliwną „kozą" przyśrubowaną do drzwiczek kaflowego pieca, na której można było zagotować herbatę.

W domu nie było prądu i wieczorem zapalało się lampę karbidową, która światła dawała niewiele, ale cuchnęła i powodowała uporczywy ból głowy. Dorośli spali na łóżku, a dzieci rozkładały na ziemi materace, które w ciągu dnia ustawiało się pod ścianą. Gospodarze pozwalali nam korzystać z kuchni, ale aby tego nie nadużywać ciotka Stefa gotowała zupę na kilka dni, a potem odgrzewała ją na „kozie".

Kiedy skończyły się mrozy i nastała wiosna chodziliśmy ze Zbyszkiem na Wał Miedzeszyński po mlecz i pokrzywy, które po ugotowaniu przypominały nieco szpinak. Inną smakowitą potrawą była brukiew pastewna, podprawiona odrobiną mąki. Chleb za to smakował jak trociny, chociaż i tak nigdy nie było go dosyć.

Staraliśmy się nie wychodzić na ulicę. O tym, co działo się w Warszawie wiedzieliśmy z tajnych gazetek, przynoszonych do domu przez pana Edwarda. Czytaliśmy o represjach, aresztowaniach, łapankach i egzekucjach dokonywanych na Polakach. Czytaliśmy także o nieludzkich warunkach w getcie.

Getto warszawskie było już od dawna zamknięte i Żydom nie wolno było przebywać po aryjskiej stronie. Groziła im za to kara śmierci, często wykonywana natychmiast, na ulicy, albo w kryjówkach, w których znajdowali schronienie. Kara śmierci groziła także pomagającym im Polakom.

Po Warszawie grasowali szmalcownicy[1]. Szmalcownicy szantażowali ukrywających się Żydów, wymuszając od nich pieniądze albo kosztowności. A kiedy Żydzi nie mieli już nic do oddania - często wydawali ich Niemcom.

Konfidenci Gestapo trudnili się polowaniem na Żydów i doprowadzali ich na Aleję Szucha[2] albo na posterunek granatowej policji[3], która z kolei dostarczała złapanych Żydów na Gestapo, gdzie czekała ich niechybna śmierć.

O wielu takich przypadkach pani Stanisława słyszała od swojej siostry, której mąż był granatowym policjantem Komisariatu Policji na Grochowie. Opowiadała o tym w kuchni, zawsze pod nieobecność pana Edwarda, który niechętnie spoglądał na kontakty żony z siostrą i szwagrem.

Wiedzieliśmy że Żydzi, ukrywający się po aryjskiej stronie musieli stale mieć się na baczności. W każdej chwili mógł ich zdradzić wygląd albo zachowanie - niespokojne spojrzenie, opuszczona głowa, przyspieszony krok na ulicy. W najgorszej sytuacji byli mężczyźni, narażeni na poniżającą kontrolę osobistą - w bramie albo na klatce schodowej. Nie mogły wtedy pomóc nawet najlepsze dokumenty. Znaleźli się wówczas lekarze, którzy dokony-

wali na nich specjalnego zabiegu operacyjnego - bolesnego i kosztownego, ale przeważnie mało skutecznego.

Kobiety, szczególnie te, które wyglądem i zachowaniem nie różniły się od otoczenia - miały lepsze szanse przetrwania. Musiały jednak posiadać dobre, nie budzące podejrzeń dokumenty, świadczące o aryjskim pochodzeniu.

Pewnego dnia wymiana naszych dokumentów stała się koniecznością. Wystawione zostały na jedno nazwisko: według nich wujek Ludwik i ciotka Stefa byli moimi rodzicami, a kuzyn Zbyszek - bratem. Nazywałam się teraz Krystyna Julia Solecka, córka Stanisława i Stefanii z domu Król, urodzona dwunastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Dziadkami ze strony ojca byli Franciszek i Anastazja z domu Barańska, ze strony matki - Antoni i Karolina, z domu Tobiasz.

Na podstawie tych dokumentów mogliśmy się wreszcie zameldować i uzyskać kartki żywnościowe na skąpe przydziały cukru, mięsa i tłuszczu. Musiałam także poddać się zarządzeniu władz niemieckich o przymusie nauczania dla młodzieży do czternastu lat. Chociaż szkoły, gimnazja i wyższe uczelnie dla Polaków były zamknięte, powstała jednak sieć szkół zawodowych, przygotowujących młodzież do pracy.

W końcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku zaczęłam uczęszczać do szkoły handlowej dla dziewcząt. Mieściła się tuż za rogiem, przy ulicy Łukiskiej. W tym samym budynku, który niczym nie przypominał szkoły znajdowało się także pomieszczenie szkody mechanicznej dla chłopców. Lekcje odbywały się na zmianę, co drugi dzień i obejmowały rachunki, towaroznawstwo i maszynopisanie. Po raz pierwszy od wielu miesięcy znalazłam się wśród rówieśników. Musiałam być bardzo ostrożna; nie wolno mi było z nikim się zaprzyjaźnić, nie mogłam o sobie opowiadać, zapraszać koleżanek do siebie ani spotykać się z nimi po lekcjach. W milczeniu przysłuchiwałam się rozmowom, w których czasem padały uwagi na temat Żydów; niektóre zaskakiwały swoim okrucieństwem.

Nauka nie sprawiała mi trudności. Wykręcałam się jednak jak mogłam z maszynopisania, bo na lekcje te trzeba było jeździć do śródmieścia. Bałam się jazdy tramwajem i stykania się z ludźmi. Ale mijały tygodnie i miesiące, a w szkole nikt mnie nie rozpoznał. Nabrałam pewności siebie. Zaczęłam jeździć na lekcje pisania na maszynie. Nauczyłam się patrzeć ludziom prosto w oczy, nigdy nie chowałam twarzy i wiedziałam jak się zachowywać, aby niczym nie wyróżniać się od otoczenia.

Od tego czasu nie mogłam już usiedzieć w domu. Wymyślałam sobie rozmaite zajęcia. A że bardzo nam były potrzebne pieniądze postanowiłam zarabiać handlem. Każdego rana o świcie szłam do pobliskiej piekarni i kupowałam kilkadziesiąt bułek. Potem roznosiłam je do budek spożyw-

czych na Grochowie, po dziesięć albo dwadzieścia sztuk, zarabiając na każdej bułce po kilka groszy. Była to swego rodzaju tortura, bo bułki pachniały smakowicie, a ja byłam wiecznie głodna.

Z czasem zaczęłam jeździć do śródmieścia. Pan Edward pracował w fabryce wyrobów kosmetycznych i przynosił do domu wodę kolońską, mydełka i pudry, które dostarczałam do sklepów perfumeryjnych i mydlarni w centrum miasta. Oczywiście - zarobek na nich był większy niż na bułkach.

Widziałam, jak ulicami Warszawy maszerowało niemieckie wojsko. Żołnierze śpiewali wojskowe piosenki, a miarowy rytm podkutych butów głucho dudnił po asfalcie. Czasem na rogach ulic zatrzymywały się kryte plandeką budy, z których wysypywali się niemieccy żandarmi. Przechodnie w popłochu rozbiegali się na wszystkie strony i krzycząc „łapanka, łapanka!" chowali się w okolicznych bramach. Żandarmi wyciągali ich stamtąd i, bijąc kolbami, ładowali na ciężarówki. Niekiedy łapali mężczyzn, ustawiali ich pod murem i rozstrzeliwali.

Pewnego dnia znalazłam się na Siennej. Środkiem jezdni biegł mur z czerwonej cegły, zakończony kawałkami tłuczonego szkła; po drugiej stronie było getto. Weszłam do jakiegoś domu i po klatce schodowej wspięłam się na najwyższe piętro; stamtąd rozlegał się widok na drugą stronę muru.

Zobaczyłam wychudzone postacie mężczyzn, kobiet i dzieci, przykucnięte na krawężnikach. Na chodniku leżały nieruchome kształty ludzkie, przykryte gazetami. Podchodzili do nich jacyś mężczyźni, odrzucali gazety i podnosili je z ziemi - jeden za głowę, drugi za nogi. Potem ładowali trupy na drewniany wóz, i - ciągnąc go za sobą - znikali w sąsiednich ulicach. Widok ten prześladował mnie przez wiele miesięcy.

Kiedy znalazłam się z powrotem na ulicy zmieszałam się z żywym tłumem przechodniów. Uliczna orkiestra grała jakieś podwórzowe tango, kolorowo ubrane dziewczynki grały w klasy, a stara kobieta siedziała na ławce i karmiła stado gołębi.

W kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku w getcie wybuchło powstanie. Nad miastem, spowitym w chmurę dymu stanęła płomienna łuna, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach spalenizny. Mówiono, że matki w getcie wyrzucały swoje niemowlęta przez okno, a potem same wyskakiwały za nimi na bruk.

Od czasu do czasu na ulicach Warszawy pojawiały się wynędzniałe dzieci żydowskie, którym jakimś cudem udało się przedostać przez mur. Niemcy urządzali na nie polowania, strzelając do nich jak do dzikich zwierzątek. Kiedyś niemiecki żołnierz długo bawił się w kotka i myszkę

z małym, może sześcioletnim chłopczykiem. Kiedy go wreszcie złapał - na oczach milczących gapiów otworzył żeliwną klapę i wrzucił dziecko do kanału...

Po kilku tygodniach powstanie zostało stłumione i Warszawskie Getto przestało istnieć.

[1] szantażyści
[2] siedziba Gestapo
[3] polska policja współpracująca z Niemcami

A B S C H R I F T.

RESPUBLICA: POLONIA — ARCHIDIOCESIS : LEOPOLIENSIS

Palatinatus: Stanisławów — Parochia: O t t y n i a

Districtus: T ł u m a c z — Mrus: 1 4 1.

Siegel: "Urząd Parafialny O t t y n i a Ob.Łac.

T E S T I M O N I U M B A P T I S M I.

Ex parte Officii parochialis r.lat. Ecclesiae paroch. in Ottynia notum testatumque fit, in libris metricalibus huius Ecclesiae Tom.V.Pag.421 reperiri sequentia:

Annus Mensis et dies nativitatis et baptismi.	Mrus domus.	N o m e n	Religio	Sexus	Thori	Parentes et conditio.	Patrini et conditio.
Anno Domini Millesimo nongentesimo trigesimo- die duodecimo- Maii nata 12.V.1930. ac 20. V. baptisata est.	Czerowa Nr.7.	C r i s t i n a J u l i a / bin /	Rom.- cath.	puella	legitimi	Stanislaus Philipus SOLDUKI Offic.privat. fil. Francisci et Anastasiae nat. BARAŃSKA / Stephania Vanda fil. Antonii Król et Carolinae nat.Tobiasz	Casimirus Czyżewski prof.postm. Zofia Kwiatkovska Obstetrix Maria Cieplak

Baptisavit: Antonius Tymiński

Quas testimoniales manu propria subscribo et sigilio Ecclesiae parochialis munio.

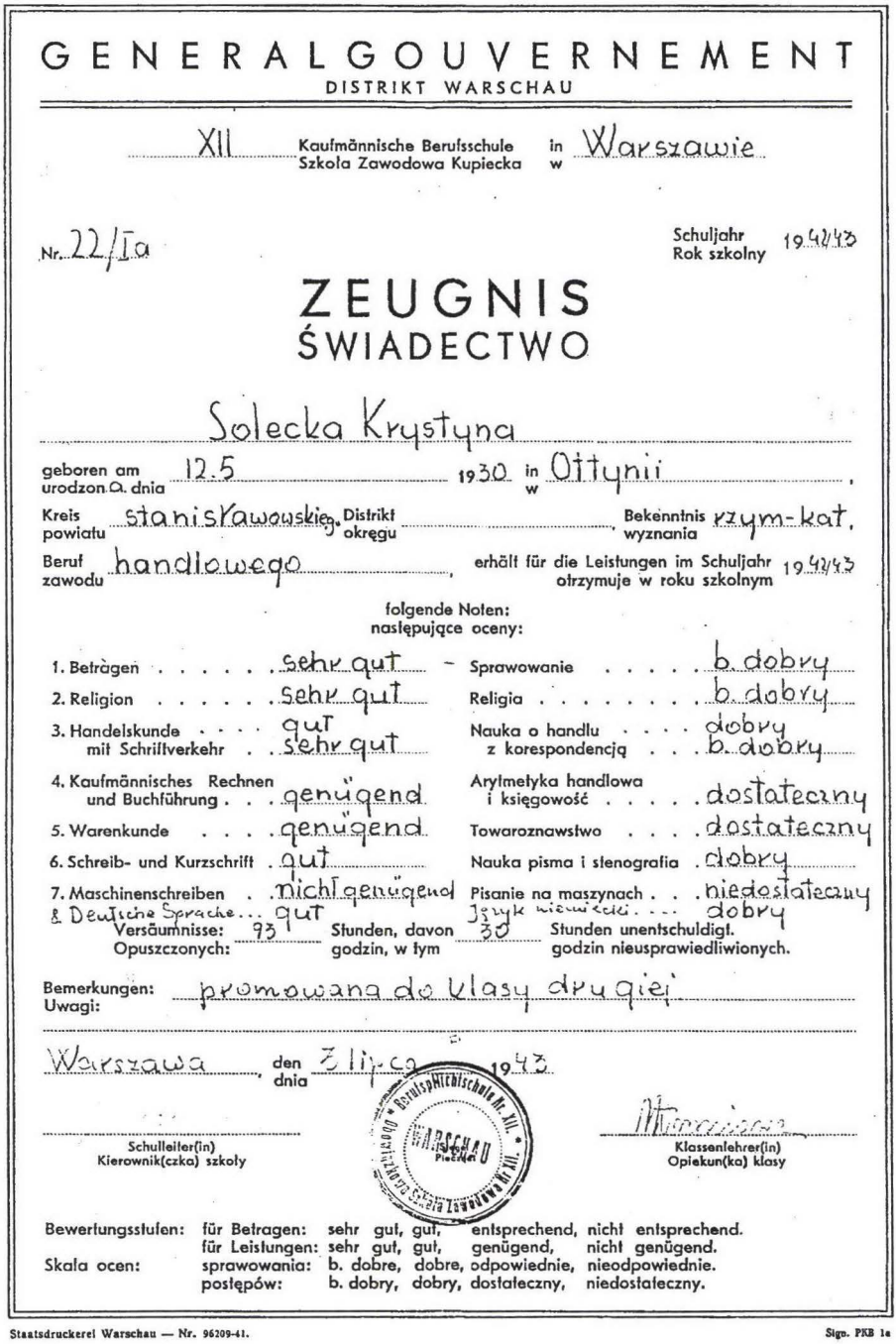
Ottynia, die 3 Aprilis A.D.1935.

Siegel : Urząd Parafialny Ottynii Ob.Łac. /-/ Unterschrift unleserlich paroch.

Numer repertorium 1191/1943

Dnia [illegible] roku

Moja fałszywa metryka



GENERALGOUVERNEMENT
DISTRIKT WARSCHAU

XII Kaufmännische Berufsschule / Szkoła Zawodowa Kupiecka in / w Warszawie

Nr. 22/Ia

Schuljahr / Rok szkolny 1942/43

ZEUGNIS
ŚWIADECTWO

Solecka Krystyna

geboren am / urodzon. a. dnia 12.5 1930 in / w Ottynii,

Kreis / powiatu stanisławowskiego, Distrikt / okręgu ..., Bekenntnis / wyznania rzym-kat.,

Beruf / zawodu handlowego, erhält für die Leistungen im Schuljahr / otrzymuje w roku szkolnym 1942/43

folgende Noten:
następujące oceny:

1. Betragen	sehr gut	Sprawowanie	b. dobry
2. Religion	sehr gut	Religia	b. dobry
3. Handelskunde	gut	Nauka o handlu	dobry
mit Schriftverkehr	sehr gut	z korespondencją	b. dobry
4. Kaufmännisches Rechnen und Buchführung	genügend	Arytmetyka handlowa i księgowość	dostateczny
5. Warenkunde	genügend	Towaroznawstwo	dostateczny
6. Schreib- und Kurzschrift	gut	Nauka pisma i stenografia	dobry
7. Maschinenschreiben	nicht genügend	Pisanie na maszynach	niedostateczny
& Deutsche Sprache	gut	Język niemiecki	dobry

Versäumnisse: / Opuszczonych: 93 Stunden, davon / godzin, w tym 39 Stunden unentschuldigt. / godzin nieusprawiedliwionych.

Bemerkungen: / Uwagi: promowana do klasy drugiej

Warszawa, den / dnia 3 lipca 1943

Schulleiter(in) / Kierownik(czka) szkoły

Klassenlehrer(in) / Opiekun(ka) klasy

Bewertungsstufen: für Betragen: sehr gut, gut, entsprechend, nicht entsprechend.
für Leistungen: sehr gut, gut, genügend, nicht genügend.
Skala ocen: sprawowania: b. dobre, dobre, odpowiednie, nieodpowiednie.
postępów: b. dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny.

Staatsdruckerei Warschau — Nr. 96209-41. Sign. PKB 1a

Świadectwo Kupieckiej Szkoły Zawodowej za rok 1942/43

Rozdział 7

Niedaleko Ostrobramskiej - na placu Szembeka - rozłożyło się targowisko. Stały tam budki z warzywami i słup telegraficzny z megafonem. Ludzie nazywali go „szczekaczką"; codziennie w południe Niemcy nadawali przez „szczekaczkę" swoje wiadomości, a niewielki tłumek stojący pod megafonem słuchał i komentował.

Pewnego dnia w gromadce ludzi pod szczekaczką zobaczyłam kuzyna Lolka. Ostatni raz widzieliśmy się w przeddzień wybuchu wojny we Lwowie. Lolek z trudem mnie poznał; ucieszył się i zaprowadził do swego mieszkania. W niewielkim pokoju siedziała przy stole ciotka Łucja i babcia Amalia; na małym stołeczku pod oknem młoda kobieta karmiła kilkumiesięczne dziecko. Była to żona Lolka, Hanka z synkiem Jędrusiem.

Kilka miesięcy wcześniej ktoś pomógł ciotce Łucji zdobyć aryjskie dokumenty. Zabrała więc matkę, syna z żoną i wnuka i uciekła ze Lwowa do Warszawy. Tu udało się jej wynająć pokój w domu przy ulicy Łukomskiej. Był wąski i ciemny, a z zapleśniałych ścian unosił się stęchły zapach wilgoci; aby pozbyć się tego zapachu trzeba było stale trzymać lekko uchylone okno, wychodzące na niewielkie podwórko. Pokój mieścił się na pierwszym piętrze, nad piaskownicą dla dzieci i kilkoma krzakami akacji. Wodę nabierało się w ubikacji, a mały Jędruś kąpany był w blaszanej wanience, ustawianej na dwóch rozchybotanych krzesłach. Wanienka służyła także do mycia całej rodzinie.

Ciotka Łucja z babcią Amalią spały na leżance, a Lolek z Hanką na sienniku, rozkładanym na noc na podłodze. W ciągu dnia Jędruś leżał w beciku na posłaniu ciotki i patrzył w sufit dużymi niebieskimi oczkami. Uśmiechał się rzadko. W nocy Hanka kładła go na ziemi po swojej stronie siennika, a kiedy dziecko płakało - po ciemku karmiła je piersią.

Ciotka Łucja była teraz zmęczoną, steraną kobieta,. Znalazła sobie jakąś pracę; znikała z domu na kilka godzin, a wracając zawsze przynosiła ze sobą coś do jedzenia. Kiedy ciotki nie było Hanka nerwowo krążyła po pokoju, tuliła do siebie Jędrka i płakała.

Hanka nie miała „dobrego wyglądu". Zdradzały ją ciemne, kręcone włosy i ładna semicka twarz.

Babcia siedziała nieruchomo przy stole i milczała. Wychowana we Wiedniu nigdy nie nauczyła się dobrze mówić po polsku, a jej chropowaty niemiecki akcent mógł być łatwo przyjęty za żydowski żargon. Wiedziała, że nie wolno jej odzywać się do nikogo, bo może tym sprowadzić na wszystkich

nieszczęście. Milczała więc już zawsze, pogłębiona w swoich myślach, których z nikim nie dzieliła. Hanka i babcia nigdy pokoju nie opuszczały.

Odwiedzałam ich rzadko, zawsze zachowując dużą ostrożność i umówiony z ciotką sposób pukania - najpierw lekko, trzy razy, potem przerwa i jeden raz mocno. Kilka przedmiotów ustawionych w pewnej kolejności na parapecie okna oznaczało „uciekać, niebezpieczeństwo!"

Babcia uparcie milczała. Pewnego dnia, kiedy Hanka usnęła, babcia wyszła z domu i więcej nie wróciła.

Następnego dnia w gazecie ukazała się krótka wzmianka o znalezieniu trupa starej kobiety. Sekcja zwłok wykazała że przyczyną zgonu była duża dawka trucizny na szczury. Kobieta nie miała przy sobie żadnych dokumentów i ciało złożono w miejskiej kostnicy dla identyfikacji.

Tak zginęła babcia Amalia.- matka Olesia

Wojna trwała już czwarty rok. Niemcom potrzebne były wciąż nowe ręce do pracy i łapanki uliczne były coraz częstsze.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku rozpoczęły się naloty. Nad Warszawą przelatywały eskadry samolotów - nikt dobrze nie wiedział - angielskich czy rosyjskich - i bombardowały miasto.

Kiedy syreny ogłaszały alarm lotniczy nie schodziliśmy nigdy do schronu, tylko uciekaliśmy na pola w kierunku Wału Miedzeszyńskiego. Którejś nocy bomba spadła na sąsiedni dom - pozostał po nim głęboki lej i sterta gruzu.

Nastał listopad. Dni były coraz krótsze, noce chłodniejsze. Ciotkę Łucję widywałam rzadko. Kiedy przychodziłam na Łukomską zastawałam przeważnie tylko Hankę z Jędrusiem. Ciotka pracowała, a Lolek, nie zważając na przestrogi matki codziennie wymykał się z domu pod „szczekaczkę". Pewnego dnia spotkał tam kolegę z lwowskiego konserwatorium. Ucieszyli się, wyściskali, powspominali stare czasy. Potem kolega odprowadził Lolka do domu. Nie wszedł na górę, ale umówili się na następny dzień.

Wieczorem zjawili się szmalcownicy. Ciotka Łucja wypchnęła Lolka z domu i oddała im wszystkie pieniądze.

Następnego dnia przyszli znowu; ciotka oddała im resztę biżuterii.

Kiedy wrócili po raz trzeci Hanka złapała Jędrusia, wyrzuciła go przez okno i sama wyskoczyła za nim na podwórze. Szmalcownicy obrzucili ciotkę pogróżkami, zapowiedzieli że przyjdą następnego dnia i odeszli.

Ciotka Łucja wybiegła na podwórze. Hanka i Jędruś leżeli na stercie świeżego piasku i nic im się nie stało.

Ciotka spakowała trochę ciepłych rzeczy dla Jędrusia, obie z Hanką ubrały pod płaszcz parę swetrów, ustawiły na parapecie znak alarmowy i uciekły z domu.

Na Grochowskiej wsiadły do tramwaju. Dojechały do Saskiej Kępy i w Parku Skaryszewskim schowały się w krzakach. Z liści i ciepłych rzeczy wymościły gniazdko dla Jędrusia, położyły się obok i czuwały przy nim całą noc. Jędruś był niespokojny i płakał. Hanka próbowała przykładać go do piersi, ale straciła pokarm, więc nosiła go po ciemnych alejkach, a kiedy dziecko usnęło znowu leżały przy nim na ziemi, nadsłuchując czy oddycha.

Kiedy wyszły z parku było jeszcze ciemno. Udały się do pobliskiego kościoła, położyły śpiącego Jędrusia pod drzwiami i - schowawszy się za murem - czekały aż ktoś go podniósł z ziemi. Potem poszły do niemieckiego biura werbunkowego i zgłosiły się na roboty do Rzeszy.

Ale o tym dowiedziałam się o wiele później.

Po ciotce Łucji i jej rodzinie zaginął wszelki ślad. Na Łukomską więcej nie chodziłam.

Listopad miał się ku końcowi. Szłam właśnie na przystanek tramwajowy przy Wiatracznej. Obok mnie młoda kobieta popychała wózek z dzieckiem, które bawiło się grzechotką. Było trochę podobne do Jędrusia...

Przyspieszyłam kroku. Na Wiatracznej stała grupka ludzi czekających na tramwaj.

Ktoś z tyłu położył mi rękę na ramieniu; dwaj mężczyźni w skórzanych płaszczach złapali mnie mocno i pociągnęli za sobą w kierunku Grochowskiej.

Ludzie na przystanku patrzyli w milczeniu.

W dyżurce komisariatu na Grochowskiej granatowy policjant poderwał się z krzesła. Jeden z mężczyzn powiedział mu coś, czego nie usłyszałam. Potem obaj wyszli.

Cela do której mnie wprowadzono była niewielka. Na cementowej podłodze stało krzesło i blaszany kubeł na nieczystości. Obok za kratą siedziała na krześle pijana kobieta. Miała nieprzytomne spojrzenie i bluzgała przekleństwami. Po chwili już spała, z głowa opartą o ramię, a z kącika ust sączyła się jej wąska strużka śliny.

Później zaprowadzono mnie na przesłuchanie. Jakiś policjant zadawał mi

pytania: imię, nazwisko, data urodzenia, adres, jak nazywają się rodzice. Kazał mi zmówić „Zdrowaś Mario" i „Ojcze nasz", pytał o sakrament komunii i bieżmowania. Odpowiadałam jak automat i zupełnie zapomniałam o metryce, którą zawsze trzymałam w woreczku za pazuchą. A może myślałam, że i tak nic mi nie pomoże.

Kiedy wróciłam do celi było ciemno; pod sufitem paliła się niebiesko pomalowana żarówka. Pijana kobieta chrapała.

Przez całą noc chodziłam po celi - pięć kroków pod ścianą, potem wzdłuż kraty i z powrotem. Bolała mnie głowa, gardło miałam ściśnięte, piekły oczy. Jeszcze przed nastaniem świtu blaszany kubeł wypełniony był po brzegi.

Rano zjawił się policjant. Kobieta jeszcze spała. Policjant rozsunął kratę i milcząco wyprowadził mnie z komisariatu.

Na ulicy było pusto. Zrobiło mi się żal życia „Byle tylko nie bolało" pomyślałam. W tym momencie policjant rozejrzał się, popchnął mnie lekko przed siebie i powiedział: „No to zwiewaj i żeby tu śladu po tobie nie było, rozumiesz?"

Rozdział 8

Musiałam zniknąć. W Warszawie nie mogłam pozostać, więc dałam się złapać w akcji ulicznej i zostałam wywiezina do Niemiec.

W styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku znalazłam się w obozie w Wiener-Neustadt. W baraku obozowym było nas dwieście albo trzysta kobiet różnej narodowości. Spałyśmy na drewnianych pryczach pod zgrzebnymi kocami, rzuconymi na słomiane sienniki. Pryczę z prawej strony zajmowała Despina. Była Greczynką, nieco starszą ode mnie - miała siedemnaście albo osiemnaście lat. Zaprzyjaźniłyśmy się ze sobą, mimo braku wspólnego języka.

Najgorsze były noce. Często prześladowały mnie zmory:

„Skrzypi łóżko w ciemności... duszno
woń brudnych dawno nie mytych już ciał.
Pluskwy na spacer wychodzą ze szpar,
księżyc się wciska przez szyby...
O, gdyby ktoś okno otworzyć chciał...
Izba jest pełna upiorów i mar,
mary siadają na piersi,
duszą za gardło zimnymi palcami...
Świszczą oddechy. Ktoś jęknął.
Strach zimny oblewa czoło jak lodem.
Boję się, szczękam zębami...
Jakieś szeptania i śmiechy...
Chora wyobraźnia goni resztkami sił.
Lecę w przepaść otchłanną...
serce bić na chwilę przestało,
ciało przemocy się nie opiera,
osłabło i już się nie broni..."

Despina siadała wówczas na mojej pryczy, a jej milcząca obecność pomagała mi znowu usnąć.

Obóz dostarczał robotników dla okolicznych gospodarstw rolnych. Przyjeżdżały tu „bauerki" i wybierały sobie ludzi do pracy: mężczyzn do robót w polu, kobiety do kuchni i obejść gospodarczych.

Pewnego dnia w obozie pojawiły się dwie miastowe panie w poszukiwaniu służących. Jedna z nich zabrała Despinę, druga mnie.

Byłam teraz służącą w domu Fryderyka Stimmlera, inżyniera chemika z I.G. Farben Industrie i jego żony Izoldy; mieli dwoje dzieci -chłopców w wieku trzech lat i ośmiu miesięcy.

Mieszkałam przy Trautenau Platz w XVII Bezirku Wiednia. Sprzątałam pięciopokojowe mieszkanie, gotowałam, prałam pieluszki i robiłam zakupy z Frau Stimmler. Na ulicy nosiłam przyszytą do ubrania literę „P" (Pole), ale bacznie wystrzegałam się kontaktu z Polakami.

Udało mi się zdobyć adres Despiny. Napisałam do niej i wkrótce dostałam odpowiedź, pisaną w łamanej niemczyźnie. Była służącą w domu jakiegoś wysokiego funkcjonariusza i mieszkała w centrum Wiednia, obok kościoła św. Stefana.

Raz na dwa tygodnie spędzałyśmy ze sobą wolne od pracy niedzielne popołudnia. Despina posiadała już pewien zasób niemieckich słów i mogłyśmy się względnie dobrze porozumieć. Nasze spotkania były mi potrzebne jak powietrze.

Pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku rozpoczęło się bombardowanie Wiednia. Moi pracodawcy ewakuowali się do miasteczka Mattighofen, niedzleko Braunan - miejscowości, w której urodził się Adolf Hitler.. Despina pozostała w Wiedniu.

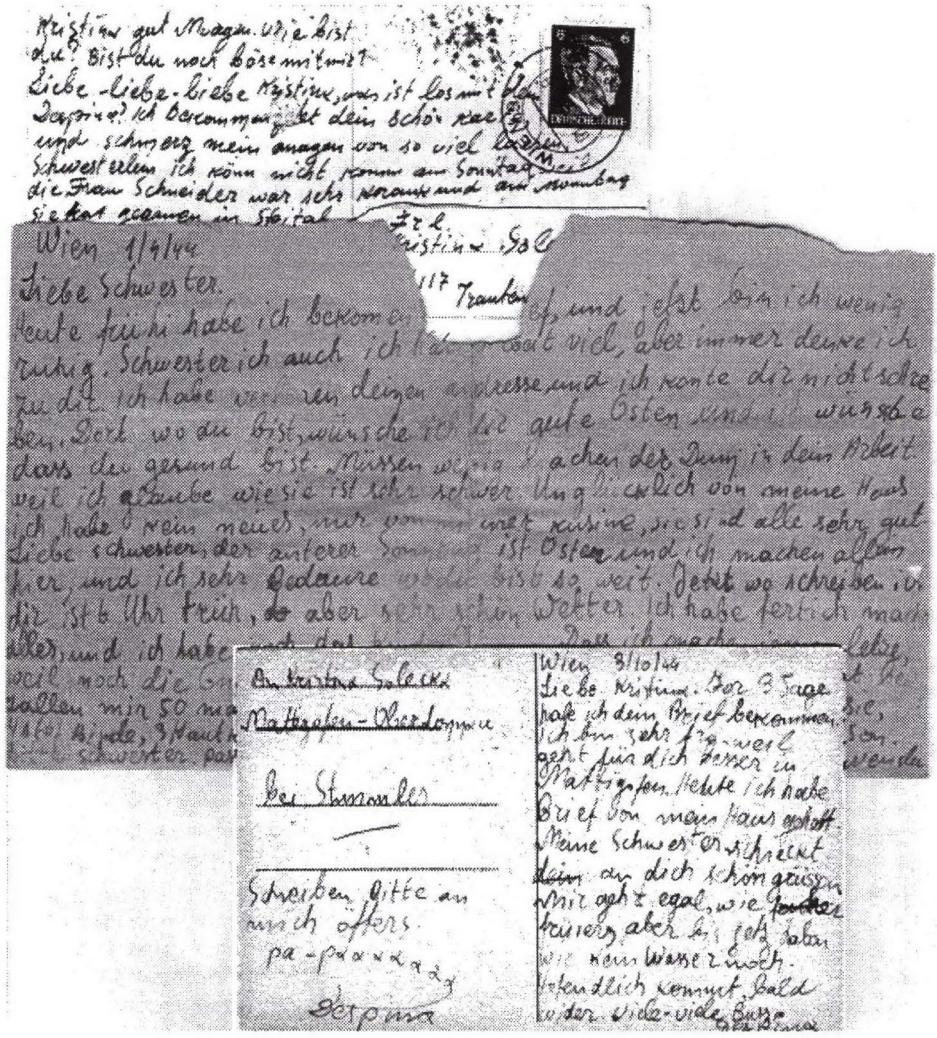
W Mattighofen zamieszkaliśmy w willi matki Frau S. Ściany willi pokrywała drewniana boazeria, a pokoje zastawione były ciężkimi, rzeźbionymi meblami. Z sufitów zwisały ozdobne lampy naftowe, przerobione na elektryczność.

Praca przekraczała często moje siły... Dzień miał za mało godzin aby sprostać wszystkim obowiązkom. Pracowałam w domu, w polu, w ogrodzie i drewutni. Nie wiedziałam co się dzieje na świecie i przestałam już wierzyć, że wojna kiedyś się skończy. Z polskimi robotnikami bałam się spotykać.

Widziałam, jak miejscowe kobiety chwaliły się listami od mężów i synów. Przychodziły z Paryża, Amsterdamu i Salonik. Co niektórzy przysyłali do domu paczki z prezentami i fotografie, które kobiety z dumą pokazywały sąsiadom. Niekiedy listonosz doręczał listy w kopertach z czarnymi obwódkami, ale tymi nikt się nigdy nie szczycił.

Z początkiem tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zaczęto powoływać do wojska młodzież z organizacji „Hitlerjugend" i starszych mężczyzn do batalionów „Volkssturmu". W wielu domostwach pozostały same kobiety; kopano rowy, przygotowywano worki z piaskiem i coraz częściej mówiono o zbliżającym się froncie.

Wiadomości od Despiny przychodziły nieregularnie. W jednym z nich napisała, że wojna niedługo się skończy a wtedy zabierze mnie ze sobą do Aten, gdzie mieszkali jej rodzice. *„Będziesz moją małą siostrzyczką i zawsze będziemy już razem."*



Listy Despiny

Potem listy przestały przychodzić.

Despina zginęła podczas bombardowania Wiednia w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku.

Z końcem kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku do Mattighofen wkroczyły wojska amerykańskie. Na ulice wyległy grupy robotników z różnych krajów Europy. Trzymali uszyte na prędce choragiewki o barwach narodowych i obrzucali nadjeżdżające czołgi wiązankami polnych kwiatów. Kiedy kolumna czołgów zatrzymywała się Amerykanie rozdawali gumę do żucia, czekoladę i papierosy. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam Murzynów.

Niedługo potem zgłosiłam się do amerykańskiego obozu DP na powrót do domu. A DOMEM ciągle jeszcze był Stanisławów.

Obóz leżał w lesie, dwadzieścia kilometrów od Mattighofen. Niedawno mieścił się tam niemiecki obóz pracy Ranshofen, ciągle jeszcze otoczony drutem kolczastym; nad obozem górowały wieże strażnicze, ale brama była już otwarta.

Mieszkaliśmy w tych samych barakach i spaliśmy na tych samych pryczach, na których zaledwie przed kilkoma tygodniami leżeli więźniowie. Myliśmy się pod tymi samymi kranami na placu obozowym i gryzły nas te same pluskwy. W nocy spadały z sufitu na drewniane prycze i nie było przed nimi ratunku.

Ale byliśmy wolni. Byliśmy młodzi. Choć pochodziliśmy z różnych krajów i mówiliśmy różnymi językami - język w ogóle nie był nam potrzebny. Łączyła nas wszechogarniająca radość i wspólna nadzieja na powrót do domu.

Teraz można było nadrabiać utracone lata, każdy po swojemu, według własnej woli i upodobania. Dobierały się pary; mężczyźni zostawali na noc w kobiecych barakach i nikt im tego nie bronił. Niektórzy wychodzili z obozu, a wracając przynosili prezenty dla swoich kobiet - zegarek albo pierścionek, czasem chustę z frędzlami albo pantofle na wysokich obcasach - przedmioty, których kobiety tak długo były pozbawione. O pochodzenie tych rzeczy nikt nikogo nie pytał.

Znalazły się jakieś instrumenty muzyczne; powstała orkiestra. Co noc bawiono się w obozowej kantynie; śpiewaliśmy włoskie, francuskie i rosyjskie piosenki, tańczono czardasza i hopaka.

Mijały miesiące. Upłynął czerwiec, lipiec i sierpień. Do obozu przyjeżdżały komisje Czerwonego Krzyża i przyjmowały zapisy na wyjazd do Szwecji i Holandii. Cześć ludzi wyjechała.

Wreszcie w październiku został skompletowany polski transport. Pod obozową bramę podstawiono pociąg, który miał nas zawieźć do domu.

Był piękny jesienny dzień. Z okien pociągu roztaczał się widok skąpanej w słońcu okolicy. Na polach krzątali się ludzie, miarowo stukały koła wagonów. Pociąg przejechał Austrię, mijał Czechosłowację. Nagle znaleźliśmy się w Polsce. Na punkcie granicznym w Zebrzydowicach wydano nam karty repatriacyjne i sto złotych na pierwsze wydatki i powiedziano nam, że teraz jesteśmy wolni i możemy robić to, na co mamy ochotę.

Na dworcu zniszczonej, zrównanej z ziemią Warszawy dowiedziałam się, że Stanisławów został po drugiej stronie wschodniej granicy i że nigdy więcej już tam nie wrócę.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
w Dziedzice

Wzór Nr. 4
(wydaje się kobietom, dzieciom i mężczyznom powyżej lat 50)

CK
STOŁECZNY KOMITET OPIEKI SPOŁECZNEJ
Warszawa

Przepustka Nr. 222331

Wydana ob. Solecka Krystyna Stanisław
(nazwisko, imię, imię ojca)
ur. 5.5.1927 Olyma pow. Stanisławów
(data i miejsce urodzenia)
przybywającemu (ej) z terytorium Austria
Ob. Solecka Krystyna przeszedł przez Punkt Odbiorczy
w Dziedzice dnia „20. 8. 1945 r.
i udaje się do swojego miejsca zamieszkania w
Warszawa Ostrobramska 94a
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5.5.45 wyżej wymieniony (a) ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkiemi środkami lokomocji do Warszawa

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazicielowi (ce) niniejszego.

M. P.

Kierownik Punktu Odbiorczego

Wydano dnia „20. 8. 45 r. w Dziedzice

Ważne do dnia 5. 9. 45

250 000 – VI. 45. – Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

Przepustka repatryjacyja

Warszawa leżała w gruzach. Kikuty wypalonych domów straszyły martwymi oczodołami okien. Wyrwane tory tramwajowe, skręcone słupy telegraficzne, zniszczone mosty na Wiśle. Na prawostronny brzeg można się było dostać tylko po moście pontonowym; pod barakiem dworcowym stał sznur pojazdów konnych, a wąsaci furmani nawoływali: „Na Pragę! Na Pragę! Za jednych dziesięć złociszów!"

Znowu znalazłam się na Grochowie. Na Ostrobramskiej mieszkali obcy ludzie. Państwo Ficowie zginęli: zastrzelili ich uciekający Niemcy w przeddzień wyzwolenia Pragi. Wujek Ludwik z ciotką Stefą uratowali się i mieszkali niedaleko placu Szembeka na Grochowskiej.

Do Warszawy ściągali tysiącami mieszkańcy stolicy, wysiedleni przez Niemców po Powstaniu Warszawskim. Wracali do zburzonych domów w poszukiwaniu bliskich. Na szczątkach murów znajdywali kartki tych, którzy przybyli wcześniej: *„Rodzina Zarembów żyje. Szukać w Rembertowie u Zosi." „Stach z Jadzią poszukują rodziny - wiadomość u cioci Mani w Otwocku"* i *„Dominik czeka na wiadomość, mieszka w Falenicy, Szwoleżerów 5."*

Zostawali w Warszawie. Gnieździli się w piwnicach ruin, w skleconych na prędce barakach, bez wody i światła.

Ale życie powoli wracało do normy. Powstawały nowe urzędy i instytucje. Potrzeba było tysięcy rąk do odgruzowywania Warszawy. Otwierały się szkoły: poranne dla dzieci i wieczorowe dla dorosłych.

Do Stanisławowa nie mogłam pojechać - zostałam więc w Warszawie. Jedynym moim dokumentem była okupacyjna metryka i karta repatriacyjna. Zatrzymałam przybrane nazwisko i z nikim nie dzieliłam się przeżyciami wojennymi; o pewnych rzeczach po prostu się nie mówiło. Milczeniem objęte były także dawne ziemie polskie na wschodzie - oficjalnie Lwów i Wilno nie istniały.

Życie moje potoczyło się tak, jak życie wielu moich rówieśników. Znalazłam pracę i zamieszkałam w hotelu pracowniczym na Lwowskiej. W tym samym domu powstała stołówka, wydająca śniadania, obiady i suchy prowiant na kolacje. Zapisałam się do szkoły. W dzień pracowałam, uczyłam się wieczorami, a w niedziele brałam udział w odgruzowywaniu miasta. Powoli znikały ruiny, powstawały nowe domy i osiedla. Przeżywałam codzienne radości i smutki, zrywy młodzieńczego entuzjazmu, przeplatane okresami zwątpień. Normalna, w miarę ustabilizowana egzystencja.

Kilka miesięcy po skończeniu wojny przyjechała do Warszawy ciotka Łucja. Dopiero teraz dowiedziałam się o tym, co stało się w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim roku.

Podrzuciwszy małego Jędrusia pod drzwiami kościoła ciotka z Hanką uciekły do Niemiec. Przez półtora roku pracowały w fabryce amunicji. Praca była mordercza i Hanka chorowała na serce. Kiedy wojna skończyła się ciotka umieściła ją, w miejscowym szpitalu, a sama wróciła do Warszawy w poszukiwaniu wnuka i syna.

Rozpoczęłyśmy poszukiwania razem. W kościele na Saskiej Kępie młody ksiądz nie słyszał o podrzuconym dziecku, ale znał nazwisko starego kościelnego. Kiedy znalazłyśmy jego adres okazało się, że nie żył już od roku. Jego siostra pamiętała, że podczas okupacji ktoś znalazł pod kościołem niemowlę, którym zaopiekowała się jakaś kobieta z pobliskiego zieleniaka.

Zieleniak był niewielki, sześć albo osiem budek. Wchodziłyśmy do każdej - bez rezultatu. W ostatniej budce młoda kobieta spojrzała na nas przenikliwie i powiedziała, że była taka, ale jeszcze przed końcem wojny wyjechała do Lublina.

W Lublinie znalazłyśmy mieszkanie rodziny Banasiów. Przy stole siedziały dwie kobiety, a na ziemi chłopczyk o niebieskich oczach swego ojca - Lolka, bawił się drewniana łyżką. Ciotka Łucja rzuciła się w jego kierunku; jedna z kobiet złapała małego na ręce i zawołała: *„A czego?"* Przestraszony chłopczyk popatrzył spodełba na ciotkę i powtórzył: *„A czego?"* Ciotka rozpłakała się i zawołała *„Mój Jędruś!"* Kobieta mocno trzymała dziecko i krzyczała: *„Nie, to mój Grzesiek!"* Przerażony Jędruś tulił się do kobiety i obrzucał ciotkę wyzwiskami. Potem kobieta nawymyślała nam okropnie i wyrzuciła nas z mieszkania. Wróciłyśmy znowu. Ciotka tłumaczyła coś chaotycznie i zanosiła się płaczem, kobieta nadal nie chciała z nami rozmawiać. Wracałyśmy przez następne trzy dni - aby prosić, aby błagać, dziękować i obiecywać.

Dziecko zniknęło.

Wreszcie trzeciego dnia kobieta przyprowadziła Jędrusia. Nie pozwalał się dotknąć, kopał i drapał jak małe zranione zwierzątko. Zapłakana kobieta odepchnęła go od siebie i podała ciotce Łucji. Jędruś uspokoił się dopiero w pociągu, kiedy zmęczony płaczem usnął na kolanach ciotki.

Poszukiwania Lolka nie powiodły się; wszelki ślad po nim zaginął.

Ciotka Łucja zabrała Jędrusia i wyjechała z nim przez zieloną granicę do czekającej w niemieckim szpitalu Hanki. Niedługo potem Tusiek sprowadził matkę i Hankę z dzieckiem do Ameryki.

Kontakt z Banasiami trwał później przez długie lata.

Moim domem była teraz Warszawa. Ale Stanisławów był ciągle miastem mego dzieciństwa i takim chciałam go zapamiętać. Uporczywie spisywałam nazwy ulic, rysowałam plany miasta, odtwarzałam znajome nazwiska i nieznane w Warszawie słowa lwowskiego „bałaku".

Od Tuśka z Ameryki pochodziły przedwojenne fotografie Ojca - z Tuśkiem i Lolkiem na ulicy Akademickiej we Lwowie, z Mamą przed sklepem Berty Stark, we Worochcie na nartach.

Przechowywałam je jak relikwie; był to zaczątek mego własnego archiwum, uzupełnianego przez następne dziesięciolecia - archiwum ziemi niezapomnianej.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku dostałam się na wieczorowe studia dziennikarskie. Kiedy byłam na drugim roku studiów zaproponowano mi pracę w Biurze Radcy Handlowego w Moskwie.

Trudno opisać moją radość: przecież tam, po drugiej stronie granicy, gdzieś miedzy Warszawą a Moskwą leży mój Stanisławów!

W maju tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku wyjechałam do Moskwy i przystąpiłam do pracy. Przerwane studia kontynuowałam zaocznie, a egzaminy zdawałam w Warszawie.

Mieszkałam w hotelu „Metropol" obok Teatru Wielkiego. Wystawiano w nim opery i balety z udziałem najlepszych artystów. Swoją karierę zaczynała właśnie młodziutka primabalerina Maja Plisiecka, występowały słynne tancerki Galina Ułanowa i Olga Lepieszyńska. Niedaleko Teatr Mały wystawiał sztuki pisarzy rosyjskich - Gogola, Gribojedowa i Ostrowskiego.

W repertuarze Moskiewskiego Teatru Artystycznego MCHAT przeważały sztuki Czechowa i Tołstoja. Oglądałam tu wielka, aktorkę Ałłę Tarasową, niezapomnianą, w roli „Anny Kareniny".

Dużo czasu spędzałam w Galerii Tretiakowskiej. Były tu płótna słynnych malarzy rosyjskich - Pierowa, Kramskoja i Riepina, krajobrazy Wasniecowa i Szyszkina.

Na ogromnym Placu Czerwonym za murami warownymi wznosiły się budynki Kremla; pod murem stała marmurowa bryła Mauzoleum Lenina, a przed nią wielotysięczna kolejka zwiedzających.

W Mauzoleum było ciemno. Lenin leżał w szklanej trumnie jak żółta figura woskowa. Ludzie przesuwali się w milczeniu, nie wolno było się zatrzymywać.

Kilka razy do roku Mauzoleum zamieniało się w trybunę, z której przywódcy partyjni i państwowi odbierali defiladę. Przez Plac Czerwony maszerowały tłumy moskwiczan z portretami Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina.

Portretów Stalina było najwięcej; sam Stalin stał na trybunie i uśmiechał się do tłumu.

Moskwa była ogromna i pełna kontrastów. Obok starej bogatej architektury wyrastały nieciekawe budowle socjalizmu, moskiewskie metro zaskakiwało swoją funkcjonalnością, a każda stacja była dziełem sztuki samym w sobie. Miasto miało dużo zieleni, parków i skwerów, muzea i sale wystawowe, które po kolei zwiedzałam.

Z niecierpliwością czekałam na pierwszy urlop, aby nareszcie ziścić swoje marzenie i pojechać do Stanisławowa. Zobaczyć, odświeżyć swoją pamięć, powspominać.

Okazało się jednak, że istniały rygorystyczne przepisy, które całkowicie izolowały cudzoziemców - niezależnie od kierunku geopolitycznego - od kontaktów z Rosjanami. W stosunku do Rosjan wyciągane były surowe konsekwencje. Na codzień przestrzegały tego tzw. „etażnyje"[1] w hotelu, których zadaniem było obserwowanie ruchu na każdym piętrze i legitymowanie wszystkich odwiedzających.

Cudzoziemcom wolno było poruszać się tylko w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Moskwy.

A Stanisławów leżał prawie tysiąc kilometrów na południowy zachód...

[1] piętrowe



Studium Dziennikarskie
Akademii Nauk Politycznych
w Warszawie

Podpis właściciela legitymacji

Studium Dziennikarskie
Akademii Nauk Politycznych
w Warszawie

WYKAZ STUDIÓW

Nr 239

Nazwisko Solecka
imię Krystyna
rodem z Ottynii

został(a) przyjęty(a) w poczet studentów Studium Dziennikarskiego Akademii Nauk Politycznych

Warszawa, dnia 25 II 1949 r.

Akademia Nauk Poli
w Warszawie
WYDZIAŁ Dziennikar
Nr albumu 3577

WYKAZ STUD

Nazwisko Solecka
imię Krystyna
rodem z Ottynii

został(a) przyjęty(a) w poczet studentów Akademii Nauk Politycznych

Warszawa, dnia 25 II 1948 r.

SZKOŁA GŁÓWNA SŁUŻBY ZAGRANICZNEJ
W WARSZAWIE
EKSTERNAT

KSIĄŻECZKA KONTROLI
odbytych konsultacji i zdawanych egzaminów

Nazwisko Solecka
Imiona Krystyna
Data urodzenia 12 maja 1927 r.
Miejsce urodzenia Ottynia Stanisławowski
(powiat i województwo)

Została wpisana na listę Eksternatu
dn. 15. 12. 1950 r. pod Nr
i jest uprawniony do zdawania egzaminów w zakresie Wydziału Stanowiska Zagranicznego

Rektor
Kierownik Eksternatu

Lata studenckie

Rozdział 9

Do Warszawy wróciłam w maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku. Znowu zamieszkałam w hotelu pracowniczym, tym razem na Brackiej. Po dwóch miesiącach przydzielono mi pokój z używalnością kuchni przy ulicy Puławskiej na Mokotowie. Pracowałam obok Sejmu, między Parkiem Ujazdowskim a Placem Trzech Krzyży. Dojeżdżałam tramwajem do Placu Konstytucji i przechodziłam Koszykową do Pięknej. Codziennie wstępowałam do parku i karmiłam pływające po stawie łabędzie.

Od zakończenia wojny minęło siedem lat. W dalszym ciągu trudno mi było dzielić się swoimi przeżyciami, które zachowywałam wyłącznie dla siebie.

W listopadzie tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku poznałam Otka. Na pierwszą randkę umówiliśmy się w kawiarni „Niespodzianka" na Placu Konstytucji. Trwała pięć godzin. Wypiliśmy niezliczoną ilość czarnej kawy i rozmawialiśmy o w s z y s t k i m.

Otek urodził się w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim, na samej granicy polsko-czechosłowackiej. Przed wojną Ustroń liczył cztery i pół tysiąca mieszkańców, w tym około 30 rodzin żydowskich - razem sto dwanaście osób. Pod koniec ubiegłego stulecia jego dziadek, Adolf Windholz prowadził tam sklep towarów mieszanych i gospodę; był jednym z założycieli komitetu budowy ustrońskiej synagogi, oddanej do użytku w tysiąc dziewięćset drugim roku.

Dziadek Adolf i babcia Joanna mieli siedmioro dzieci: pięciu synów i dwie córki. Po śmierci dziadka gospodę przejęła babcia Joanna. Ze wszystkich dzieci przy matce pozostał tylko szósty z kolei, Józef. Reszta wyjechała z Ustronia i założyła rodziny po drugiej stronie Olzy - w Czeskim Cieszynie, Ołomuńcu, Witkowicach i Opawie. Najmłodsza siostra wyszła za mąż do Krakowa. Czworo z nich zginęło później w niemieckich obozach koncentracyjnych.

Józef przez kilka lat pomagał matce w prowadzeniu gospody. Z początkiem lat dwudziestych przywiózł sobie żonę z czeskich Michałkowic i na miejscu ojcowskiej gospody założył fabrykę surogatów kawowych „Perła". Od połowy lat trzydziestych był przewodniczącym Izraelickiej Gminy Wyznanio-

wej w Ustroniu. Jego żona Selma była jedną z trzynaściorga dzieci małżonków Adolfa i Rosy Ring; miała czterech braci i osiem sióstr. Z trzynaściorga rodzeństwa troje zmarło śmiercią naturalna; jedna z sióstr przeżyła wojnę w Rumunii; reszta - dziewięcioro braci i sióstr z rodzinami została zamordowana przez Niemców.

Józef i Selma mieli dwóch synów; Otek był o dwa lata młodszy od swego brata Alfreda.

Jako że babcia Joanna mieszkała w Ustroniu - był on ośrodkiem życia rodzinnego. Obchodzono tam wszystkie ważniejsze święta, na które zjeżdżali synowie i córki ze swoim licznym potomstwem. Co roku uroczyście obchodzono urodziny babci. Każdy z wnuków mozolnie kaligrafował ozdobną laurkę i uczył się na pamięć okolicznościowego wierszyka. Babcia siadała w fotelu, do którego kolejno i według starszeństwa podchodziły dzieci i z dobrotliwym uśmiechem przyjmowała życzenia.

Babcia Joanna zmarła w dwudziestym dziewiątym roku swego wdowieństwa i w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku została pochowana na miejscowym cmentarzu obok swego męża Adolfa. Trzy lata później zmarła matka Otka, Selma.

We wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku do Ustronia wkroczyli Niemcy, a cały Śląsk Cieszyński został wcielony do Trzeciej Rzeszy. Już w połowie października miała miejsce pierwsza masowa wywózka Żydów z obu stron Olzy do obozu koncentracyjnego w Nisku - według planu rozpracowanego przez Adolfa Eichmana. Wywożono mężczyzn od szesnastu do sześćdziesięciu lat. W transporcie znalazł się ojciec z obu synami; Otek skończył w tym roku trzecią klasę Szkoły Handlowej w Cieszynie.

Z Niska udało im się uciec. Szli przed siebie, kierując się na wschód. W dzień ukrywali się w zbożu, wędrowali nocą. Wreszcie zbliżyli się do Bugu i przez zieloną granicę przedostali się do zajętego przez władze sowieckie Lwowa. Przez jakiś czas dzielili los tysięcy uciekinierów. Pewnej nocy zostali aresztowani przez NKWD i razem z innymi wywiezieni w głąb Rosji. Podróż trwała długo - najpierw koleją w bydlęcych wagonach, potem statkiem po Irtyszu. Znaleźli się na Syberii, w Omskiej Guberni, Chantymansyjskim Okręgu Narodowym, posiołok Wierchnyje Baraki - pięćset kilometrów na południe od koła polarnego i dwieście osiemdziesiąt kilometrów do najbliższej stacji kolejowej. Zakwaterowano ich w drewnianych barakach. W nocy gryzły ich pluskwy. Rano strażnicy wyprowadzali ich w głąb lasu, gdzie pracowali przy wyrębie tajgi nawet wtedy, kiedy temperatura spadała do minus trzydziestu stopni.

Po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku nastąpiła amnestia i obywatele polscy zostali zwolnieni z sowieckich lagrów.

Otek i Fredek wstąpili do armii polskiej dowodzonej przez generała Berlinga. Przeszli cały szlak bojowy, począwszy od Sielc; Otek walczył o zdobycie Warszawy, Wału Pomorskiego, Starogardu i Kołobrzegu. Dzień zakończenia wojny zastał go w Brandenburgu na zachód od Berlina.

Ojciec został przesiedlony na Ukrainę. Tam zaprzyjaźnił się z wdową po oficerze polskim, zamordowanym w Katyniu. Pani Michalina Pilecka pochodziła z Żółkwi. Jak wielu innych - Rosjanie wywieźli ją na Sybir. Po amnestii znalazła się na Ukrainie, gdzie była wychowawczynią w polskim sierocińcu.

W jesieni tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku, jeszcze przed zdemobilizowaniem, Otek wrócił po ojca i przywiózł go do Ustronia. Po kilku miesiącach w Ustroniu zjawiła się pani Misia i nigdy już z niego nie wyjechała. Żółkiew - podobnie jak Stanisławów została po drugiej stronie granicy. Pani Misia znalazła pracę w lokalnej bibliotece, prowadziła razem z ojcem gospodarstwo i nienawidziła istniejącego reżimu. Wówczas Otek wyjechał na studia w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie, a potem rozpoczął pracę w Warszawie.

Spotykaliśmy się coraz częściej.

W lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku pojechaliśmy razem do Ustronia. Była to malownicza miejscowość podgórska, bardzo przypominająca Jaremcze; tutejsze góry nazywały się Beskidy. Szlaki turystyczne prowadziły na wysoką, majestatyczną Czantorię i mniejszą łagodniejszą Równicę. Jaremczański Prut zamieniła przepływająca przez Ustroń Wisła. Teraz była skuta lodem i prawie niewidoczna pod pierzyną puszystego śniegu.

Podobnie jak do Jaremcza - tu również przyjeżdżali wczasowicze; z Katowic, Krakowa i Bielska, albo - jak mówili ustroniacy „kajsi z Polski" - z Warszawy, czy Łodzi. W zimie jeździli na nartach, a w lecie brali kąpiele borowinowe w zakładach wodoleczniczych, do których przyjeżdżał kiedyś sam arcyksiążę Albrecht i pili wodę żelazistą ze źródełka na Zawodziu.

Poznałam ojca i panią Misię. Polubiliśmy się od razu. Odwiedziliśmy budynek przykościelny na rynku, w którym siostry Boromeuszki prowadziły kiedyś przedszkole, do którego Otek uczęszczał przez trzy lata. Niedaleko stała ewangelicka szkoła powszechna, w której uczył się do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Siedział w jednej ławce z synem kościelne-

go Adamem Gomolą. Po szkole wdrapywali się na wieżę kościelną i huśtając się na sznurze dzwonili na Anioł Pański.

Na pobliskiej Polanie stała jednoklasowa szkoła wiejska, w której sto lat temu uczyła się babcia Joanna. Otek zaprowadził mnie na miejsce, gdzie kiedyś stała ustrońska synagoga, spalona przez Niemców w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Odwiedziliśmy miejscowy cmentarz z nagrobkami dziadków i grób matki Selmy.

W przeddzień powrotu do Warszawy siedzieliśmy z ojcem i panią Misia w domu rodzinnym na pograniczu Ustronia i Hermanic. Tu, we frontowej części budynku mieściła się kiedyś gospoda dziadka Adolfa, a w podwórzu były zabudowania dawnej palarni kawy, którą mieszkańcy Ustronia nazywali „Windholzówką".

Przy budynku fabrycznym stał komin z czerwonej cegły, na którym co roku bociany budowały swoje gniazdo. Teraz komin był pusty, bo bociany przylatywały dopiero na wiosnę. Część budynku i pomieszczenia fabryczne zajmowały biura spółdzielcze. Ojcu pozostawiono dwa pokoje z kuchnią - dawną sypialnię i pokój w którym urodzili się obaj synowie, a w którym teraz mieszkała pani Misia.

Kiedy wypiliśmy kawę ojciec wyciągnął skądś stare albumy z fotografiami. Były tam zdjęcia dziadków, wujków i ciotek; panowie w sztywnych kołnierzykach i kobiety w długich sukniach. Fotografie ślubne i fotografie dzieci: Otek na kolanach mamy, Otek z Fredkiem i psem-pinczerem o dziwnej nazwie Punczi-Urusa Dewadara Quatcho; rodzice na basenie, na wycieczce górskiej, przy samochodzie.

W szufladzie kredensu leżał związany wstążeczką plik narzeczeńskiej korespondencji rodziców z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku razem z innymi pamiątkami rodzinnymi - wszystko przechowane w czasie wojny przez byłego pracownika fabryki, szofera Rudolfa Tyrnę.

W serwantce stał serwis z kobaltowej porcelany i kryształy, które przetrwały wojnę zakopane w drewnianej skrzyni pod stodołą sąsiadów, a na ścianie wisiały przechowane przez innych obrazy i portrety rodzinne.

Poczułam się, jak w domu.

Po kilku dniach pobytu w Ustroniu wróciliśmy do Warszawy. Otek coraz częściej odwiedzał mnie na Puławskiej, przynosił węgiel z piwnicy, uszczelniał ramy okienne i wkręcał przepalone żarówki.

Potem pomagał mi w przeprowadzce do kawalerki na zapleczu odbudowanego Nowego Światu, pierwszego własnego mieszkanka na Kubusia Puchatka.

Pobraliśmy się w sierpniu, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku.

Na ślubie było trzynaście osób: ojciec Otka, brat Fredek z żoną, wujek Ludwik z ciotką. Stefą i ośmioro przyjaciół.

I przez czterdzieści pięć lat Otek jest tym, który cierpliwie wysłuchuje niekończących się opowiadań o moim Stanisławowie.

Przez otwarte okno wpadał głośny szum obuwia szurającego po chodniku; tysiące ludzi - warszawiaków i przyjezdnych zwiedzało Stare Miasto. Tam gdzie do niedawna jeszcze piętrzyły się sterty gruzów stały kolorowe kamieniczki; wyglądały tak, jakby stały tu od wieków.

Sznur zwiedzających posuwał się wolno przez Rynek Starego Miasta, wzdłuż murów obronnych Barbakanu, widocznego z okna naszego mieszkania na Krzywym Kole. Dostaliśmy je wzamian za kawalerkę przy Kubusia Puchatka i pokój Otka na Muranowie. Byliśmy bardzo szczęśliwi.

Niedługo potem zaszłam w ciążę. Wymarzyliśmy sobie dziewczynkę. Przyszła na świat w maju tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego roku. Nazwaliśmy ją Joasią, po babci Joannie. Była wcześniakiem i dopiero po sześciu tygodniach mogliśmy odebrać ją ze szpitala. W dniu, w którym zabraliśmy ją do domu ważyła już całe dwa kilogramy.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku urodziła nam się druga dziewczynka. Nazwaliśmy ją Oleńką, po moim Ojcu Olesiu.

Nasza rodzina była teraz w komplecie...

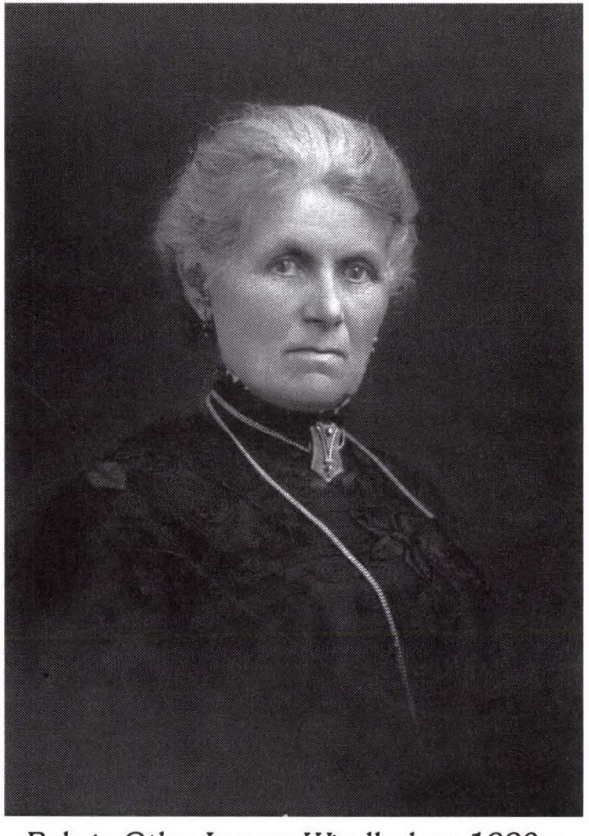


Józef Windholz



Selma Windholz

Rodzice Otka



Babcia Otka Joanna Windholz w 1920 r.



Otek i Fredek w 1935 r.



Przed domem w Ustroniu
od prawej: ojciec, babcia, Otek, mama, Fredek, N/N w 1927 r.

Rozdział 10

Kiedy Oleńka miała niecałe trzy miesiące przeprowadziliśmy się do Pragi. Tym razem skierowanie na placówkę dostał Otek – w ramach współpracy naukowo-technicznej między Polską a Czechosłowacją.

Zamieszkaliśmy w Dejvicech, niedaleko Hradczan. Po drugiej stronie ulicy rozciągały się planty; dzieci z całej okolicy grały tu w klasy, dziewczynki bawiły się skakanką i wyprowadzały na spacer swoje lalki.

Nieco dalej, za kamiennym łukiem Piseckej Brany zieleniły się Chotkove Sady. Leżały na skarpie, z której widać było błyszczące w słońcu dachy Malej Strany. Z Chotkovych Sadów można było przejść do Letohradku Kralovny Anny. W ogrodzie przed pałacem stała spiżowa fontanna, rozpryskująca się tysiącem srebrnych kropelek, a z tarasu pałacyku jak na dłoni rozpościerała się panorama Pragi – lśniąca wstęga Wełtawy, zielone kopuły kościołów, a daleko, gdzieś na horyzoncie pomnik czeskiego bohatera Żiżki na Witkowskim Wzgórzu.

Z Letohradku Kralovne Anny cieniste aleje parku prowadziły do Zamku na Hradczanach. Stąd kamiennymi schodkami, oświetlanymi starymi latarniami gazowymi schodziło się na Rynek Malej Strany i dalej na Most Karola, przerzucony nad praską Wenecją na drugą stronę Wełtawy.

Biuro Otka mieściło się na Vaclavskim Namesti, obok Muzeum Narodowego i pomnika patrona Pragi, św. Wacława. Stąd niedaleko już było na Rynek Starego Miasta, gdzie pod Ratuszem co godzinę zbierały się tłumy turystów aby obejrzeć figury dwunastu apostołów na słynnym zegarze Orloju.

W pobliżu znajdował się cmentarz żydowski z trzynastego wieku i stara synagoga z zegarem, na którym zamiast cyfr widniały litery hebrajskie, a wskazówki posuwały się z prawa na lewo.

W sąsiedniej synagodze zamienionej na pomnik martyrologii żydowskiej wszystkie ściany pokryte były nazwiskami praskich Żydów, zamordowanych podczas ostatniej wojny. Wśród nich Otek znalazł członków swojej najbliższej rodziny.

W tym czasie Praga mogła się poszczycić olbrzymim, największym chyba na świecie pomnikiem Stalina. Stał na wzgórzu na Letnej i górował nad miastem. Pomnik ten stał jeszcze długo po jego śmierci. Został rozebrany z początkiem lat sześćdziesiątych, kiedy razem z tłumem prażaków przyglądaliśmy się robotnikom, którzy świdrem pneumatycznym rozwalali głowę wodza narodów.

Pobyt w Pradze pozwolił Otkowi na nawiązanie kontaktów z czeską częścią rodziny. Mieszkał tu kuzyn matki, dr Max Rauchenberg, patolog szpitala na Bulovce. W czasie wojny Max i jego żona Zdenka przeszli przez obóz w Teresinie. Stamtąd Zdenka została wywieziona do obozu w Ravensbrück. Wraz z innymi więźniarkami poddawana była nieludzkim eksperymentom lekarskim, po których pozostało jej zniekształcone biodro i niedowład prawej nogi.

Odnaleźliśmy kuzyna ojca Otka, Poldiczka Vrbę. Przed wojną zamieszkiwał w Ostrawie; w 1939 roku również znalazł się w transporcie Żydów śląskich do obozu w Nisku. Dalsze jego losy potoczyły się podobnie jako losy Otka: po ucieczce i przedostaniu się na stronę rosyjską został wywieziony do Średniej Azji, gdzie w Buzułuku wstąpił do czeskiej armii wyzwoleńczej pod dowództwem generała Svobody. Dosłużył się stopnia kapitana; walczył pod Duklą i o wyzwolenie Pragi. Cała rodzina zginęła podczas wojny w Ostrawie.

Spotykaliśmy się z bardzo często.

Drugi kuzyn ojca, Hardy Rektor, profesor psychiatrii i dyrektor miejskiego szpitala neurologicznego mieszkał w Brnie, z żoną Magdą i dwoma synami. Kilkakrotnie odwiedzali nas w Pradze.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku Otek nawiązał korespondencję z najstarszą siostrą swojej matki, ciotką Sidonią. Mieszkała w Rumunii w miejscowości Cimpia Turzii. Jeszcze tego samego roku pojechał tam na spotkanie rodzinne: poznał swoją kuzynkę Ernę i i jej dwie córki. Z Constanzy nad Morzem Czarnym przyjechał kuzyn Bella z żoną Antoinette, który zaprosił nas do siebie na wakacje.

Erna obiecała odszukać ślady najmłodszego brata mojej Mamy, wujka Józka.

Minęło kilka tygodni. Pewnego dnia do Pragi nadszedł list z Rumunii; jego nadawcą był wujek Józek. Całą wojnę przeżył w Craiovej, razem z żoną Lili; w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku urodziła im się córeczka, która nazwali Jeanine, na pamiątkę mojej Mamy, Janki. List był serdeczny i ciepły, pisany piękną polszczyzną.

„Musicie przyjechać do Craiovej" – pisał. *„Chcę wreszcie poznać tego pędraka, którego znam tylko z fotografii, maleńką Irusię ze Stanisławowa..."*

Jeszcze tego samego roku spędziliśmy razem z dziećmi kilka cudownych tygodni w Constanzy. Z Cimpia Turzii przyjechały córki Erny, Julika i Ruti i poznaliśmy dzieci Belli – Adriana, Danielę i Eugena.

Potem pojechaliśmy do Craiovej na spotkanie z wujkiem Józkiem, Lili i Jeanine. Wszystkim nam zdawało się, że znamy się od lat; byliśmy otoczeni serdecznością i miłością.



Joasia i Oleńka w Pradze w 1963 r.

Józek opowiadał nam o swojej młodości, spędzonej w Stanisławowie z rodzicami i rodzeństwem, w domu przy ulicy Trzeciego Maja. Opowiadał o Jaremczu, w którym spędzał beztroskie wakacje, o kąpielach w Prucie i górskich wędrówkach. O Dziadkach, o Mamie i Ojcu, o swoim wyjeździe na studia do Wiednia w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku i o korespondencji, jaką prowadził z Mamą przez wiele lat.

Przed wyjazdem dostaliśmy od niego plik listów Mamy, które przechowywał przez ponad czterdzieści lat i wiele starych fotografii, które Mama przesyłała w swoich listach.

Zabraliśmy je jak relikwie.

W lecie tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku z Ustronia przyjechał do Pragi ojciec Otka. Obchodził z nami pierwsze urodziny Oleńki i cieszył się obiema wnuczkami. Spotkał się z kuzynami, których nie widział przeszło ćwierć wieku. Zwiedzał z nami Pragę i jeździł z nami na wycieczki. Chodziliśmy do teatru i na koncerty.

Kiedy zbliżał się czas wyjazdu dostał ataku serca. Max umieścił go w szpitalu na Bulovce, ale lekarze byli besilni.

Ojciec zmarł 13 sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku.

Do Pragi przyjechał Fredek z żoną Ireną i pani Misia. Zgodnie z wolą ojca jego zwłoki zostały spalone. Prochy zawieźliśmy do Ustronia i pochowaliśmy je na cmentarzu żydowskim razem ze szczątkami matki, dziadka Adolfa i babci Joanny.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku nawiązaliśmy kontakty z dalszymi członkami rodziny, zamieszkałymi poza Czechosłowacją, najpierw listowne, potem osobiste. W tym celu zaokrętowaliśmy się w Bratysławie na statek żeglugi rzecznej „Talgard" który rozwoził barki z drobnicą do naddunajskich portów na Węgrzech, Jugosławii, Rumunii i Bułgarii. Drogę powrotną z bułgarskiego portu Russe mieliśmy odbyć samochodem, załadowanym na jedną z holowanych barek.

Wypłynęliśmy dwudziestego drugiego lipca. Podróż trwała dziesięć dni; spędzaliśmy je na górnym pokładzie „Talgardu", podziwiając zmieniające się jak w kalejdoskopie krajobrazy, a spaliśmy w niewielkiej kabinie, słuchając chlupotu Dunaju za burtą.

Minęliśmy granicę węgierską w Komarnie, zostawiając tam część barek, potem popłynęliśmy do Budapesztu; dalej Jugosławia – Nowy Sad i Belgrad.

W Rumunii statek manewrował między skalistymi brzegami przesmyku Katarakty – Oršova, dalej wysepka Adakaleh i ostre wierzchołki skał Żelaznej Bramy.

W Bułgarii krajobraz zmienił się – mijaliśmy łagodne zbocza winnic i pola kukurydzy. Dziewiątego dnia dobiliśmy do portu w Russe – nasza podróż po Dunaju dobiegła końca.

Dalej jechaliśmy samochodem, płosząc na polnych drogach grzejące się w słońcu chomiki. Mijaliśmy drabiniaste wozy, zaprzężone w osiołki i dorodne Bułgarki w barwnie haftowanych bluzkach.

Zatrzymaliśmy się cztery dni w Warnie. Nad ranem wędrowaliśmy po złotym piasku na pustej o tej porze plaży, kąpaliśmy się w falach Morza Czarnego i jedliśmy nieskończoną ilość winogron.

Potem wyruszyliśmy w drogę powrotną.

W Rumunii znowu odwiedziliśmy wujka Józka. Spędziliśmy z nim kilka dni. I umówiliśmy się, że na przyszły rok Lili z Jeanine odwiedzą nas w Pradze.

Po wyjeździe z Craiovej i krótkim pobycie w Bukareszcie pojechaliśmy do Oršovy. Mieszkał tam kuzyn Otka ze strony matki, Ernst Weil z rodziną. Ostatni raz widzieli się jako dzieci na wakacjach, spędzonych u dziadka w Mi-

chałkowicach. Godzinami wspominali wujków, ciotki i kuzynów, z których większość zginęła podczas wojny: niespodziewanie dowiedzieliśmy się, że w Budapeszcie mieszka osiemdziesięcioletnia kuzynka matki, Tante Sidi. Oczywiście włączyliśmy Budapeszt do planu naszej podróży.

Przejechaliśmy Jugosławię, zwiedziliśmy Belgrad i Nowy Sad i znaleźliśmy się na Węgrzech.

Spotkanie z ciotką Sidi było wzruszające. Poznaliśmy jej córki, Ani i Šari. Zostaliśmy na tradycyjnej piątkowej kolajcji, a Šari zaprosiła nas na kilka dni do swego domku letniskowego nad Balatonem.

Po trzech dniach pobytu w Budapeszcie pojechaliśmy do Sijofok. Mieszkaliśmy z Šari, jej mężem Pištą i dziesięcioletnim Fridešem tuż nad brzegiem Balatonu. Zwiedzaliśmy okolice i zajadaliśmy się węgierską zupą rybną – ostrą, obficie przyprawioną papryką.

Kiedy wróciliśmy do Czechosłowacji wstąpiliśmy po drodze do Brna i odwiedziliśmy Hardego i Magdę.

Potem pełni wrażeń wróciliśmy do Pragi.

Mieszkaliśmy w Pradze ponad pięć lat. Były to dobre lata. Dziewczynki rosły; Joasia skończyła trzecią klasę, mówiła swobodnie po czesku i rosyjsku. Oleńka niecierpliwie czekała chwili kiedy i ona będzie mogła rozpocząć naukę. Tymczasem Joasia uczyła ją szkolnych piosenek i wierszyków; znała już alfabet i ładnie rysowała.

Praca Otka była ciekawa. Odnaleźliśmy rodzinę, z którą łączyły nas serdeczne stosunki; poznawaliśmy nowych ludzi. Lubiliśmy starą praską architekturę z niezliczoną ilością zabytków i malownicze mosty na Wełtawie; przyzwyczailiśmy się do czeskich sąsiadów. Kiedy więc skończył się okres naszego pobytu za granicą wyjeżdżaliśmy z mieszanymi uczuciami – szkoda nam było Pragi, ale już cieszyliśmy się na Warszawę.

W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku pożegnaliśmy się z Maxem, Zdenką i Poldiczkiem; wróciliśmy do Warszawy i zamieszkaliśmy na Żoliborzu.

Otek przystąpił do pracy jako zastępca dyrektora w przedsiębiorstwie eksportującym kompletne obiekty przemysłowe za granicę.

Joasia rozpoczęła naukę w polskiej szkole; została przyjęta do czwartej klasy. Miała ulubioną nauczycielkę i ulubione koleżanki; przyjaźniła się z dziewczynkami na podwórku. W lecie wyjechała na pierwsze w życiu kolonie.

W następnym roku Oleńka również została zapisana do szkoły.

Po jakimś czasie Otkowi zaproponowano ponowny wyjazd do Czechosłowacji – dla nadzoru nad montażem dużej cukrowni na Morawach. Ale zapuściliśmy już korzenie w Warszawie i woleliśmy pozostać na miejscu.



W Warszawie w 1966 r.

Nasze życie było w miarę ustabilizowane. Wymagania mieliśmy niewygórowane i potrafiliśmy cieszyć się drobiazgami.

Dziewczynki uczyły się dobrze. Chodziły na pływalnię i zajęcia rytmiczne. Mieliśmy grono przyjaciół i trochę rodziny – Fredków i ciotkę Stefę, która po śmierci wujka Ludwika została teraz sama. Mieliśmy ładne mieszkanie. Pojechaliśmy na urlop do Ustronia; pani Misia nadal opiekowała się domem i coraz bardziej nienawidziła istniejącego reżimu.

Lubiliśmy chodzić do teatrów i na koncerty fortepianowe pod pomnik Szopena w Łazienkach. Jeździliśmy do Wilanowa i na Mazury.

Korespondowaliśmy z rodziną w Czechosłowacji, Rumunii i na Węgrzech; wymienialiśmy listy z ciotką Łucją, która długo nie mogła mi wybaczyć decyzji pozostania w Polsce, kiedy Tusiek – niedługo po zakończeniu wojny – przysłał mi affidavit na wyjazd do Ameryki.

Na przełomie lat 1967/1968 nastąpiło coś, co najpierw zachwiało, a potem całkowicie zburzyło naszą małą stabilizację. Wiele już napisano na ten temat i nie miejsce tu na polityczną ocenę wydarzeń, które miały wówczas miejsce w Polsce. Po raz drugi w ciągu niespełna trzydziestu lat Żydzi polscy stali się obywateli drugiej kategorii. Partia potępiała, piętnowała i demaskowała. Żydzi zostali wystawieni na zajadłą nagonkę w prasie, radiu i telewizji.

Przywódcy partyjni na wszystkich szczeblach domagali się oczyszczenia Polski z obcych, wrogich elementów; Żydów wyrzucano z pracy w urzędach, instytucjach naukowych i kulturalnych.

Pewnego dnia Otkowi z dnia na dzień wymówiono pracę; zostaliśmy bez środków utrzymania. W takiej samej sytuacji znalazło się wielu naszych przyjaciół i znajomych.

Otoczyła nas znieczulica. Zdarzało się, że dawni znajomi i koledzy z pracy odwracali wzrok i przechodzili na drugą stronę ulicy. Zamilkły telefony. Czułam się tak jak w lecie tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku po wkroczeniu Niemców do Stanisławowa.

A kiedy dzieci zapytały nas czy naprawdę Żydzi są wrogami narodu i sługusami międzynarodowego imperializmu – postanowiliśmy wyjechać z Polski.

W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku złożyliśmy podanie o zgodę na emigrację; natychmiast kazano nam zrzec się polskiego obywatelstwa. Już w styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku odebraliśmy tzw. dokument podróży na wyjazd do Izraela – bez prawa powrotu do Polski.

Pozwolono nam zabrać ze sobą pięć dolarów amerykańskich na osobę. Kazano nam przedstawić szczegółowy wykaz zabieranych przedmiotów w trzech egzemplarzach – wyszczególnić każdą parę obuwia, bielizny i skarpetek; talerze, szklanki i garnki, artykuły osobistego użytku i zabawki dzieci. Musieliśmy sporządzić spis książek i uzyskać zgodę Muzeum Narodowego na wywóz obrazów i bibelotów.

Przedstawiliśmy nasze rzeczy do kontroli celnej na Dworcu Gdańskim. Odprawa trwała dziewięć dni. Celnicy sprawdzali wszystko według wykazów. Kartkowali książki i oglądali pod światło mapy w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej. Czytali korespondencję rodzinną i przeglądali fotografie. Kłuli drutami metrowego misia Joasi – prezent wujka Ludwika na jej pierwsze urodziny; dłubali w ozdobnej świecy, którą dostaliśmy przed wyjazdem z Pragi od czeskich partnerów Otka i szukali czegoś w poduszkach. Pluszowe zabawki dzieci prześwietlano rentgenem.

Kazano nam przyprowadzić dzieci: musiały zademonstrować że potrafią jeździć na swoich rowerach, więc jeździły slalomem między słupkami dworcowego magazynu celnego.

Nie pozwolono nam zabrać albumu pod tytułem „Żydzi – bojownicy o niepodległość Polski" wydanego we Lwowie w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku. Album zawierał nazwiska żydowskich uczestników obu powstań – Kościuszkowskiego i Listopadowego, oraz imienny wykaz wszyst-

kich uczestników Legionów. Na 453 stronie znajdowała się notka biograficzna ochotnika z tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, dwudziestoletniego studenta prawa – mego ojca – Oskara Wildera.

Ale udało nam się zabrać wszystkie wojskowe odznaczenia Otka między innymi za wyzwolenie Warszawy, Krzyż Zasługi i medal za zdobycie Berlina. I listy ojca z Syberii, pisane do synów w Wojsku Polskim – Otka i Fredka – w latach 1944-1945. W jednym z nich, datowanym pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku ojciec pisał z Chantymansyjska:

„Moi drodzy synowie! Do nas już jesień zawitała. Nie jest to taka jesień jak w Ustroniu, chłód z wiatrem i deszcze, a w moim sercu podobne nastrojenie. Ogarnia mnie ogromna tęsknota, moje myśli tylko u Was, kochane dzieci. Jeszcze nigdy tak nie tęskniłem jak teraz. Czuję się jak przywiązany, chciałbym lecieć – niestety z miejsca ruszyć nie mogę. Ojczyzna woła, pomagajcie dobijać wroga, uporządkować nasze wsi i miasta, lecz głuche wołanie, bo nie nadeszła jeszcze chwila naszego wyzwolenia... Ale ufam Bogu, że za niedługo do naszych serc zawita radość i złączy nas na życie. Zwycięzcami będziecie i najlepszymi synami naszej ojczyzny. Kochane dzieci, jesteście młodzi i pełni sił, będziecie budować Wasz dom, a jeżeli Bóg mi pozwoli jeszcze wrócić chcę Wam pomagać w miarę możliwości..."

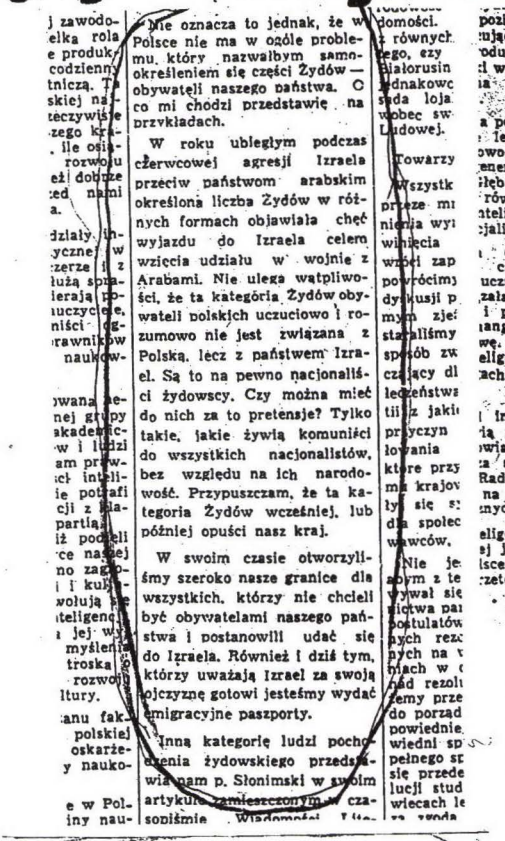
Wyjechaliśmy z Polski 2 kwietnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiatego ósmego roku. Na Dworzec Gdański odprowadzały nas dwie osoby – ciotka Stefa i sąsiadka Zosia Pańkowska. U niej właśnie przespaliśmy ostatnie dwie noce, kiedy w naszym mieszkaniu pozostały tylko gołe ściany i parę gwoździ po obrazach.

Opuszczaliśmy Warszawę i Polskę, która była naszym domem i ojczyzną. Zabraliśmy ze sobą nasze córki i gorzkie poczucie doznanej krzywdy. I świadomość, że nigdy tu więcej nie powrócimy.

Wyjeżdżaliśmy na zawsze.

arza PZPR Wł. GOMUŁKI

'jnym aktywem stolicy



Nie oznacza to jednak, że w Polsce nie ma w ogóle problemu, który nazwałbym samookreśleniem się części Żydów — obywateli naszego państwa. O co mi chodzi przedstawię na przykładach.

W roku ubiegłym podczas czerwcowej agresji Izraela przeciw państwom arabskim określona liczba Żydów w różnych formach objawiała chęć wyjazdu do Izraela celem wzięcia udziału w wojnie z Arabami. Nie ulega wątpliwości, że ta kategoria Żydów obywateli polskich uczuciowo i rozumowo nie jest związana z Polską, lecz z państwem Izraela. Są to na pewno nacjonaliści żydowscy. Czy można mieć do nich za to pretensje? Tylko takie, jakie żywią komuniści do wszystkich nacjonalistów, bez względu na ich narodowość. Przypuszczam, że ta kategoria Żydów wcześniej, lub później opuści nasz kraj.

W swoim czasie otworzyliśmy szeroko nasze granice dla wszystkich, którzy nie chcieli być obywatelami naszego państwa i postanowili udać się do Izraela. Również i dziś tym, którzy uważają Izrael za swoją ojczyznę gotowi jesteśmy wydać emigracyjne paszporty.

Inną kategorię ludzi pochodzenia żydowskiego przedstawia nam p. Słonimski w swoim artykule zamieszczonym w „Wiadomościach".

Z przemówienia I Sekretarza KC Władysława GOMUŁKI

Z „Życia Warszawy"

Przemówienie H. Szafrańskiego w „Ursusi

(W) W hali największej w kraju nowej odlewni żeliwa kombinatu w Ursusie odbyła się manifestacja, na której przemówienie wygłosił I sekretarz WKW PZPR H. Szafrański. Powiedział on m. in.:

Na dzisiejszym spotkaniu w nowo zbudowanej odlewni, wyrażamy stanowisko nie tylko robotników i kadry inżynieryjno-technicznej „Ursusa", wyrażamy także uczucia całej wojewódzkiej 115-tysięcznej organizacji partyjnej, wszystkich ludzi pracy, społeczeństwa Mazowsza, Kurpi i Podlasia. Fakty i wydarzenia, jakie miały miejsce w UW i na ulicach Warszawy są znane. Jeżeli tu i ówdzie próbuje się nadać tym wydarzeniom inną interpretację — a są takie siły w kraju i za granicą, które to czynią, siejąc bez skrupułów oszczerstwa i oszustwa — to przy ich pomocy chce się wygrać określone cele, wrogie Polsce Ludowej, naszej partii i klasie robotniczej. Ci, którzy zdecydowali się wystąpić przeciw naszej ojczyźnie, klasie robotniczej, przeciw naszej partii — tak na to trzeba patrzeć i odczytywać — są to różnego rodzaju starzy gracze, bankruci polityczni, rewizjoniści, wśród nich ludzie znani z bezwzględnych metod postępowania.

Część z nich na podstawie publikacji znamy już z imienia i nazwiska. Najpierw wysłali do akcji i działania młodszą generację, która w domach swych rodziców i różnego rodzaju klubach „Raczkujących rewizjonistów", „Krzywym Kole" i klubie „Babel" przy Stowarzyszeniu Żydów w Polsce, przeszła określone przeszkolenie i zaprawę. Z początku posługiwano się ogólnymi hasłami „wolności i demokracji". Wtedy, kiedy już zdecydowali się na czynną działalność, hasła przybrały na ulicach treść konkretną — „chcemy Zambrowskiego". Sprawa stała się jasna i oczywista. Zambrowskiemu, Staszewskiemu i im podobnym — marzył się na tej fali powrót do władzy.

Znamy nazwiska i oblicza organizatorów ekscesów, możemy ocenić źródła i charakter tych szkodliwych demonstracji. Dziś już nie ulega żadnej wątpliwości, że prowokatorzy wykorzystując wrażliwość, szlachetne uczucia naszej młodzieży studenckiej, pod obłudnymi hasłami „braku wolności i demokracji" starali się przeciwstawić ją władzy ludowej, naszej partii i przy pomocy tej młodzieży przywrócić bankrutów politycznych na zajmowane ongi stanowiska.

To oni, nie przebierając w metodach, zgodnie z zasadą „cel uświęca środki", posłużyli się perfidnymi hasłami. Nie mając żadnych skrupułów moralnych, usiłowali przy pomocy rzekomego antysemityzmu odwrócić uwagę społeczeństwa i młodzieży od uprawianej przez siebie z całym cynizmem działalności syjonistycznej, wymierzonej przeciwko polityce wewnętrznej i zagranicznej naszej partii i rządu.

Wrogowie socjalizmu pragnąc sobie zapewnić bezkarną działalność posługują się przy każdej okazji straszakiem antysemityzmu. Zarzut ten ma obezwładniać, kneblować nam usta, którzy ośmieliliśmy się przeciwstawić jawnej dywersji po-

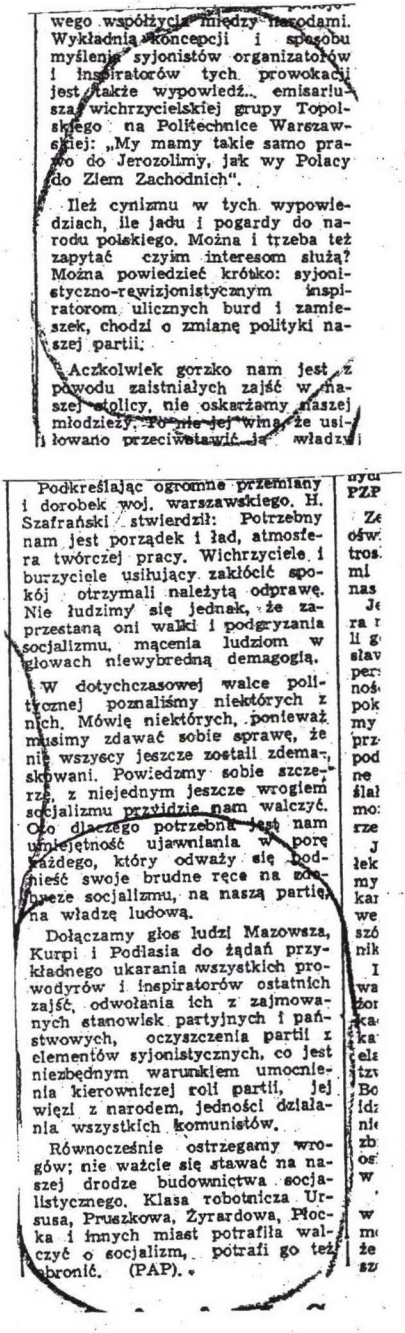
ulega żadnej wątpliwości, że prowokatorzy wykorzystując wrażliwość, szlachetne uczucia naszej młodzieży studenckiej, pod obłudnymi hasłami „braku wolności i demokracji" starali się przeciwstawić ją władzy ludowej, naszej partii i przy pomocy tej młodzieży przywrócić bankrutów politycznych na zajmowane ongi stanowiska.

To oni, nie przebierając w metodach, zgodnie z zasadą „cel uświęca środki", posłużyli się perfidnymi hasłami. Nie mając żadnych skrupułów moralnych, usiłowali przy pomocy rzekomego antysemityzmu odwrócić uwagę społeczeństwa i młodzieży od uprawianej przez siebie z całym cynizmem działalności syjonistycznej, wymierzonej przeciwko polityce wewnętrznej i zagranicznej naszej partii i rządu.

Wrogowie socjalizmu pragnąc sobie zapewnić bezkarną działalność posługują się przy każdej okazji straszakiem antysemityzmu. Zarzut ten ma obezwładniać, kneblować nam usta, którzy ośmieliliśmy się przeciwstawić jawnej dywersji politycznej uprawianej w ciągu wielu lat na szkodę Polski przez elementy syjonistyczne.

Nie ulega wątpliwości, że i obecnie znajduje się w naszym kraju określona ilość ludzi obywateli naszego państwa, którzy nie czują się ani Polakami, ani Żydami. Nie można mieć do nich o to pretensji. Nikt nikomu nie jest w stanie narzucić poczucia narodowości, jeśli go nie posiada. Z racji swych kosmopolitycznych uczuć ludzie tacy powinni jednak unikać dziedzin pracy, w których afirmacja narodowa staje się rzeczą niezbędną.

Przemówienie H. Szafrańskiego z „Życia Warszawy"



wego współżycia między narodami. Wykładnią koncepcji i sposobu myślenia syjonistów organizatorów i inspiratorów tych prowokacji jest także wypowiedź... emisariusza wichrzycielskiej grupy Topolskiego na Politechnice Warszawskiej: „My mamy takie samo prawo do Jerozolimy, jak wy Polacy do Ziem Zachodnich".

Ileż cynizmu w tych wypowiedziach, ile jadu i pogardy do narodu polskiego. Można i trzeba też zapytać czyim interesom służą? Można powiedzieć krótko: syjonistyczno-rewizjonistycznym inspiratorom ulicznych burd i zamieszek, chodzi o zmianę polityki naszej partii.

Aczkolwiek gorzko nam jest z powodu zaistniałych zajść w naszej stolicy, nie oskarżamy naszej młodzieży. To nie jej wina, że usiłowano przeciwstawić ją władzy i

Podkreślając ogromne przemiany i dorobek woj. warszawskiego, H. Szafrański stwierdził: Potrzebny nam jest porządek i ład, atmosfera twórczej pracy. Wichrzyciele i burzyciele usiłujący zakłócić spokój otrzymali należytą odprawę. Nie łudzimy się jednak, że zaprzestaną oni walki i podgryzania socjalizmu, mącenia ludziom w głowach niewybredną demagogią.

W dotychczasowej walce politycznej poznaliśmy niektórych z nich. Mówię niektórych, ponieważ musimy zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy jeszcze zostali zdemaskowani. Powiedzmy sobie szczerze, z niejednym jeszcze wrogiem socjalizmu przyjdzie nam walczyć. Oto dlaczego potrzebna jest nam umiejętność ujawniania w porę każdego, który odważy się podnieść swoje brudne ręce na zdobycze socjalizmu, na naszą partię, na władzę ludową.

Dołączamy głos ludzi Mazowsza, Kurpi i Podlasia do żądań przykładnego ukarania wszystkich prowodyrów i inspiratorów ostatnich zajść, odwołania ich z zajmowanych stanowisk partyjnych i państwowych, oczyszczenia partii z elementów syjonistycznych, co jest niezbędnym warunkiem umocnienia kierowniczej roli partii, jej więzi z narodem, jedności działania wszystkich komunistów.

Równocześnie ostrzegamy wrogów; nie ważcie się stawać na naszej drodze budownictwa socjalistycznego. Klasa robotnicza Ursusa, Pruszkowa, Żyrardowa, Płocka i innych miast potrafiła walczyć o socjalizm, potrafi go też obronić. (PAP).

c.d. przemówienia H. Szafrańskiego

potem nasza konkretna praca — odbudowały zaufanie rolników do partii i stworzyły zdrowe podstawy rozwoju gospodarki rolnej.

Dlatego wieś wielkopolska szczególnie dobrze pamięta, co zawdzięcza towarzyszowi Wiesławowi i naszej aktualnej polityce rolnej.

Dlatego, gdy dzisiaj patrzymy na ujawnionych inicjatorów prowokacji — jaśniej i wyraźniej widzimy, że wiele trudności gospodarczych ostatnich lat to właśnie ich dzieło — dzieło wrogów Polski Ludowej, próbujących hamować rozwój naszego kraju.

Są wśród organizatorów prowokacji także ludzie, pełniący jak gdyby funkcje „ideologów" tej antysocjalistycznej opozycji. To ludzie, którzy od lat, przy każdej nadarzającej się okazji, atakują ustrój Polski Ludowej, szkalują socjalizm, usiłują siać zamęt w głowach młodych i starych. Dla swej walki z narodem polskim, z socjalizmem znaleźli sprzymierzeńców w obcych nam siłach, we wrogich Polsce pismach i szczekaczkach radiowych na Zachodzie.

Oni to najpierw obleźli łgarstwami, a następnie rozdmuchali, sprawę warszawskiej inscenizacji „Dziadów" Mickiewicza po to, by pod pretekstem rzekomej „obrony zagrożonej kultury narodowej" przejść do frontalnego ataku na kierownictwo naszej partii i naszego państwa. Oto zamiary ludzi pokroju Kisielewskiego, Słonimskiego, Jasienicy.

Trudno ogarnąć rozmiar nikczemności tych ludzi i podobnych. To przecież w Polsce Ludowej, wypełniamy testament naszego wieszcza i wprowadzaliśmy pod strzechy jego dzieła, tworząc najtrwalszy bo w sercach wykuty — pomnik poety.

A ci, którym interes narodu polskiego zawsze był obcy, dziś usiłują Mickiewicza wykorzystać przeciw żywotnym interesom polskiego narodu, przeciwko władzy ludowej.

Obecnie, gdy ujawniono ich działalność, wyciągają oni z lamusa ograny straszak antysemityzmu, próbując kneblować nim usta uczciwym patriotom.

Nie damy się jednak zepchnąć z naszych pozycji, ani otumanić. Naszym kryterium oceny każdego obywatela Polski Ludowej jest jego stosunek do podstawowych obowiązków obywatelskich, do pracy, jego patriotyzm.

Przemówienie J. Szydlaka z „Życia Warszawy"

)nia 2. VIII. 1921 r. został
izowany.
członkiem Zw. Żyd. Uczest.
Niep. Pol. i L. O. P. P.
da Medal za wojnę.

)nthal **Wilhelm,** ur. 9. XI.
w Dobropolu, pow. Buczacz,
dr praw, zamieszkały we

22. III. 1920 r. zgłosił się
:o do W. P. w Buczaczu.
12 p. a. c., 6 baonie etap.
4 armii w stpn. st. szereg.
lemobilizowany dnia 16. XI.

:złonkiem Zw. Żyd. Uczestn.
Niep. Pol.

:r **Emanuel,** ur. w 1876 r.
isławczyku (pow. Brody),
s. s., zamieszkały w Żółkwi.
8. IX. 1919 r. zgłosił się
dnictwem stacji zbornej w
do Wojska Polskiego.
esłaniu do kraju został przy-
dnia 7. X. 1919 r. w cha-
pomocnika oficera do Ko-
)spodarczej przy komendzie
Krakowie.
)cu 1920 r. w chwili napie-
mii bolszewickiej na Warsz-
dzielony do M. S. Wojsk.
lo sformowanego oddziału o-
olicy przed inwazją nieprzy-
. Następnie pracował w cha-
referenta w dziale Kon-
)spodarczej Władz i Zakła-
:tralnych M. S. Wojsk.
31. XII. 1923 r. zwolniony
demobilizacji, został dnia

Wilder Nissen Beer, ur. 4. XI. 1900 r. w Leszniowie, kupiec, zam. w Krakowie.

W 1918 r. zgłosił się do W. P. w Wadowicach. Służył w 2 p. a. p. w stpn. bombardiera. Od lutego do grudnia 1920 r. był na froncie lit-biał.

Jest członkiem Zw. Żyd. Uczest. Walk o Niep. Pol.

Posiada Medal za wojnę, odznakę frontu lit-biał. i odzn. za pobyt na froncie.

Wilder Oskar, ppor. p. r., ur. 12. V. 1899 r. w Tarnopolu, adwokat-obrońca wojsk., dr praw, zamieszkały w Stanisławowie.

Jako stud. uniw. należał do „Zjednoczenia" we Lwowie. Dnia 19 V. 1919 r. zgłosił się ochotniczo do W. P. we Lwowie. Służył w 2 bat. 5 p. a. c. jako d-ca plutonu i d-ca bat. Uczestniczył w walkach 5 p. a. c. z bolszewikami.

Posiada Medal za wojnę i pochwalne uznanie d-twa V. dyw. piech. i V. lw. bryg. art.

Winkelhaken Leon, ppor. rez., ur. 15. V. 1899 r., lekarz, dr med., zam. w Warszawie.

Dnia 11. XI. 1918 r. zgłosił się do W. P. w Warszawie. Służył w szpitalu pol. nr. 12, szpit. garniz. w Kowlu i szefostwie san. D. O. E. Kowel. W pierwszych dniach listo-

Z książki „Żydzi - bojownicy o niepodległość Polski", Lwów, 1939 r.

Хорунжий
Виктор Отто Иосифович.

Верховный Главнокомандующий Маршал Советского Союза товарищ **СТАЛИН** приказом № 223 от 17 января 1945 года об'явил Вам

БЛАГОДАРНОСТЬ

за отличные боевые действия в боях за освобождение от немецких захватчиков столицы Польши—города **ВАРШАВА**.

Хорунжий
Виктор Отто Иосифович.

Верховный Главнокомандующий Маршал Советского Союза товарищ **СТАЛИН** приказом № 342 от 25 апреля 1945 года об'явил Вам

БЛАГОДАРНОСТЬ

в боях по завершению окружения **БЕРЛИНА**.

БЛАГОДАРНОСТЬ

за овладение городом и портом на Балтийском море **КОЛЬБЕРГ**.

БЛАГОДАРНОСТЬ

за прорыв сильно укрепленной обороны немцев восточнее города **ШТАРГАРД**.



Хорунжий
Виктор Отто Иосифович.

Верховный Главнокомандующий Маршал Советского Союза товарищ **СТАЛИН** приказом № 339 от 23 апреля 1945 года об'явил Вам

БЛАГОДАРНОСТЬ

в боях при прорыве обороны немцев и наступлении на **БЕРЛИН**.

Niektóre bojowe wyróżnienia Otka



Jeden z wielu listów ojca Otka z Syberii do synów w wojsku

Rozdział 11

W dniu wyjazdu z Warszawy nasza dwunastoletnia córka Joasia zaczęła pisać pamiętnik. Oto jego fragmenty w oryginalnej transkrypcji:

„3 kwietnia 1968 r.

Dziś jest śliczna pogoda i właśnie dzisiaj wyjeżdżamy z Warszawy i jedziemy do Wiednia. Po południu byliśmy u cioci na obiedzie. Wieczorem o godzinie 7.08 na Dworcu w Warszawie była się z nami pożegnać ciocia Stefa i Zofia Pańkowska. O godzinie 7.08 pociąg ruszył. Był to pociąg radziecki, który wyjeżdżał z Moskwy a końcem jego trasy było miasto Rzym we Włoszech. O godzinie 11.30 do naszego wagonu weszli celnicy i sprawdzali wszystkim paszporty i dokumenty, a nam wszystkie rzeczy któreśmy wieźli do Wiednia. O godzinie 3 nad ranem zasnęłam w pociągu jak zabita.

Czwartek, 4 kwietnia 1968 r. Wiedeń (Schönau)

O godzinie 8.05 przyjechaliśmy na dworzec południowy we Wiedniu. Na dworcu oczekiwali nas czterej panowie[1]. Z dworca pojechaliśmy mikrobusem do miejscowości Schönau; tam zamieszkaliśmy w dużym pałacu – był to zamek jakiegoś hrabiego, punkt etapowy dla Żydów wyjeżdżających do Izraela. Po zjedzeniu śniadania poszłyśmy – Ola, mama i ja na zwiedzanie ogromnego parku zamkowego. Rosło tam bardzo dużo rodzajów nieznanej nam roślinności. Tymczasem tatuś pojechał do Wiednia załatwiać sprawy naszego wyjazdu do Australii. W czasie obiadu poznałam bardzo sympatycznego studenta Jakuba, który przyjechał z Izraela do Wiednia aby studiować medycynę.

Piątek, 5 kwiecień 1968 r., Schönau

Tatuś nie wrócił na noc, ponieważ załatwiał sprawy związane z naszym wyjazdem do Australii. Przed południem byłyśmy same i grałyśmy z mamusią w ping-ponga. Po obiedzie wyszłyśmy na spacer. Przed kolacją pan kierownik poprosił mamusię do swojego gabinetu, aby zawiadomić ją o naszym wyjeździe do Wiednia. W międzyczasie kiedy mamusia pakowała nasze rzeczy ja wyszłam sobie na spacer, ale na moje nieszczęście z krzaków wyleciał popielaty kundel, który nistąd ni zowąd zaczął na mnie szczekać, drapać, a nawet pod koniec ugryzł

mnie w kolano. W zamku Schönau przebywali bardzo mili Żydzi wraz z kierownikiem, ale najmilszy był pan Zonenszajn. Od razu zadzwonił po policjanta, a potem po lekarza, który mi zrobił na kolanie opatrunek. Po południu nastąpiło bardzo serdeczne pożegnanie a każdy z panów dostał po dwa buziaczki w policzek. Po pożegnaniu pojechaliśmy do Wiednia, gdzie zamieszkaliśmy w pensjonacie „Reimer".

Sobota, 6 kwiecień 1968 r., Wiedeń

Rano, jak tylko przetarliśmy oczy zjedliśmy banany na śniadanie i poszliśmy na zwiedzanie Wiednia; przy tym oglądaliśmy wystawy sklepowe a także ulice i bulwary. Zjedliśmy przy tym pierwszy wiedeński obiad w restauracji.

Niedziela, 7 kwiecień 1968 r., Wiedeń

O godzinie 10.30 przyjechał do nas pan Rudek (kolega tatusia zamieszkały we Wiedniu) ze swym synem Romkiem, ażeby pojechać z nami do Prateru[2]. Kiedy byliśmy w wesołym miasteczku bawiliśmy się bardzo dobrze – jeździliśmy na samochodach, karuzelach, huśtawkach itd. Kiedy wróciliśmy do domu zjedliśmy coś niecoś i od razu położyliśmy się spać do łóżek. O godzinie siódmej poszliśmy jeszcze na krótki spacer po Wiedniu.

Poniedziałek, 8 kwiecień 1968 r., Wiedeń

Od godziny dziewiątej rano byliśmy w HIASie (organizacja żydowska, która pomaga nam załatwiać sprawy związane z naszym wyjazdem do Australii). Później poszliśmy na pocztę odebrać pieniądze od wujka Jurka Gelehrtera - kuzyna mamusi z Grazu. Pieniędzy nam nie wydano bo nie mieliśmy żadnego dowodu (dokumenty podróży odebrano nam po przyjeździe do Wiednia). Wracając wstąpiliśmy do dużego domu towarowego, w którym oglądaliśmy świąteczne wystawy wielkanocne.

Wtorek, 9 kwiecień 1968 r., Wiedeń

Całe przedpołudnie przesiedzieliśmy w domu ponieważ była brzydka pogoda a tatusia nie było bo poszedł do HIASu. Po południu poszłyśmy z mamusią i Olą na obiad, a w międzyczasie do domu wrócił tatuś, z którym poszliśmy później do Muzeum Oceanograficzego, w którym oglądaliśmy różne rodzaje ryb morskich i różnorodnych muszli.

Środa, 10 kwiecień 1968 r., Wiedeń

O godzinie jedenastej byliśmy umówieni w kawiarni „Zum Ritter" (Pod Rycerzem) na Mariahilferstrasse z wujkiem Jurka Poppera (kuzyna tatusia z Australii) panem docentem Bronisławem Popperem. Na obiedzie byliśmy w restauracji całą rodziną. Potem poszliśmy do domu towaro-

wego „Hercmansky" gdzie Ola i ja wyciągałyśmy z kosza prezenty w postaci drobnych zabawek (koraliki do nawlekania i grę z rybami).

Czwartek, 11 kwiecień 1968 r., Wiedeń

O godzinie jedenastej mieliśmy odebrać cztery kg macy z gminy żydowskiej we Wiedniu (którąśmy odebrali). Zostaliśmy także zaproszeni na świąteczną kolację wielkanocną, która odbędzie się o godzinie siódmej do dziesiątej w piątek 12 kwietnia i w sobotę 13 kwietnia 1968 r. w gminie żydowskiej. Po odebraniu macy poszliśmy wszyscy troje (mamusia, Ola i ja) do domu, a później o godzinie szóstej wszyscy położyli się do łóżka spać, ażebyśmy w piątek i sobotę byli wypoczęci.

Piątek, 12 kwiecień 1968 r., Wiedeń

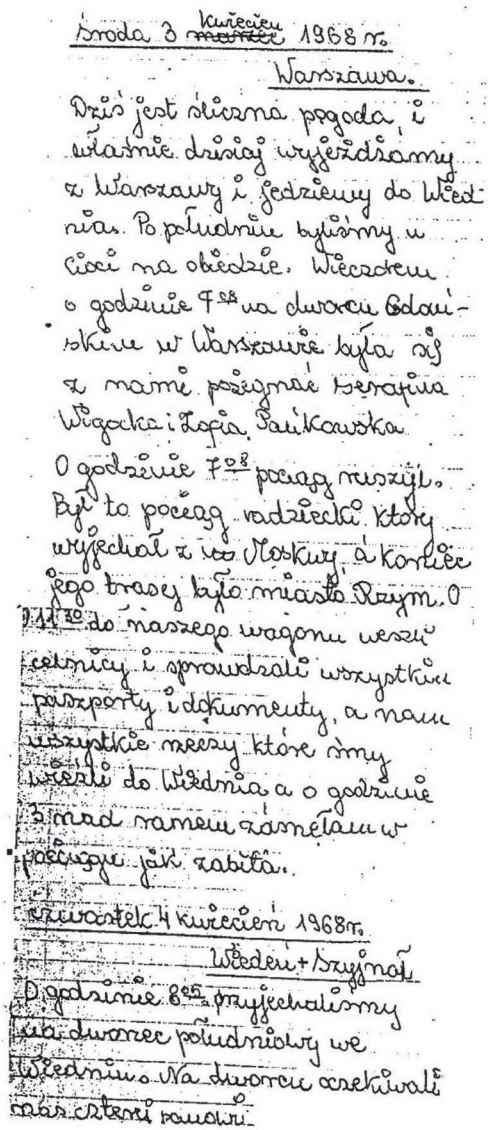
O godzinie siódmej wszyscy Żydzi mieszkający we Wiedniu (którzy byli zaproszeni na uroczystą kolację seder) zebrali się w gminie żydowskiej aby powitać żydowskie święta wielkanocne. Na kolacji tej byli ludzie różnych narodowości którzy emigrowali z poza ich kraju. Byli tam także Żydzi wiedeńscy, którzy mieszkają we Wiedniu na stałe. Uroczystość składała się z modlitwy żydowskiej, później każdemu podano sałatkę z warzyw, które trzeba było zamoczyć w słonej wodzie. Później był rosół z knedlami z macy, a następnie każdy z członków dostał po połowie pieczonej kury. Uroczysta kolacja skończyła się wypiciem kieliszka wina, ceremonia skończyła się o godzinie 10.30 wieczorem.

Sobota, 13 kwiecień 1968 r., Wiedeń

O godzinie 7.30 spotkałam się na sederze z moim kochanym panem Zonenszajnem. Poza tym siedziałam z nim za głównym stołem, z dyrektorem dżointu[3)] i przedstawicielami gminy żydowskiej we Wiedniu. Poznaliśmy dwie sympatyczne Węgierki pochodzenia żydowskiego, Magdę która jedzie do USA do Nowego Jorku i Werę, która jedzie do Australii, Sydnej.

Wrzesień 1968 r.

Minęło pół roku naszego pobytu we Wiedniu. Dzisiaj – 10 wrzesień 1968 r., za dziesięć dni wylatujemy samolotem do Australii. Podczas naszego pobytu we Wiedniu przeżyliśmy różne dzieje (dobre i złe). Zaczęło się od tego, że HIAS przestał nam płacić za hotel „Reimer" i musieliśmy się stamtąd wyprowadzić i szukać sobie coś prywatnego. Było to straszne, gdyż mieszkanie we Wiedniu – tanie i ładne – jest okropnie trudno znaleźć. Więc zaczeliśmy szukać w „Kurierze" – gazecie wiedeńskiej (tak jak „Expres polski") lecz nic nie mogliśmy znaleźć. Poza tym



Środa 3 kwietnia 1968 r.

Warszawa.

Dziś jest śliczna pogoda i właśnie dzisiaj wyjeżdżamy z Warszawy i jedziemy do Wiednia. Po południu byliśmy u Cioci na obiedzie. Wieczorem o godzinie 7[30] na dworcu Gdańskim w Warszawie była ze mną pożegnać cała rodzina Więcka i Zofia Sankowska.

O godzinie 7[00] pociąg ruszył. Był to pociąg radziecki który wyjechał z ze Moskwy, a końcem jego trasy było miasto Rzym. O 11[30] do naszego wagonu weszli celnicy i sprawdzali wszystkie paszporty i dokumenty, a nam wszystkie rzeczy które mamy wzięli do Wiednia a o godzinie 3 nad ranem zasnęliśmy w pociągu jak zabici.

Czwartek 4 kwietnia 1968 r.

Wiedeń + Brzeg

O godzinie 8[00] przyjechaliśmy na dworzec południowy we Wiedniu. Na dworcu oczekiwali nas Ciotki Renata

z Izraela pojechaliśmy mikrobusem do miejscowości Schönau (Brzeg), tam zamieszkaliśmy w dużym pałacu, był to zamek jakiegoś hrabiego, punkt etapowy dla Żydów wyjeżdżających do Izraela. Po zjedzeniu śniadania poszliśmy Ola, mama i ja (tata spał) na zwiedzanie ogromnego parku zamkowego. Rosło tam bardzo dużo rodzajów mieszanej naszej roślinności. Tym czasem tatuś pojechał do Wiednia załatwiać sprawy naszego wyjazdu do Australii. W czasie obiadu poznaliśmy bardzo sympatycznego studenta Jakuba, który przyjechał z Izraela do Wiednia, aby studiować medycynę.

*chodziliśmy wszędzie na piechotę, gdyż jazda tramwajem jest tu cholernie droga (pięć szylingów). Szukaliśmy, szukaliśmy, aż wreszcie znaleźliśmy ochydną norę na Kwelistrasse (*Quelle Strasse*) w pobliżu najgorszej ulicy we Wiedniu Meksyko Placu (*Mexico Platz*). A zaczęło się wszystko tak: pewnego słonecznego dnia trafiliśmy do sklepu „Tekstil M.R." Właściciel sklepu okazał się na pozór bardzo miły i kiedy powiedzieliśmy mu co mamy (to znaczy jaki kłopot na głowie) zaproponował nam mieszkanie (tą jego norę za tysiąc szylingów), a także pracę w jego sklepach.*

Tata uszczęśliwiony oczywiście zgodził się niczego nie podejrzewając. Po kilku dniach wprowadziliśmy się do nowego mieszkania na Kwelistrasse. Po dwóch tygodniach tyraliśmy wszyscy, począwszy od tatusia i skończywszy na Oli, gdyż okazało się, że M.R. wynajął nam mieszkanie pod pretekstem pracy w jego sklepie, a było to okropne, gdyż do jego sklepu przychodziły same podejrzane typy. Zdarzało się, że u tych ludzi można było zobaczyć spluwy, i jak bezczelnie kradną to już nie można sobie nawet wyobrazić (ale o tym już nawet nie ma co pisać, bo to był naprawdę dziki zachód.)[4]

Zapomniałam napisać, że w międzyczasie odwiedził nas wujek Hardy z Brna – Czechosłowacja, ale przystąpmy do rzeczy. Po miesiącu zaczęłam chodzić do austriackiego gimnazjum a Ola do szkoły.

W szkole wiedeńskiej

W tej szkole jest nadzwyczaj przyjemnie, mam już koleżanki Sylwię i Brygitę i kolegów Hansa i Alberta. W ogóle chodzę do 2B. Pan wychowawca jest bardzo przyjemny i miły, uczę się pilnie (po niemiecku) – dużo łez i dwie wycieczki.

Po jakimś czasie wyprowadziliśmy się z Meksyko Placu (po wielkiej awanturze z panem R., który okazał się wielkim wyzyskiwaczem) do dziesiątego Beizirku (właśnie teraz tu mieszkamy) na ulicy Neilreichgasse 46, do właściciela tego mieszkania (który robi lekarstwa dla zwierząt), p inż. Karla Hechta. Mieszkanie jest położone nad dachem garażu, od zewnątrz budynku jest brama drewniana i napis firmowy, mniej więcej tak jak na rysunku, tylko brama wyższa..."

Na tym wiedeński pamiętnik Joasi się urwał. Postaram się go uzupełnić.

Do mieszkania wchodziło się przez podwórze warsztatu samochodowego. Na półpiętrze mieliśmy dwa pokoje, kuchnię i łazienkę. Dwa ostatnie pomieszczenia nie nadawały się do użytku: w kuchni nie było gazu, a w łazience nie działały krany z wodą. Kiedy robotnicy z garażu kończyli wieczorem pracę – po kryjomu korzystaliśmy z ich prysznicu. Z okna pokoju można było wyjść na dach garażu, który służył dzieciom jako taras. Można było z niego korzystać tylko wtedy, kiedy nie było zbyt gorąco, bo wtedy papa na dachu topiła się i wydzielała intensywny zapach smoły.

Rozpoczęło się długie oczekiwanie na wizę do Australii. HIAS zatrudnił Otka w charakterze tłumacza. Za pierwsze zarobione pieniądze kupiliśmy małego używanego Fiata. Kosztował dwa i pół tysiąca szylingów. Dzieci rozpoczęły właśnie wakacje, więc w ciągu następnych kilku miesięcy zwiedzaliśmy Wiedeń.

Pojechaliśmy do letniej rezydencji cesarskiej w Schönbrunnie, na Kah-

lenberg i Grünzing. Pokazałam Otkowi i dzieciom dom na Trauteneau Platzu gdzie pracowałam podczas wojny. Zwiedziliśmy katedrę św. Stefana, ale nie mogłam znaleźć domu, w którym mieszkała Despina.

Chodziliśmy do muzeów i galerii obrazów. Spacerowaliśmy po Lasku Wiedeńskim i oglądaliśmy pokazy hippiczne w Hiszpańskiej Szkole Jazdy Konnej i – ku szczególnej uciesze dzieci – spędzaliśmy wiele godzin w Praterze.

Mieszkaliśmy we Wiedniu sześć miesięcy. W ciągu tego czasu odwiedziło nas wielu krewnych i przyjaciół. Z Grazu przyjechał mój kuzyn, Jurek Gelehrter, syn wujka Gustka z Tłumacza. Wspominaliśmy nasze wspólne wakacje w Stanisławowie w latach trzydziestych. Jurek, podobnie jak jego ojciec, był lekarzem. Miał żonę i syna Stefana. A w kilka lat później – podobnie jak ojciec – Jurek popełnił samobójstwo.

Odwiedziła nas jego matka, ciotka Vali. Dowiedzieliśmy się od niej w jaki sposób uratowała Jurka podczas wojny: podpisała Volkslistę i zeznała pod przysięgą, że syn jej pochodził ze związku pozamałżeńskiego z aryjczykiem.

Na sympozjum naukowe przyjechał do Wiednia kuzyn Hardy z Brna. W drodze do Jugosławii, na spotkanie z synem Zbyszkiem – od lat mieszkającym w Nowym Jorku, przyjechała z Warszawy ciotka Stefa. A w drodze powrotnej z Jugosławii do Ameryki zahaczył o Wiedeń także Zbyszek.

W początku sierpnia wracała przez Wiedeń do Australii żona i córeczka kuzyna Otka – Jurka, który był naszym australijskim sponsorem.

Odnaleźliśmy mieszkającą stale we Wiedniu kuzynkę matki Otka, Tante Grete i poznaliśmy jej rodzinę.

Przez nasze mieszkanie przewinęło się wielu emigrantów z Warszawy, znajomych i kolegów z pracy i studiów.

W końcu lipca dostaliśmy wreszcie australijska wizę. A że byliśmy bezpaństwowcami, nie posiadającymi ani obywatelstwa, ani paszportu – policja austriacka wystawiła nam paszporty nansenowskie; na tych właśnie dokumentach konsulat australijski przybił nam pieczątkę wizową, a HIAS załatwił bilety okrętowe na statek „Achille Lauro", odpływający z Genui trzeciego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Tymczasem mieliśmy w dalszym ciągu pozostać we Wiedniu.

W sierpniu nastąpiły dramatyczne wydarzenia w Czechosłowacji, przeżywającej okres odwilży politycznej, znanej pod nazwą „Praska wiosna". Z polecenia Moskwy wojska Paktu Warszawskiego wkroczyły do zbuntowanej Czechosłowacji; radio austriackie nadawało reportaże z walk, toczących się na ulicach Pragi. Do Wiednia napływały tysiące uciekinierów; między nimi znaleźli się także nasz krewny dr Max Rauchenberg z żoną Zdenką i ich syn

Peter. Ilość uciekinierów rosła z dnia na dzień i władze austriackie zażądały od HIASu przyspieszenia wyjazdu tych, którzy posiadali już wizy docelowe.

Nie musieliśmy już jechać do Włoch; HIAS załatwił nam bilety lotnicze bezpośrednio z Wiednia do Melbourne na 10 października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku.

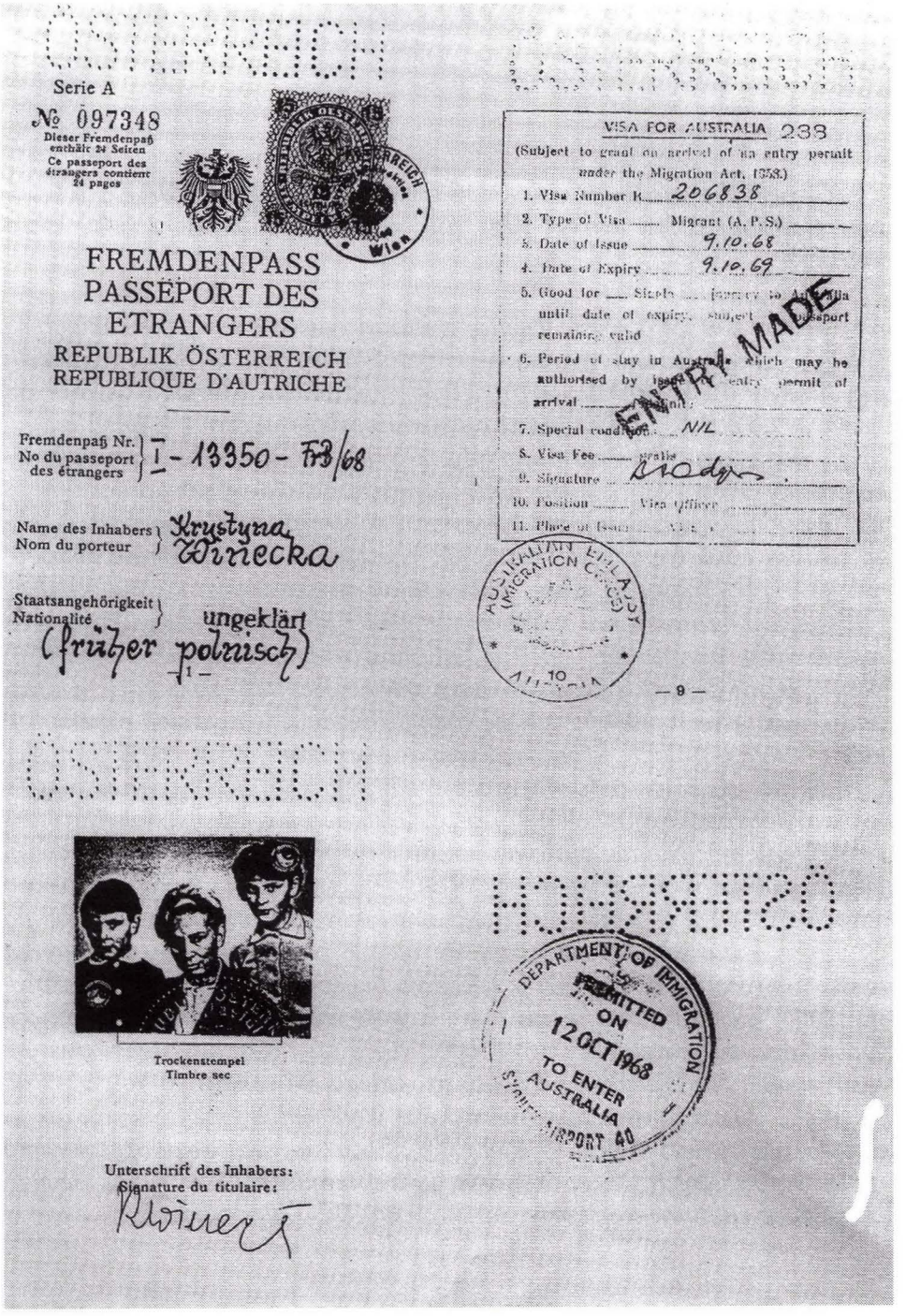
Żegnaj Europo!

[1] przedstawiciele Sochnutu - organizacji żydowskiej zajmującej się imigracją do Izraela.

[2] park rozrywkowy nad Dunajem

[3] JOINT – Światowa Agencja Pomocy Żydom

[4] Klientela Mexico Platz składała się nieomal wyłącznie ze szmuglerów. Kupowali hurtowo płaszcze ortalionowe i koszule, radia tranzystorowe i kalkulatory, a także zapalniczki i długopisy z gołymi kobietami. Często tranzakcje zawierane były na kredyt i rozliczane podczas następnej wyprawy po towar. Ci którzy nie posiadali otwartych kont płacili gotówką – dinarami, markami albo rublami. Kobiety przewoziły je przez granicę, ukryte w najintymniejszych zakamarkach swojej anatomii.



Austriacki paszport dla bezpaństwowców
[obywatelstwo: niewyjaśnione (dawniej polskie)]

Rozdział 12

„Geografia malownicza (AUSTRALIA z POLINEZJĄ)" – z wrażeń podróżników ułożył Wacław Nałkowski, wyd. 1902, Warszawa)

„...Australia jest częścią świata, w której zjawiska życia ziemskiego są najmniej urozmaicone; nic, nawet widok Sahary, nie dorówna rozpaczliwej monotonii krajobrazowej wnętrza Australii; ...Klimat Australii od kwietnia do października nie jest przyjemny, ale w styczniu, lutym i marcu upały dosięgają 50° w cieniu, a gdy na południowo-wschodnim wybrzeżu powieje wiatr północno-zachodni atmosfera staje się tak gorąca i duszna, iż człowiekowi wydaje się, że wstąpił do przedsionków piekieł. A jakże dzikim i smutnym jest krajobraz! Nie spotkasz tu kolorów żywych, wszystko jest matowe, szare, jednostajne aż do znużenia. Zieleń traw i drzew jest szarawa lub niebieskawa bez żadnej siły; wszystko tchnie rozpaczliwą monotonią; widok eukaliptów o liściach długich i wiszących pionowo, nie dających cienia, o korze, odrywającej się i zwieszającej strzępami, o gałęziach wikłających się rozpaczliwie we wszystkich możliwych kierunkach, o pniach, które leżą zwalone na ziemi, podsuwając umysłowi najfantastyczniejsze formy olbrzymich pająków, węży pokręconych, krokodylów przyczajonych itp., wszystko to napawa człowieka smutkiem i znudzeniem... Nie ma pióra na opisanie tej głębokiej, śmiertelnej ciszy, jaka tu panuje. Powiadają, że człowiek, przebywający w tych pustynnych zaroślach odwyka prawie od mówienia, a często dostaje pomieszania zmysłów. Zwierzęta nawet zdają się ulegać powszechnemu milczeniu; bydło nie ryczy, nie słychać też beczenia owiec, które się tu pasą tysiącami. Tylko niekiedy śród nocnej ciszy daje się słyszeć ponure, przejmujące dreszczem wycie dzikiego psa dingo, które po niezmierzonych pustynnych równinach lub śród pierwoboru rozlega się echem „niby chór czarownic"... Owoce, jakie Europejczykowi wydawałyby się dobrymi do jedzenia, nie istnieją tu prawie; nieliczne owoce tutejsze posiadają tak mało materii pożywnych, że podróżnicy, którzy zmuszeni byli przez pewien czas żywić się nimi wyłącznie, umierali śmiercią głodową..."

GIEOGRAFJA MALOWNICZA



Z WRAŻEŃ PODRÓŻNIKÓW

UŁOŻYŁ

Wacław Nałkowski

»L'univers est une espèce de livre dont on n'a lu que la première page, quand on n'a lu que son pays.« *Stendhal.*

I

AUSTRALJA (z Polinezją)

WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ MICHAŁA ARCTA
1902.

Po wylądowaniu w Melbourne wynajęliśmy dom przy ulicy Cecylii w dzielnicy Kew. I chociaż później przeprowadzaliśmy się jeszcze kilkakrotnie to żaden z następnych nie wydawał się nam tak wspaniały. Zresztą każda siedziba, po Mexico Platz i Neilreichgasse we Wiedniu, byłaby pałacem. Mieliśmy trzy duże sypialnie, jadalnię, salon i kuchnię, a przy kuchni pralnię z mosiężnym kotłem do gotowania bielizny i wyżymaczką. Nie przeszkadzało nam, że dom był zaniedbany, a dywany zniszczone i wytarte. Później dopiero okazało się, że dom był przeznaczony do rozbiórki.

W ogrodzie rosła palma daktylowa i bliżej nieznane drzewo, z którego zwisały kielichy białych mocno pachnących kwiatów; przy płocie stała magnolia o mięsistych fioletowych kwiatach, przylepionych do gołych, pozbawionych liści gałęzi. Wśród wysokiej trawy rosły dziko smukłe kalie, z jakich w Europie układało się wiązanki ślubne i pomarańczowe lilie – smolinosy.

Wprowadziliśmy się do naszego domu w październiku, w pełni australijskiej zimy; mimo to temperatura nie spadała poniżej 14-15 stopni.

Wszystko było tu inne. Niebo rozświetlone inną konstelacją gwiezdną; znikła Gwiazda Polarna i Droga Mleczna, nie było Wielkiej Niedźwiedzicy, a księżyc także wyglądał inaczej i świecił jakby do góry nogami.

Melbourne było ogromne: ze wschodu na zachód ciągnęło się czterdzieści pięć, a z północy na południe - sześćdziesiąt kilometrów. Samo śródmieście mieściło się za to na niewielkim obszarze czterech kilometrów kwadratowych. Miały tu swoją siedzibę domy towarowe, banki, hotele i restauracje. Dookoła rozrzucone były dziesiątki rozległych dzielnic mieszkaniowych z domami ukrytymi w bujnej zieleni ogrodów.

Natychmiast po przyjeździe zaczęliśmy szukać pracy.

Odległości do pokonania były olbrzymie. Istniała co prawda komunikacja kolejowa, tramwajowa i autobusowa, ale większość mieszkańców poszczególnych dzielnic dojeżdżała do pracy samochodem.

Z pieniędzy zarobionych we Wiedniu pozostało niewiele. Zrezygnowaliśmy więc na razie z kupna przedmiotów takich jak łóżka, stół i krzesła i nabyliśmy na licytacji byłych pojazdów pocztowych używany samochód Ford Combi i nieodzowny plan miasta na sześciuset stronach druku.

Na podłodze spaliśmy jednak nie długo i krótko spożywaliśmy posiłki na kolanach. Na wiadomość o przyjeździe pierwszej rodziny z Polski po wydarzeniach tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku nieznajomi ludzie znosili nam stoły, krzesła i łóżka, talerze, garnki i szklanki. Przyjmowaliśmy wszystko z wdzięcznością; nasze bagaże płynęły okrętem i mogły dotrzeć do Melbourne dopiero za kilka miesięcy.

Nawiązaliśmy wówczas wiele przyjaźni, które w większości przypadków przetrwały do dziś.

Znalezienie pracy nie było trudne, pomimo że nasza znajomość angielskiego była słaba i już pierwsze próby porozumiewania się z Australijczykami okazały się katastrofą. Mówili szybko, niewyraźnie i z upodobaniem połykali końcówki.

Po tygodniu Otek zaczął pracować. Przez siedem godzin dziennie pakował do pudeł damskie torebki w fabryce w Abbotsford, i dostawał za to czterdzieści dolarów tygodniowo. Za mieszkanie płaciliśmy dwadzieścia cztery dolary, reszta musiała nam wystarczyć na wszystko inne.

Jedzenie było tanie. Co sobotę robiliśmy zakupy na Victoria Market. Nigdy dotąd nie widzieliśmy takich ilości pomarańcz, grejpfrutów i ananasów. Tu zaopatrywaliśmy się w owoce i jarzyny na cały tydzień, płacąc za wszystko około ośmiu dolarów. Chleb, mleko i masło kupowaliśmy w „milkbarze". Wbrew swojej nazwie był to lokalny sklep spożywczy, w którym można było kupić również gazety i papierosy, pastę do zębów, środki piorące i proszki od bólu głowy. „Milkbary" były zawsze otwarte – za wyjątkiem Wielkiego Piątku – od piątej rano do późna w nocy.

Do końca roku szkolnego pozostawały jeszcze dwa miesiące. Zapisaliśmy więc nasze córki do szkół: Oleńkę do szkoły podstawowej, a Joasię do szkoły średniej.

Dziewczynkom było w szkole bardzo trudno; język angielski był im całkowicie obcy. Joasia, która chodziła już do szkół z czeskim, rosyjskim, polskim i niemieckim językiem wykładowym wracała do domu z płaczem.

Z jednej pensji nie mogliśmy się utrzymać. Zaczęłam więc pracować przez kilka godzin dziennie w niewielkim sklepie jubilerskim. Sprzątałam, odkurzałam gabloty i czyściłam do połysku szybę wystawową. Po pewnym czasie pomagałam przy sprzedaży i pakowaniu paczuszek z towarem.

Moja praca w sklepie nie trwała długo. Wkrótce dzięki pomocy dobrych ludzi znalazłam posadę w polskim biurze podróży; znowu siedziałam za biurkiem i rozmawiałam z klientami po polsku albo po rosyjsku. Zarabiałam trzydzieści siedem dolarów na tydzień, najniższą stawkę dla kobiet, które wówczas dostawały mniej od mężczyzn za tą samą pracę.

Jak na urągowisko – zajmowałam się organizacją wycieczek do Polski dla miejscowej Polonii. Załatwiałam australijskie paszporty i polskie wizy wjazdowe. Jeździłam z grupami wycieczkowiczów do Sydney, gdzie rozpoczynał się pierwszy etap podróży zagranicznej. Wsadzałam ich do samolotu, życząc szczęśliwej podróży, ale nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie dlaczego nie jadę razem z nimi do Polski...

Załatwiałam także wyjazdy do Rosji na zaproszenia rodzinne, tzw. „wyzowy". Na wizę rosyjską czekało się wiele miesięcy, czasem nawet rok. Wiza

określała miejsce zamieszkania rodziny i tylko tam wolno było przebywać. Zaproszenia nadchodziły przeważnie z Ukrainy i Białorusi, z małych miasteczek albo wsi, ale czasem zdarzały się „wyzowy" ze Lwowa.

Jednym z miejsc, objętym zakazem wjazdu dla cudzoziemców był Stanisławów, przemianowany na Iwano-Frankowsk; podobno mieściły się tam tajne obiekty wojskowe.

W styczniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku Otek rozpoczął nową pracę w odlewni metalu. Było gorące australijskie lato. Odlewnia mieściła się w niedużym pomieszczeniu bez wentylacji. Kiedy na dworze temperatura wynosiła 35 stopni to wewnątrz trudno było wytrzymać. Godziny pracy nie były ściśle określone i często trzeba było pracować do późnych godzin nocnych.

Otek wytrzymał tam dwa miesiące.

Potem ktoś polecił go do pracy w sklepie z towarami łokciowymi. Był to właściwie magazyn, w którym w wielkim nieładzie piętrzyły się zwoje materiałów; można w nim było dostać wszystko: haftowane złotem tiule, lśniące tafty i miękkie aksamity. Stąd pochodziły materiały, z których powstawały bogate stroje teatralne. Tu zaopatrywały się miejscowe elegantki i kobiety z półświatka; tu wreszcie przychodziły krawcowe po specjalny kawałek koronki dla najbardziej wybrednych klientek.

Otek przenosił bele materiałów, rozwijał je i zawijał, odmierzał i pakował. Kiedy trzeba było zamiatał podłogę i wynosił śmieci.

Dni wolne od pracy spędzaliśmy z dziećmi.

Chodziliśmy na długie spacery po ulicach Kew. Oglądaliśmy malownicze domy wiktoriańskie, zdobione metalową koronką i barwnymi witrażami w oknach. Niektóre schowane były za kamiennym murem. Jeszcze inne widoczne były gdzieś z daleka, za żeliwnymi sztachetkami, wśród gazonów kolorowego kwiecia. Prowadził do nich wysypany piaskiem podjazd; w ogrodzie stały fontanny albo altanki i dziewczynki patrzyły na to ze źle ukrywaną zazdrością...

W którąś niedzielę pojechaliśmy do ogrodu botanicznego. Zachłysnęliśmy się jego pięknem. Staliśmy nad stawem, porośniętym kwiatami lilii wodnych i oglądaliśmy czarne łabędzie pływające po lustrzanej tafli. Podziwialiśmy nieznaną roślinność: drzewa paprociowe, palmy, agawy i aurokarie. Kaktusy o przedziwnych kształtach, niektóre dochodzące do kilku metrów wysokości, drzewa eukaliptusowe i bambusy.

Jeździliśmy na Philip Island aby o zmroku przyglądać się paradzie pingwinów.

Zwiedzaliśmy miasteczko Ballarat – historyczny skansen z okresu australijskiej gorączki złota.

Głaskaliśmy koale i kangury w rezerwacie narodowym w Hillsville.

Kąpaliśmy się z delfinami w Oceanie Spokojnym na plaży w Sorrento i pływaliśmy w ciepłych falach zatoki w Mt. Eliza.

Australia podobała nam się coraz bardziej.

Kiedy dowiedzieliśmy się o możliwości zaciągnięcia pożyczki bankowej kupiliśmy dom w dzielnicy Elsternwick. Kosztował piętnaście tysięcy dolarów, z czego jedną trzecią musieliśmy posiadać na depozyt. Własnych pieniędzy mieliśmy tylko pięćset dolarów. Tusiek z Nowego Jorku przysłał nam tysiąc pięćset; osiemset dolarów bezprocentowej pożyczki dostaliśmy z miejescowej dobroczynnej instytucji żydowskiej; resztę zebrali między sobą dopiero co poznani życzliwi nam ludzie – po trzysta lub pięćset dolarów każdy.

Do nowego domu przy Kooyong Road w Elsternwick wprowadziliśmy się w pierwszą rocznicę przyjazdu do Australii. Chcąc jak najszybciej spłacić prywatne długi musieliśmy prowadzić bardzo oszczędny tryb życia. Na szczęście Otek znalazł dodatkową pracę, polegającą na pakowaniu paczek z odzieżą do Rosji. Dostawał za to pięćdziesiąt centów od jednej paczki, dzięki czemu mieliśmy dalszych dziesięć lub piętnaście dolarów tygodniowo.

Po kilku miesiącach Otek zaczął pracować w biurze fabryki odzieży sportowej, ale z pakowania paczek zrezygnował dopiero wtedy, kiedy ja dostałam pierwszą podwyżkę.

Dziewczynki rosły; uczyły się dobrze i miały już swoje australijskie koleżanki.

Kupiliśmy psa – jamnika i nazwaliśmy go Punchi, na pamiątkę ustrońskiego pinczerka; od znajomych dostaliśmy malutką kotkę Cleo. Co wieczór wychodziliśmy z nimi na spacer – Punchi na smyczy a Cleo koło nogi.

Potem kupiliśmy przyczepę kampingową. Wyjeżdżaliśmy coraz dalej wgłąb Victorii – na Wilsons Promontory – najdalej na południe wysunięty cypel kontynentu australijskiego; do nadmorskiej miejscowości Lorne i w góry do Grampians. A któregoś roku zaokrętowaliśmy się z samochodem i przyczepą na statek i popłynęliśmy na zwiedzanie Tasmanii.

Pewnego dnia ktoś zaproponował nam przejęcie sklepu z odzieżą dziecięcą w odległej dzielnicy St. Albans, położonej trzydzieści dwa kilometry od domu. Postanowiliśmy spróbować.

St. Albans był młodą dzielnicą imigrancką. Mieszkali tam Serbowie i Chorwaci, Włosi i Maltańczycy, Polacy, Czesi i Niemcy. Rozmawiano wieloma

językami, a najrzadziej używanym był język angielski. Często na sklepach wisiały informacje: „Wir sprechen Deutsch", „Hovorime srbsky" i „Mówimy po polsku", a na samym końcu „English also spoken".

Wyjeżdżaliśmy do pracy wcześnie rano, a wracaliśmy o zmroku. Pracowaliśmy siedem dni w tygodniu. W piątki sklep był otwarty do dziewiątej wieczór, a w niedziele jeździliśmy do fabryk, zaopatrując się w towar.

Dziewczynki były samodzielne; każda miała własny klucz od domu. Po szkole odgrzewały sobie jedzenie i karmiły zwierzęta.

Marzyły o basenie kąpielowym.

Któregoś dnia kupiliśmy zestaw do zmontowania basenu naziemnego – osiem na cztery metry – i własnoręcznie ustawiliśmy go w naszym ogrodzie. Była to ciężka praca: trzeba było przekopać ogród, idealnie zniwelować poziom ziemi i precyzyjnie połączyć wszystkie elementy. Kiedy skończyliśmy - wszyscy mieli pokaleczone do krwi ręce i bąble na palcach.

Korzystaliśmy z tego basenu od wczesnej wiosny do późnej jesieni; my przed wyjazdem do pracy i wieczorem przed spaniem, dziewczynki po powrocie ze szkoły.

W niedziele na basenie było pełno. Schodziła się młodzież.

Dziewczynki nie różniły się już niczym od swoich australijskich koleżanek. W zimie nosiły szare tuniki, żakiet z emblematem szkoły i filcowy kapelusz; latem – jasne sukienki, białe rękawiczki i kapelusz ze słomki. Mówiły swobodnie po angielsku i między sobą posługiwały się tym językiem. Z nami rozmawiały wyłącznie po polsku.

Pierwszym „kangurem" w naszej rodzinie została Joasia; otrzymała obywatelstwo australijskie z chwilą ukończenia szesnastu lat. Po trzech latach od naszego przyjazdu my również zostaliśmy Australijczykami.

Mijały lata. Teraz zaczęliśmy poświęcać coraz więcej czasu na muzea, wystawy i galerie sztuki. Z zaciekawieniem przyglądaliśmy się licytacjom dzieł sztuki w dużych domach aukcyjnych i śledziliśmy specjalistyczne publikacje, książki i katalogi. Interesowało nas malarstwo, sztuka orientalna, antyki.

Pewnego dnia, kiedy z Ameryki nadeszła wiadomość o śmierci Tuśka, który zginął w katastrofie szybowcowej. Był to wielki cios dla ciotki Łucji: Lolek zaginął bez śladu w czasie wojny; jego żona Hanka wyszła powtórnie za mąż i zamieszkała w Puerto Rico. Tusiek zajmował się wychowaniem Jędrka i zastępował mu ojca, a dla ciotki był nie tylko najlepszym synem, ale także przyjacielem, doradcą i opiekunem.

Postanowiliśmy, że polecę do Nowego Jorku aby namówić ją na przyjazd do Australii.

Nie widziałyśmy się prawie trzydzieści lat. Ciotka Łucja była teraz starą, nieszczęśliwą, bezradną i zagubioną kobietą. Mieszkała na ósmym piętrze niedaleko Parku Centralnego, zamknięta na łańcuch i sześć zamków i rzadko wychodziła z domu. O przyjeździe do Australii nie chciała nawet słyszeć.

Umarła dwa lata później.

Nasza australijska rodzina powiększała się. Do niedawna był to tylko kuzyn Otka, Jurek Popper, jego żona Wisia i rówieśnica Oleńki, Kasia.

Matka Jurka, ciotka Helena, była siostrą ojca; mieszkała w Krakowie z mężem i dwoma synami. Starszy Ernest przeżył wojnę w Rosji, Jurek z ojcem uratował się na aryjskich papierach w Warszawie, a ciotka Helena zginęła w obozie w Bełżcu.

Jurek był naszym sponsorem na przyjazd do Australii; byliśmy mu za to bardzo wdzięczni.

Pewnego dnia z Ameryki przyjechał mój kuzyn Zbyszek, syn wujka Ludwika i ciotki Stefy. Od wielu lat mieszkał w Nowym Jorku, ale byliśmy ze sobą w stałym kontakcie; była to już jego trzecia wizyta w Australii. Tym razem postanowił nie wracać do Ameryki; ożenił się, osiadł na stałe w Melbourne i razem z żoną Jadzią zamieszkał niedaleko nas, w Elsternwick.

Przyjechała też moja kuzynka Maryla ze starszym o kilka lat od Joasi synem Pawłem. Mój dziadek Zygmunt i babcia Maryli byli rodzeństwem; miałyśmy wspólnego pradziadka z Brodów. Przed wojną Maryla mieszkała we Lwowie. Miała siostrę Lalkę i brata, który razem z rodzicami zginął w lwowskim getcie. Maryla i Lalka uciekły do Warszawy i ukrywały się na aryjskich papierach. Poznałyśmy się dopiero po wojnie.

A kiedy po kilku latach w Rumunii po długiej i ciężkiej chorobie zmarł wujek Józek – do Melbourne przyjechała moja kuzynka Jeaninka z mężem Silviu i córkami Aliną i Miruną. Po roku sprowadziła swoją matkę Lili a nieco później jej siostrę, ciotkę Madi.

Mieliśmy też spore grono przyjaciół, którzy – podobnie jak my przyjechali z Warszawy po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Łączyły nas wspólne przeżycia tam i wspólna dola emigrancka tutaj. Nasze dzieci były rówieśnikami. Spotykaliśmy się często i obchodziliśmy wspólnie wszystkie uroczystości rodzinne: najpierw urodziny, a w miarę upływu czasu zaręczyny i śluby dzieci; po latach także narodziny wnuków.

Oprócz tej grupy mieliśmy także przyjaciół z poprzednich emigracji – tych, którzy od początku naszego pobytu w Australii okazywali nam wiele serca i pomocy.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku sprzedaliśmy dom na Kooyong Road i przenieśliśmy się o dwieście metrów dalej, na Hoddle Street. Po raz pierwszy zobaczyliśmy ten dom podczas któregoś z wieczornych spacerów ze zwierzętami. Dom osłonięty był od ulicy wysokim cyprysowym żywopłotem. W ogrodzie rosły drzewa paprociowe, kamelie, azalie i rododendrony. W sadzawce pluskały się złote rybki. Dom był murowany, z czerwonej cegły; miał kolorowe witraże w oknach, pokój na poddaszu i piękny kominek w salonie.

W naszym nowym domu byliśmy bardzo szczęśliwi.

Brat Otka, Fredek mieszkał w Niemczech. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku usunięto go ze stanowiska zastępcy naczelnego redaktora Wielkiej Encyklopedii Powszechnej w Państwowym Wydawnictwie Naukowym; jego żona Irena straciła pracę w Polskim Radio.

Dzięki biegłej znajomości języka i doświadczeniu w pracy redakcyjnej Fredek pracował teraz w wielkim koncernie wydawniczym Bertelsmanna w Gütersloh.

Kiedy kilka lat później w Warszawie zmarła matka Ireny – władze polskie uniemożliwiły jej wzięcie udziału w pogrzebie. Irena nie była Żydówką, ale miała żydowskiego męża, więc odmówiono jej wizy wjazdowej do Polski. Powtórzyło się to w jakiś czas później, po śmierci ojca.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku dowiedzieliśmy się o nagłej śmierci Fredka. Miał pięćdziesiąt cztery lata i zmarł na atak serca. Został pochowany na cmentarzu komunalnym w Gütersloh. Dzieci nie mieli i Irena pozostała sama w Niemczech.

Od lat pozostajemy z nią w stałym kontakcie listownym i telefonicznym; kilkakrotnie odwiedzała nas w Australii.

Kiedy Joasia była już na studiach udaliśmy się na pierwszy urlop zagranicę. Najpierw polecieliśmy do Niemiec; zabraliśmy Irenę i razem przemierzaliśmy samochodem Europę.

Przejechaliśmy Niemcy, Szwajcarię i południową Francję, a potem zatrzymaliśmy się na Słonecznym Wybrzeżu Hiszpanii w miejscowości Cambrils. Spotkaliśmy się tam z Maxem i Zdenką, którzy po praskich wydarzeniach 1968 roku także osiedlili się w Niemczech. Max pracował na stanowisku patologa Kliniki Miejskiej w Essen do czasu przejścia na emeryturę.

Razem z nimi i z Ireną obchodziliśmy w Hiszpanii naszą dwudziestą drugą rocznicę ślubu.

W drodze powrotnej jechaliśmy przez Pireneje i najmniejsze państwo Europy – Andorę. We Francji zwiedziliśmy fortecę w Carcassone, Strassburg i siedzibę polskiego króla Stanisława Leszczyńskiego, księcia Lotaryngii – Nancy. Przez Luksemburg wróciliśmy do Niemiec, odstawiliśmy Irenę do Gütersloh, a sami pojechaliśmy do Pragi. Była piękna jak dawniej.

Niestety Poldiczek już nie żył, ale odwiedziliśmy Hardego i Magdę w Brnie.

Potem – tym razem jako turyści – pojechaliśmy do Wiednia; spacerowaliśmy po wiedeńskich ulicach i piliśmy kawę u Sachera. Poszliśmy także na Mexico Platz i na Neilreichgasse.

Znajdowaliśmy się teraz niedaleko polskiej granicy. Od Ustronia dzieliło nas tylko dwieście kilometrów, ale odległość między nami a Polską była nie do przebycia. Było to szczególnie bolesne dla Otka.

Od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku naszym jedynym kontaktem z Polską były listy ciotki Stefy i pani Misi. *„Co za szczęście że jesteście tak daleko i nie musicie patrzeć na to co się tutaj dzieje"* – pisała pani Misia.

Z jednego z jej listów dowiedzieliśmy się, że ustroński cmentarz żydowski został zrównany z ziemią; dom przedpogrzebowy rozebrano, usunięto nagrobki, a przez środek cmentarza przeprowadzono autostradę. Pani Misia uzyskała zgodę miejscowych władz na ekshumację i przeniesienie pomnika rodziców na ustroński cmentarz komunalny na Gojach. Pomniki z grobów dziadka Adolfa, babci Joanny, krewnych z Wisły i innych zostały rozkradzione.

Niedługo potem pani Misia umarła i została pochowana na tym samym cmentarzu.

Po śmierci pani Misi opiekę nad domem w Ustroniu przejął jej siostrzeniec, Genek. Otek znał go od dawna. Kiedy po repatriacji z Rosji pani Misia zamieszkała w Ustroniu Genek, który stale mieszkał w Bielsku, często ją odwiedzał. Przez szereg następnych lat podczas urlopów spędzanych u ojca Otek wielokrotnie się z nim spotykał; grali ze sobą w szachy i wędrowali po górach.

Od czasu śmierci ojca pani Misia zajmowała się wszystkimi sprawami, związanymi z administracja domu. Wprawdzie budynek był zajęty przez biura spółdzielcze, ale było z tym dużo zawracania głowy, ponieważ remonty należały do obowiązków właściciela domu. Dom miał ponad sto lat i wymagał konserwacji, która musiała się zmieścić w ramach symbolicznego czynszu płaconego przez spółdzielnię, co wcale nie było takie łatwe.

Podczas swojej długotrwałej choroby pani Misia przekazała Genkowi wszystkie dokumenty prawne, a Otek udzielił mu swego pełnomocnictwa na dalsze administrowanie domem.

Listy od Genka przychodziły regularnie. W każdym liście namawiał nas do przyjazdu.

„*Dużo ludzi z zagranicy przyjeżdża do Ustronia.*" – pisał. „*Niektórzy przyjeżdżają nawet z Australii, więc dlaczego Wy nie możecie?*" Trudno mu było zrozumieć, że dla nas droga do Ustronia była zamknięta.

Pojechaliśmy znowu za granicę, tym razem na Bali. Zachwyciło nas błękitne morze, tropikalna roślinność, zwyczaje i tradycje tubylców.

W następnym roku pojechała tam Joasia, a później Oleńka.

Joasia wyszła za mąż w 1980 roku. Joe urodził się w Indiach w rodzinie serfardyjskich Żydów jako jeden z dziesięciorga rodzeństwa - sześciu sióstr i czterech braci.

Matka Joe urodziła swoje pierwsze dziecko mając czternaście lat. Mąż był od niej dużo starszy. Cała rodzina mieszkała w Bombaju do lat pięćdziesiątych, a potem wyemigrowała z Indii - część zamieszkała w Izraelu, jedna z sióstr w Anglii, a inni, w tym rodzice i sześcioro rodzeństwa, osiedlili się w Australii.

W roku 1981 urodziła się nasza pierwsza wnuczka Susie, potem Jonathan i Rebecca.

Tymczasem minęło dziewięć lat naszej działalności w St. Albans. W ciągu tego czasu przejechaliśmy tyle kilometrów, ile wystarczyłoby na 6-ciokrotne okrążenie kuli ziemskiej - dwieście czterdzieści tysięcy.

Nadeszła pora aby zamknąć ten rozdział naszego życia. W końcu 1981 roku otworzyliśmy sklep z antykami, a Joe został naszym partnerem. Praca przestała być obowiązkiem i stała się przyjemnością. Mogliśmy rozwijać nasze prywatne hobby. Zbieraliśmy obrazy i przedmioty związane z kulturą żydowską, a także staroświecki sprzęt kuchenny (stare żelazka, moździeże, młynki do mielenia kawy, klucze). Wszystkie one znalazły miejsce na ścianach i półkach w naszej kuchni.

Trzy lata po ślubie Joasi wyszła za mąż Oleńka. Steven urodził się w Australii; jego rodzice są Żydami angielskimi, ale pradziadkowie pochodzili gdzieś ze wschodniej Europy.

W 1986 roku przyszedł na świat syn Oleńki i Stevena, Michael. Między sobą nazywamy go Maćkiem. Kiedy Maciek miał pięć lat Oleńka dodała mu drugie imię Josef, na pamiątkę ustrońskiego pradziadka Józefa. A w 1990 roku urodziła się nasza najmłodsza wnuczka, Stephanie.

Tymczasem rozszerzyliśmy asortyment naszego sklepu i obok antyków zajmowaliśmy się importem mosiężnych okuć budowlanych. Prowadziliśmy tą działalność przez kilka lat, do czasu kiedy w 1984 r. Joasia z Joe i dziećmi przeprowadziła się do Sydney, gdzie mieszkała duża część rodziny naszego zięcia.

Wówczas wycofaliśmy się z aktywnego życia zawodowego.

Zaczęliśmy jeździć po świecie.

Pojechaliśmy do Indii. Spędziliśmy dwa tygodnie w pływającym pałacu na jeziorze Nagin, w Kaszmirze, a potem dziesięć dni w Himalajach, gdzie wspinaliśmy się konno do lodowców. Płynęliśmy łodzią po świętej rzece Ganges w Varanasi – dawniej Benares – i zwiedziliśmy jeden z ośmiu cudów świata – grobowiec Taj Mahal.

Odwiedziliśmy Nepal. Podziwialiśmy dziesiątki świątyń i zabytków i fotografowaliśmy szczyty Mount Everestu i Akapurny.

Dwa lata później pojechaliśmy do Thailandii. Spędziliśmy dwa tygodnie na plaży w Pataji; zwiedzaliśmy plantacje orchidei i jeździliśmy na słoniach.

Byliśmy w Hong-Kongu i Singapurze.

Świat stał przed nami otworem. Mogliśmy jechać wszędzie gdzie chcieliśmy. Ale żadne skarby świata nie mogły nam kupić biletu do Stanisławowa ani Ustronia...

Znów minęło kilka lat.

Nagle oczy całego świata zwróciły się ku Polsce.

Po raz pierwszy w historii w kraju komunistycznym powstała masowa, zorganizowana opozycja polityczna.

Powstał niezależny związek zawodowy „Solidarność", na czele którego stanął elektryk stoczni gdańskiej, Lech Wałęsa.

„Solidarność" domagała się reform demokratycznych. Organizowała strajki i wiece począwszy od Stoczni Gdańskiej do zakładów przemysłowych na terenie całego kraju.

Ruch oporu obejmował coraz szersze kręgi. Włączyły się środowiska twórcze, naukowe, młodzież akademicka i kościół.

Nastąpiły aresztowania i represje. Władza poczuła się zagrożona.

W przeddzień spodziewanej interwencji zbrojnej Rosji wprowadzono stan wojenny; polała się krew.

Za przykładem Polski powstał ruch opozycyjny w innych krajach komunistycznych. Fala odnowy nie oszczędziła również samej Rosji. Komunizm pękał w szwach.

Na czele ruchu nowatorskiego w Rosji stanął Gorbaczow. Jego hasła „glasnost" i „perestrojka" obiegły cały świat. Zaczęto przyznawać się do błędów. Nastąpiła liberyzacja stosunków, która objęła również Polskę.

Decyzja była trudna. Przez wiele lat zapiekaliśmy w sobie żal za doznaną krzywdę.

Zdążyliśmy już pogodzić się z myślą, że nigdy więcej do Polski nie pojedziemy. Że tak samo jak mój Stanisławów – Ustroń także pozostanie dla Otka niedostępną ziemią niezapomnianą, że nigdy już nie zobaczy domu rodzinnego ani grobów swoich przodków.

Ale teraz pokusa była zbyt silna.

Dokładnie dwadzieścia lat od wyjazdu z Warszawy, w zmieniającej się sytuacji politycznej wystąpiliśmy do Konsulatu Polskiego w Sydney o wydanie nam wizy turystycznej do Polski.

Rozdział 13

W maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku znowu polecieliśmy do Europy.

Pierwszym etapem naszej podróży była Anglia.

Zatrzymaliśmy się w Londynie u Stefana, kolegi z wojska Otka i Fredka. Chociaż ani Stefan – ani jego żona Leszka nie byli Żydami, to Stefan miał śniadą twarz, ciemne włosy i niemiecko (żydowsko) brzmiące nazwisko, więc bez trudu dostali zgodę na wyjazd do Izraela. Po kilkuletnim pobycie w Tel-Avivie przenieśli się do Anglii.

W Londynie spotkaliśmy się z kuzynkami Otka ze strony matki - Friedą i Ilzą; mąż Ilzy był nam niezastąpionym przewodnikiem po tym pięknym mieście. Niestrudzenie oprowadzał nas po licznych muzeach i galeriach sztuki.

W podlondyńskiej miejscowości Leigh-on-Sea odwiedziliśmy kuzyna ze strony ojca, Fritza. Podczas wojny Fritz służył w armii angielskiej, gdzie poznał swoją żonę Fay. Poznaliśmy ich córkę Susie i jej męża Johna.

Potem pojechaliśmy do Izraela.

Korzystaliśmy z gościnności Henryka Rotha z Wisły. Matki Henryka i Otka były siostrami. Ciotka Irma i wujek Ryszard zginęli podczas okupacji - ciotka w Oświęcimiu, wujek zmarł na tyfus w Samarkandzie. Henryk przeżył wojnę w Rosji; po wojnie wyjechał do Izraela, gdzie ożenił się z argentyńską imigrantka, Sofi. Mieli dwoje dzieci - Daniela i Irit. Henryk był fotografikiem i reżysrem filmowym.

Zwiedzaliśmy Izrael wzdłuż i wszerz. Z wielkim wzruszeniem stanęliśmy przed Ścianą Płaczu. Odwiedziliśmy Yad Vashem. Chodziliśmy po ruinach Masady i kąpaliśmy się w Morzu Martwym.

W Izraelu spotkaliśmy ludzi z różnych etapów naszego życia.

W Arrat niedaleko Berszewy mieszkał rumuński kuzyn Bella; ponad dwadzieścia lat temu spędzaliśmy u niego wakacje w Constanzy. Pod Haifą mieszkała siostra Belli, Erna, która kiedyś pomogła nam odszukać wujka Józka w Craiowej.

W Jerozolimie mieszkał mój kolega ze studiów w późnych latach czterdziestych, Wiktor - teraz kierownik audycji dla zagranicy radia Kol-Israel.

Kuba był kolegą Otka z lat sześćdziesiątych. Mieszkał w Haifie. W tym samym domu mieszkała wdowa mego szefa z wczesnych lat pięćdziesiątych w Moskwie.

Spotkaliśmy także wielu tych, którzy wyjechali z Polski po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Ale największym wydarzeniem naszej podróży do Izraela były dwa ostatnie spotkania, które miały miejsce w przeddzień naszego wyjazdu.

Ktoś podał mi adres stanisławowianki, Sylwii, zamieszkałej w Tel-Avivie.

Umówiłyśmy się w kawiarni na Dizengoff; natychmiast zapomniałyśmy o całym świecie. Czas cofnął się o pięćdziesiąt lat. Sylwia pamiętała mnie z Jaremcza, z wakacji spędzonych w „Irenie" z początkiem lat trzydziestych!

Starsza o kilka lat wyszła za mąż w roku maturalnym 1938. Dzięki mężowi Marianowi przeżyła wojnę. W 1940 roku przyszła na świat ich córeczka Joasia, która razem z rodzicami przeżywała głód, chłód i strach. Rodzice Sylwii popełnili samobójstwo w stanisławowskim getcie w 1942 roku. Niedługo po wojnie Sylwia z mężem i córeczką, wyjechała do Izraela. Tam urodziła im się druga dziewczynka.

Sylwia pamiętała wszystko i wszystkich: mego Ojca i Matkę, wujka Bronka i ciotkę Helę i kuzyna Waldka. Pamiętała nazwiska ludzi, których znałam i ulice po których chodziłam. Brat Pepy, Kuba, był kolegą gimnazjalnym jej brata; siostrę Pepy znała z okresu, kiedy Niusia była kreślarką u stanisławowskiego inżyniera Dracha, a Sylwia przyjaźniła się z jego córkami, Lizą i Adą.

Wydawało nam się, że znamy się od zawsze.

Pod koniec spotkania opowiedziałam Sylwii o Rutce; doznałam szoku, kiedy okazało się, że Rutka mieszka w Izraelu, w Rechowot!

Pożegnałyśmy się z Sylwią z postanowieniem, że będziemy do siebie pisać. Nasza korespondencja trwa już ponad dziesięć lat. Nie widziałyśmy się nigdy więcej i nie wiadomo czy się jeszcze kiedyś zobaczymy. Ale jesteśmy sobie bardzo bliskie. Nasze listy są tasiemcowe, często na kilkanaście stron. W każdym dzielimy się wciąż nowymi wspomnieniami. I nigdy jeszcze nie zabrakło nam tematu.

Trudno opisać nasze spotkanie z Rutką. Spędziłyśmy ze sobą ostatnią noc przed naszym wyjazdem z Izraela, płacząc i śmiejąc się na przemian. Wojenne dzieje Rutki były tragiczne. Matkę zastrzelili Niemcy. Rutka z ojcem przeżyła w schowku pod schodami u miejscowych chłopów; razem z nimi uratowało się tam kilkanaście innych Żydów.

Wyjechała do Palestyny w 1946 roku; była w wojsku, wyszła za mąż, urodziła pięcioro dzieci i dochowała się gromadki wnuków.

Siedziałyśmy na łóżku i wspominałyśmy: wakacje w Jaremczu, zabawy w zagajniku leszczynowym i okrzyki „Hules!" na widok przejeżdżającego pociągu. Szałasy z liści, budowane ze Zbyszkiem i Staszkiem Rzucidło, plażę „pod jeleniem" i festyny dla dzieci w „Irenie". Wspominałyśmy ulubione lal-

ki i zwierzęta, wierszyki wpisywane do pamiętników i książki „dla panienek" Lidii Czarskiej. Całe nasze dzieciństwo...

Następnego dnia pożegnaliśmy Izrael i po kilku godzinach lotu wylądowaliśmy na Okęciu.

Warszawa była szara i smutna. Ludzie zapomnieli uśmiechu, a sklepy świeciły pustkami. Ciotka Stefa nie żyła już od dwóch lat. Większość naszych przyjaciół i znajomych dawno opuściła Polskę.

Z dziwnym uczuciem chodziliśmy po warszawskich ulicach, na próżno zaglądając w twarze przechodniom... Pojechaliśmy na Żoliborz, popatrzeć na dom w którym mieszkaliśmy przed dwudziestu laty i na Dworzec Gdański, od którego zaczęła się nasza wędrówka po świecie - bez prawa powrotu.

Poszliśmy na Uniwersytecką. Mieszkaliśmy tam ponad pięć lat i tam urodziły się nasze dzieci. Ale w spisie lokatorów na klatce schodowej nie znaleźliśmy ani jednego znajomego nazwiska.

Na Starym Mieście obejrzeliśmy dom w którym mieszkaliśmy jako młode małżeństwo; potem poszliśmy na Kubusia Puchatka, gdzie w kawalerce na drugim piętrze rozpoczynało się nasze wspólne życie.

Odwiedziliśmy Łazienki, w których jak dawniej zadumany Szopen siedział pod rosochatą wierzbą; w Parku Ujazdowskim karmiliśmy łabędzie na stawie i liczyliśmy rude kitki wiewiórek.

Na Cmentarzu Powązkowskim postawiliśmy doniczkę cyklamenów na grobie ciotki Stefy, a na Muranowie złożyliśmy wiązankę kwiatów pod pomnikiem Bohaterów Getta.

Potem pojechaliśmy do Ustronia. Było to duże przeżycie dla Otka.

Tutaj nic się nie zmieniło. Powietrze było rześkie i czyste, a góry piękne jak dawniej. Wszyscy nas tutaj znali: szkolni koledzy Otka, z którymi kiedyś kopał piłkę nad Młynówką, starzy sąsiedzi, pamiętający rodziców. Znajomi, z którymi spotykaliśmy się podczas urlopów, tacy sami, tylko o dwadzieścia lat starsi. Poznawali nas na ulicy, zatrzymywali, zapraszali.

Najpierw poszliśmy do DOMU.

W gnieździe na kominie jak kiedyś siedziała bocianica ze swoimi bocianiątkami. Budynek zapadł się i jakby skurczył, a jedno z frontowych okien sypialni było zamurowane.

Wnętrze niczym już nie przypominało domu rodzinnego; teraz mieściła się tu piekarnia, ściany między pokojami zostały wyburzone. Wstawiono elektryczne piece do pieczenia chleba, a sypialnię zamieniono na magazyn mąki. Tylko tam, gdzie kiedyś była kuchnia zachowało się kilka czarno-białych popękanych kafelków.

Na strychu znaleźliśmy stare listy, które przed dwudziestu laty zostawiliśmy u pani Misi. Powiązaliśmy je w paczki i wysłaliśmy pocztą do Melbourne.

Poszliśmy na poszukiwanie śladów żydowskiego cmentarza. Nie udało nam się ich odnaleźć.

Kiedyś był to rozległy teren porośnięty murawą; lipowa aleja prowadziła do domu przedpogrzebowego niedaleko wejścia. Stamtąd ścieżka pod górę wiodła na miejsce właściwego pochówku. Stało tam około trzydziestu nagrobków, a nad nimi szumiały stare klony.

Miejsce dawnego domu przedpogrzebowego było teraz puste, porośnięte trawą i krzakami. Wspięliśmy się ścieżką na wzgórze, ale zamiast grobów zobaczyliśmy tylko dwupasmową autostradę. Za nią rosły krzaki i drzewa, a dalej widać było ogrodzenie nowego cmentarza komunalnego.

Odszukaliśmy tam grób rodziców Otka, a potem grób pani Misi. Na grobie rodziców położyliśmy parę. kamyków, a na grobie pani Misi złożyliśmy wiązankę kwiatów.

Następne dwa tygodnie spędziliśmy po drugiej stronie Olzy w czeskiej miejscowości Řeka. Nasz pobyt zagranicą dobiegał końca, a po ostatnich emocjach - w Izraelu i w Polsce - odczuwaliśmy potrzebę kompletnego wypoczynku.

Chodziliśmy na dalekie spacery, rozkoszując się świeżym górskim powietrzem; zbieraliśmy słodkie, nabrzmiałe słońcem ostrężyny i piliśmy ciepłe jeszcze mleko z wieczornego udoju.

Natychmiast po powrocie do Australii napisałam do Sylwii. Odpisała bez zwłoki; od tego czasu wymieniałyśmy listy regularnie co miesiąc. A że Stanisławów tkwił gdzieś głęboko w naszej podświadomości był podstawowym tematem naszej korespondencji.

W jednym z listów napisałam Sylwii jak bardzo chciałabym choć na jeden dzień tam wrócić. Odczucie to spotęgowało się i było coraz silniejsze po pobycie w Ustroniu, co do niedawna wydawało się zupełnie niemożliwe.

„Kochana Irenko - odpowiedziała Sylwia - *mnie także często ogarnia nostalgia za Stanisławowem, za dawnymi latami, za tym, co było związane z naszą młodością, z naszym dzieciństwem. Ja także często myślami jestem na ulicach Stanisławowa i zdaje mi się, że pamiętam każdy dom*

i każdy zaułek... Jestem chyba jedną z ostatnich osób które opuściły nasze miasto w lipcu 1945 roku, a było już wtedy dużo zmian, zwłaszcza koło dworca, na Belwederze, ratusz by prawie całkiem rozwalony, a w rynku dużo domów zburzonych. Był teraz w Izraelu jeden stanisławowianin, który wojnę przeżył w Rosji, potem wrócił do Stanisławowa i do teraz tam mieszka. Jest tam blisko 300 tysięcy mieszkańców - za naszych czasów było 80 tysięcy. Powstały nowe dzielnice. Stanisławów nazywa się teraz Iwano-Frankowsk i bardzo trudno jest dostać tam przepustkę, nawet ze Lwowa, bo podobno w okolicach są jakieś ważne obiekty wojskowe. Miasto jest zupełnie zmienione i nie warto tam szukać starych śladów. Zresztą - to i tak jest wykluczone."

Z innego listu Sylwii: *„...Szkoda że nie możemy znowu się spotkać, posiedzieć, pogawędzić o starych dziejach i znajomych miejscach... Z Tobą, kochana, miałybyśmy o czym mówic przez wiele dni, bo my jesteśmy tak jak te dwie struny na jednym instrumencie - jak jedna się odzywa, to druga dźwięczy..."*

Mąż Sylwii narysował z pamięci stanisławowski ratusz i plan śródmieścia, a Rutka przesłała fotografię grona nauczycielskiego szkoły Królowej Jadwigi i fotografię swojej matki Frydzi...

Tymczasem sprawa cmentarza w Ustroniu nie dawała Otkowi spokoju. Wśród starych fotografii rodzinnych odszukał zdjęcia grobów i pomników dziadka Adolfa i babci Joanny. Na niektórych widoczne były także okoliczne groby. Napisał do kuzyna Henryka w Izraelu. Henio przysłał kilka starych zdjęć grobów swoich dziadków Rothów z Wisły. Przy pomocy wszystkich fotografii Otek odtworzył, jak umiał, plan cmentarza. Prymitywny i niedokładny - ale był.

Postanowiliśmy znowu pojechać do Ustronia.

Rozdział 14

Na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku, trzy lata po upadku starego reżimu znowu polecieliśmy do Polski.

Wysiedliśmy na nowym lotnisku na Okęciu. Celnicy załatwiali nas grzecznie. Warszawa wyglądała już inaczej: domy jakby bardziej zadbane, klatki schodowe czystsze. W dobrze zaopatrzonych sklepach ekspedientki uśmiechały się do klientów.

Otwarto odbudowaną niedawno synagogę Nożyka na Twardej. W Teatrze Żydowskim wystawiano składankę utworów Gebirtiga. Polscy aktorzy mówili po żydowsku, przez słuchawki można było słuchać polskiego tłumaczenia. Kiedy przeczytaliśmy w gazecie nekrolog o śmierci naszej koleżanki Stefy wzięliśmy udział w jej pogrzebie na cmentarzu żydowskim na Okopowej. Studenci Akademii Sztuk Pięknych pracowali tam nad konserwacją starych nagrobków.

Obejrzawszy kilka pięknych przedstawień w warszawskich teatrach pojechaliśmy do Ustronia.

Pierwsze kroki skierowaliśmy na cmentarz. Otek trzymał sporządzony przez siebie plan. Po drugiej stronie autostrady, w zagajniku przed ogrodzeniem nowego cmentarza komunalnego rosło kilka wysokich drzew. Dwa z nich rosły obok siebie. Były stare, może stuletnie. „*Wyglądają trochę jak drzewa nad grobami dziadków*" - powiedział Otek. Po chwili przedzieraliśmy się już przez drapiącą gęstwinę krzaków i wysoką po kolana trawę. Potem, pomagając sobie patykiem próbowaliśmy odgarnąć z ziemi zbutwiałe liście.

Natrafiliśmy na coś twardego - jakieś kamienie, pokryte grząską gliną i zielskiem. Pochyliliśmy się, aby obejrzeć je dokładniej.

Były to kamienne obmurowania grobów starego cmentarza.

Powstał w tysiąc dziewięćset piątym roku. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku został skonfiskowany przez Niemców. Ówczesny komisaryczny burmistrz Ustronia, Hubert Machanek wystawił formalne potwierdzenie konfiskaty na ręce przewodniczącego Izraelickiej Gminy Wyznaniowej. Był nim ojciec Otka, Józef Windholz.Oryginał tego pokwitowania z dnia 2.IX 1939 r. przechowujemy do dzisiaj.

Cmentarz przetrwał lata okupacji - po wojnie nie zabrakło ani jednego pomnika.

Kommissarischer Bürgermeister
in Ustron, Kreis Teschen

Ustron, am 22 September 1939

S i c h e r s t e l l u n g

des Vermögens des Ustroner israelitischen Bethaus -Vereines

in U s t r o n

Es wurde nachstehender Vermögenswert vorgefunden:

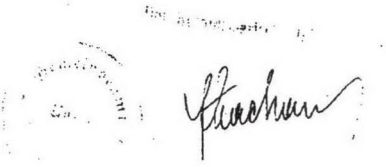
-Bei Josef Windholz als Vorsitzenden:

Sparkassenbuch der KKO in Teschen auf zł: 1.615,53

1 Bethaus

1 Wohnhaus

1 Friedhof



Dowód Konfiskaty majątku Gminy Żydowskiej w Ustroniu z 22.IX 1939 r.: książeczka oszczędnościowa, dom modlitwy, dom mieszkalny, cmentarz.

Po powrocie do Ustronia w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku ojciec zadbał o naprawę powstałych szkód, remont domu przedpogrzebowego i ustawienie wszystkich przewróconych nagrobków.

Został pochowany na tym cmentarzu w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku.

Nasza podroż do Polski nabrała teraz nowego sensu. Postanowiliśmy zrobić wszystko co w naszej mocy aby przywrócić zmarłym należny im godny odpoczynek.

Najpierw zwróciliśmy się do burmistrza miasta, postulując aby szczątkowy teren starego cmentarza został oczyszczony, ogrodzony i włączony do cmentarza komunalnego. Nawiązaliśmy kontakt z Towarzystwem Miłośników Ustronia, które uznając nasze racje wystąpiło do Rady Miejskiej z wnioskiem, aby do miejsc, związanych z historią Ustronia włączyć również cmentarz żydowski. W lokalnej „Gazecie Ustrońskiej" ukazała się rozmowa z Prezesem Towarzystwa Stanisławem Niemczykiem: *„...jeżeli chodzi o cmentarz żydowski* - powiedział - *trzeba go uporządkować, ogrodzić groby i postawić jakąś tablicę. Jesteśmy winni sprawiedliwość ludziom, którzy tam leżą. Uważam, że ta inicjatywa jest cenna. Ludzie się zmieniają, jedni odchodzą, przychodzą inni. Wkrótce nikt nie będzie pamiętał historii naszego miasta..."*

Już z Australii interweniowaliśmy w tej sprawie u wojewody bielsko-bialskiego. Byliśmy zdecydowani zwrócić się w tej sprawie do najwyższych czynników w Polsce.

Po pewnym czasie otrzymaliśmy z Zarządu Miasta Ustronia pismo następującej treści:

„Odpowiadając na Pana pismo dot. cmentarza żydowskiego w Ustroniu uprzejmie informuję, że tut. Urząd podejmie działania mające na celu uporządkowanie terenu znajdującego się poza ogrodzeniem cmentarza komunalnego. Teren ten zostanie oczyszczony i oddzielony krzewami od drogi dwupasmowej."

Wydawało nam się, że samo oddzielenie terenu krzewami nie wystarczy, że powinien on być włączony do cmentarza komunalnego i ogrodzony, ponieważ byli obywatele Ustronia zasłużyli sobie na godny wieczny spoczynek.

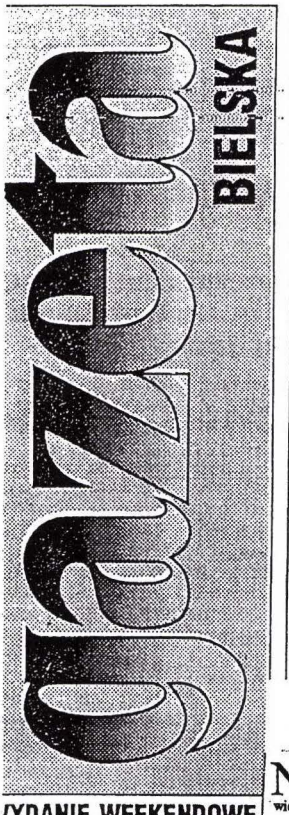
Napisaliśmy o tym do Zarządu Miasta.

Tymczasem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku, w oddalonym o dziewięć kilometrów od Ustronia Skoczowie odbyła się niecodzienna uroczystość. W tym właśnie roku przypadała setna rocznica powstania Żydowskiej Gminy Wyznaniowej i sto czterdziesta rocznica zbudowania tamtejszej synagogi.

W jesieni tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku w skoczowskim muzeum spotkała się grupa ludzi, uważających że rocznice te zasługują na upamiętnienie. Na zebraniu tym powołano Komitet Organizacyjny obchodów odsłonięcia pomnika w miejscu gdzie stała zburzona w czasie wojny synagoga. Zaplanowano sesję naukową i wystawę, poświęconą skoczowskim Żydom i opublikowanie książki „Dzieje Żydów w Skoczowie i okolicy" (w tym również w Ustroniu).

Ani w Skoczowie, ani w Ustroniu, ani w innych okolicznych miasteczkach Żydów już nie było. Komitet Organizacyjny postanowił więc zaprosić na tą uroczystość pozostałych przy życiu potomków miejscowych Żydów, rozsianych po świecie.

W miejscowej prasie ukazały się dwa artykuły: „Gdziekolwiek jesteście" w Gazecie Bielskiej i „Pokłon Żydom" w Głosie Ziemi Cieszyńskiej - z apelem o udział w obchodach.



SKOCZÓW

Gdziekolwiek jesteście

W tym roku obchodzone będą w Skoczowie dwie rocznice związane z dawną mniejszością żydowską w tym mieście. Będzie to 140. rocznica wybudowania synagogi oraz setna rocznica powstania skoczowskiej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej.

W ubiegłym roku powołano Komitet Organizacyjny Obchodów, którego honorowym przewodniczącym został Eliezer Urbach, potomek wieloletniego prezesa Gminy Żydowskiej w Skoczowie.

Na koniec czerwca Komitet zaplanował odsłonięcie pomnika na miejscu zburzonej w czasie wojny synagogi oraz sesję naukową i wystawę poświęconą skoczowskim Żydom. Wydana zostanie także książka „Dzieje Żydów w Skoczowie i okolicy".

Komitet Organizacyjny pragnie na tę uroczystość zaprosić wszystkich Żydów związanych ze Skoczowem, a rozrzuconych teraz po całym świecie.

Przypuszcza się, że wiele pamiątek może znajdować się na Śląsku, gdyż tędy wiodła droga deportacji skoczowskich Żydów w czasie II wojny światowej.

– Pragniemy, by czerwcowe uroczystości były chwilą pamięci o tych, którzy zginęli w czasie wojny. Będzie to także okazja do uporządkowania wiadomości o społeczności żydowskiej w Skoczowie i okolicach – powiedział Jacek Proszyk, członek zarządu Komitetu Organizacyjnego.

Komitet Organizacyjny mieści się w Skoczowie przy ul. Fabrycznej 5, tel. 29-13. (wosu)

Na br. przypada 140 rocznica wybudowania w Skoczowie synagogi oraz 100-lecie powstania w mieście Żydowskiej Gminy Wyznaniowej.

Historia skoczowskich Żydów jest znacznie dłuższa. Pierwsza wzmianka o nich pochodzi z kwietnia 1644 r. Wiadomo, że na przełomie XVII i XVIII w. rodzina Singlerów była najzamożniejszym rodem w Cieszyńskiem. Przed budową synagogi (narożnik obecnej ul. Mickiewicza i Cieszyńskiej) gmina posiadała bóżnicę znajdującą się w nieistniejącym już budynku przy ul. Wałowej.

W okresie przedwojennym Żydowska Gmina w Skoczowie była dość liczna. W okresie okupacji hitlerowskiej, jak o tym świadczą materiały Jana Kwka, w obozach koncentracyjnych, gettach oraz na przymusowych robotach w Rzeszy zginęły 203 osoby pochodzenia żydowskiego. Po II wojnie światowej powróciło do Skoczowa tylko sześciu Żydów.

POKŁON ŻYDOM

Komitet organizacyjny obchodów obu rocznic powstał jeszcze w ub.r., a jego honorowym przewodniczącym został potomek wieloletniego prezesa Gminy Żydowskiej w Skoczowie, Eliezer Urbach.

Pod koniec czerwca nastąpi odsłonięcie pomnika w miejscu zburzonej jesienią 1939 r. synagogi. Zaplanowano też sesję popularnonaukową oraz wystawę poświęconą skoczowskim Żydom. Wydana zostanie także publikacja pn. *„Dzieje Żydów w Skoczowie i okolicy"*. Na tę ostatnią Zarząd Gminy Skoczów przeznaczył dotację w wysokości 5 mln zł.

Komitet Organizacyjny, który posiada siedzibę w Muzeum przy ul. Fabrycznej 5, tel. 29-13, pragnie na czerwcowe uroczystości zaprosić wszystkich Żydów związanych ze Skoczowem, a rozrzuconych obecnie po całym świecie. (kar)

A w końcu tegoż roku otrzymaliśmy ze Skoczowa kopertę z imiennym zaproszeniem i szczegółowy program uroczystości.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku znowu polecieliśmy do Polski. Tym razem zabraliśmy ze sobą Oleńkę, a w jakiś czas później dojechała Joasia.

Najpierw pokazaliśmy Oli Warszawę, której prawie nie pamiętała. Zwiedziliśmy Zamek Królewski i Pałac w Wilanowie. W Ogrodzie Saskim kwitły nieznane w Australii różowe kasztany, a po Łazienkach biegały wiewiórki, których Ola jeszcze nigdy nie widziała.

Poszliśmy na Umschlag Platz i pod pomnnik Bohaterów Getta.

Obejrzeliśmy piękną inscenizacje „Skrzypka na dachu" w Teatrze Wielkim i „Czarodzieja z Lublina" Baszewicza Singera w teatrze na Nowogrodzkiej - dawnej „Romie".

Pojechaliśmy do Oświęcimia i Brzezinki.

Potem zawieźliśmy Olę do Ustronia. Chciała zobaczyć wszystko - dom, szkołę Otka, szkołę do której chodziła babcia Joanna, cmentarz i miejsce, gdzie kiedyś stała synagoga.

Mogła zostać tylko dwa tygodnie, bo w Australii czekały na nią dzieci i mąż.

Po kilku tygodniach przyjechała na krótko Joasia. Odebraliśmy ją z lotniska w Warszawie i razem z nią powtórzyliśmy dokładnie tą samą trasę.

Po wyjeździe Oleńki z Ustronia pojechaliśmy do Skoczowa.

W przeddzień uroczystości gospodarze zorganizowali spotkanie miejscowej ludności z potomkami czterech rodzin żydowskich z zagranicy.

Pani Monika przyleciała z Nowego Jorku. Jej ojciec - ostatni właściciel skoczowskiej garbarni, założonej w połowie dziewiętnastego wieku przed samą wojną wyjechał z rodziną do Anglii, potem do Ameryki. Pani Monika przekazała pozdrowienie od swego 90-letniego ojca, Oskara Spitzera, którego wielu uczestników spotkania jeszcze pamiętało; niektórzy nawet pracowali w jego garbarni w Skoczowie.

Rodzice pani Hanny przybyłej z Izraela należeli, do znanej rodziny Lindnerów, której początki sięgały wczesnych lat dziewiętnastego wieku. Byli miedzy nimi kupcy, lekarze i właściciele dużych składów handlowych w Skoczowie. Pani Hanna wyjechała z Polski niedługo po zakończeniu wojny; mówiła dobrze po polsku.

Przybył z Ameryki Eliezer Urbach, syn wieloletniego prezesa Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Skoczowie. Eliezer przeżył wojnę na Syberii. W 1946 roku wyjechał do Izraela, a potem do Stanów Zjednoczonych. W latach między 1936 a 1939 rokiem był kolegą gimnazjalnym Otka. Do Skoczowa przyjechał ze swoim synem Chaimem.

Otek był jedynym przybyszem z zagranicy pochodzącym z Ustronia.

Właściwa uroczystość odbyła się następnego dnia. Poprzedziło ją otwarcie wystawy w Muzeum, gdzie zebrano dokumenty, fotografie i przedmioty, związane z życiem i tradycjami żydowskich mieszkańców tego terenu.

Później na miejscu zniszczonej synagogi odsłonięto pomnik i zapalono świece, a Adolf z synem odmówili modlitwę za zmarłych .

Tego samego dnia poznaliśmy grupę ludzi, którzy przyczynili się do uwiecznienia śladów ludności żydowskiej na Śląsku Cieszyńskim.

Student Jacek Proszyk zajmował się inwentaryzacją cmentarzy żydowskich w Skoczowie, Cieszynie i Oświęcimiu. W tym celu opanował język hebrajski.

Historyk Muzeum w Cieszynie dr Janusz Spyra był autorem książki o dziejach Żydów na Śląsku Cieszyńskim; w jego redakcji ukazała się właśnie praca zbiorowa pod tytułem „W cieniu żydowskiej synagogi". Jednym z materiałów tej książki była praca naszego przyjaciela bibliofila i kronikarza ustrońskiego - Józefa Pilcha pt.„Zarys dziejów Żydów w Ustroniu", a także praca Jacka Proszyka „Rodziny żydowskie ze Skoczowa i okolicy". W pracach tych kilkakrotnie powtarzało się nazwisko Windholz.

Niestrudzoną organizatorką i koordynatorem wszystkich poczynań była pani Emilia Goryczka.

Dr Spyra udostępnił nam zebrane przez siebie materiały archiwalne. Tam też znaleźliśmy wzmianki o wielu członkach rodziny Windholzów, która pojawiła się na Śląsku Cieszyńskim około 1860 roku. W wykazach ludności na przełomie XIX wieku nazwisko to powtarzało się wielokrotnie, w gazecie „Silesia" z 1906 roku, wychodzącej w Cieszynie w języku niemieckim znaleźliśmy nekrolog dziadka, Adolfa Windholza.

Na cmentarzu żydowskim w Oświęcimiu Jacek Proszyk odnalazł kilka starych nagrobków z nazwiskami dalszych członków rodziny.

I zaprowadził nas na cmentarz w Cieszynie, gdzie zachował się grób i pomnik pradziadka, Natana Windholza z Hażlacha, zmarłego 18 stycznia 1894 roku.

Podczas ostatniego spotkania z Emilią i Jackiem Otek opowiadał o dziejach synagogi w Ustroniu.

Zbudowano ją w tysiąc dziewięćset drugim roku. Jednymi z założycieli komitetu budowy był dziadek, Adolf Windholz i szwagier babci Joanny, Adolf Dattner. Ostatnim przewodniczącym Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Ustroniu był ojciec Józef.

Synagoga służyła miejscowej ludności żydowskiej przez trzydzieści siedem lat. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku Niemcy skonfiskowali ją jednocześnie z cmentarzem. Budynek został spalony, a ruiny rozebrane. Teraz w miejscu gdzie kiedyś stała synagoga przebiega ulica Ogrodowa.

Po emocjach przeżytych w Skoczowie znowu wróciliśmy do Ustronia. „Gazeta Ustrońska" zamieściła wówczas dwa wywiady z Otkiem: „Autostrada przez cmentarz" i „W miejscu synagogi..."

Mając ze względów rodzinnych szczególny stosunek do synagogi Otek zwrócił się w tym wywiadzie do mieszkańców Ustronia o pomoc w znalezieniu jakiegokolwiek przedmiotu przypominającego synagogę - klamki, lampki czy choćby kawałka zburzonego muru.

Apel nie pozostał bez echa. Do redakcji zgłosiła się 80-letnia pani Bogoczowa spod Jelenicy. W 1939 roku jej ojciec nabył cegłę z rozebranej synagogi i zużył ją do obudowania stodoły. Kilkanaście cegieł pozostało. Pani Bogoczowa pokazała nam stodołę i opowiedziała nam co zapamiętała z tamtych czasów. Pamiętała komu Niemcy powierzyli sprzedaż cegieł i kto rozwoził je do nabywców.

Dostaliśmy od niej dwie cegły; każda z nich miała odciśniętą hebrajską literę „szi". Jedną z nich zabraliśmy potem do Australii, druga spoczęła w ustrońskim muzeum.

Dwa tygodnie później Towarzystwo Miłośników Ustronia zaprosiło nas na spotkanie członków Towarzystwa z „ustroniakiem z Australii". W wypełnionej po brzegi sali Muzeum naliczyliśmy wiele znajomych twarzy naszych ustrońskich przyjaciół.

Interesowano się naszymi dziejami po wyjeździe z Polski i początkami w Australii.

Zadawano wiele pytań; niektóre z nich dotyczyły tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. Niewiele wiedziano o tym okresie, a szczególnie z pierwszego źródła. Żydów w Ustroniu już nie było, miejscowe gazety zajmowały się sprawami lokalnymi, a prasę centralną mało kto czytał.

Staraliśmy się odpowiedzieć na wszystko.

Mówiliśmy o uczuciach z jakimi wyjeżdżaliśmy. Że musieliśmy opuścić Polskę, choć wydawało nam się, że jesteśmy takimi samymi obywatelami jak wszyscy inni. Że kazano nam zrzec się obywatelstwa polskiego.

Że dostaliśmy dokument podróży uprawniający do wyjazdu z Polski bez prawa powrotu. I że przyjeżdżając do Polski po dwudziestu latach musieliśmy przezwyciężyć wiele oporów, bo rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy stale w nas tkwił.

Słuchano nas w milczeniu.

Po chwili przewodniczący Rady Miejskiej, inż. Franciszek Korcz podszedł do Otka i wzruszonym głosem obiecał w imieniu miasta że przynajmniej jedna z krzywd zostanie naprawiona - żydowski cmentarz w Ustroniu zostanie niezwłocznie objęty należna opieką. *„Żałuję, że tak późno..."* - powiedział.

Prace porządkowe rozpoczęto natychmiast, jeszcze przed naszym wyjazdem. Wykarczowano i wywieziono drzewa, usunięto zarośla i oczyszczono groby z chwastów.

Już do Melbourne doszła nas informacja o tym, że ogrodzenie cmentarza komunalnego przesunięto i objęto nim wszystkie groby żydowskie.

A potem ustawiono na tym miejscu menorę z kutego żelaza i tablicę pamiątkową z następującym napisem:

„KWATERA ŻYDOWSKA POWSTAŁA Z CMENTARZA ŻYDOWSKIEGO ZAŁOŻONEGO W 1905 roku, ZDEWASTOWANEGO W CZASIE BUDOWY DROGI SZYBKIEGO RUCHU W LATACH 70-tych. OCALAŁA CZĘŚĆ ZOSTAŁA WŁĄCZONA W 1994 r. DO CMENTARZA KOMUNALNEGO. KWATERĘ ODRESTAUROWANO Z INICJATYWY I NA KOSZT MIASTA".

Nic nie jest w stanie wyrazić uczuć z jakimi wracaliśmy do Australii. Byliśmy szczęśliwi, że krzywda wyrządzona zmarłym została naprawiona.

Że mamy w tym swój udział, bo przyczyniliśmy się do czegoś niezmiernie ważnego, pomagając utrwalić i zachować choćby niewielka cząstkę historii - na zawsze.

I że jest to chyba najważniejsze osiągnięcie w naszym życiu.

Dzieliliśmy się naszymi uczuciami z przyjaciółmi. Znaleźli się jednak tacy, którzy nie mogąc zapomnieć wydarzeń tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku mieli nam za złe nasze wyjazdy do Polski. Straciliśmy wspólny język i nasza przyjaźń się skończyła.

Po kilku miesiącach nadszedł list od Emilii; powiadomiła nas o zawiązaniu się komitetu organizacyjnego dla upamiętnienia synagogi w Ustroniu. W składzie komitetu znaleźli się: burmistrz, przewodniczący Rady Miejskiej, przedstawiciel Towarzystwa Miłośników Ustronia i przedstawieiel Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Bielsku-Białej. Emilia została koordynatorem, a nam zaproponowano honorowe przewodnictwo.

W ciągu następnego roku wymieniliśmy z Emilią niezliczoną ilość listów.

Uzgadniała z nami wszystkie sprawy organizacyjne, a było ich sporo. W pierwszym rzędzie trzeba było wybrać miejsce pod budowę pomnika. Ponieważ tam, gdzie stała synagoga biegła teraz ulica, Urząd Miejski zwrócił się z prośbą do właścicieli sąsiedniej posesji o wyrażenie zgody na postawienie pomnika na jej obrzeżu.

Zgodę taką uzyskano. Opracowano plan i projekt zagospodarowania terenu i uzyskano zezwolenie właściwych służb komunalnych.

Zwrócono się do lokalnych instytucji i osób prywatnych, wśród których znaleziono sponsorów przedsięwzięcia. Oczywiście zadeklarowaliśmy także nasz udział.

Konsultowano z nami formę pomnika i materiał, z jakiego miał być wykonany.

GAZETA USTROŃ

Nr 26(151)/94 30 czerwca—6 lipc

AUTOSTRADA PRZEZ CMENTARZ

Rozmowa z Otonem Windholzem, ustroniakiem z Melbourne

Jak liczna była społeczność żydowska w Ustroniu w okresie międzywojennym?

Jeżeli chodzi o społeczność żydowską, to Józef Pilch podaje, że było ich 112 dusz. W sumie dwadzieścia kilka rodzin.

Jak układały się kontakty z miejscową ludnością?

Absolutnie nie można mówić o wyizolowaniu. Zamknięte społeczności tworzyli Żydzi ortodoksyjni, głównie w Kongresówce. Co innego tutaj. W moim przypadku wyglądało to tak, że chodziłem do przedszkola przy kościele katolickim. Tam uczyły mnie siostry boromeuszki, a potem uczęszczałem do szkoły ewangelickiej.

I nie było konfliktów?

Podam taki przykład: w szkole był zwyczaj, że najlepszy uczeń otrzymywał od księdza Nikodema kancjonał. Zdarzyło się, że to ja byłem tym najlepszym uczniem i trudno było dawać mi kancjonał. Wtedy ksiądz dał mi bukiet róż ze swojego ogrodu.

A stosunki z kolegami z klasy?

W jednej ławce siedziałem z Adamem Gomolą. On do szkoły przynosił podgardlankę, kaszankę, szpyrki, a mnie mama dawała kajzerki, szyneczkę. Prawdę mówiąc mnie jego „swaczyna" bardziej odpowiadała, a on z kolei wiele bułeczek nie jadał. No to wymienialiśmy się „swaczynami" i w dwójkę byliśmy zadowoleni. Gdy on szedł ze szkoły krowy paść, szedłem razem z nim. Był to syn kościelnego i gdy krowy zagonił, trzeba było dzwonić na Anioł Pański. Z największą przyjemnością szedłem z nim i nikt nie miał zastrzeżeń, że niewierny idzie dzwonić. Często przebywaliśmy na Kamieńcu bijąc się, strzelając z łuku i nie było wypadku, by ktoś wymyślał mi od Żydów.

Przy ul. Ogrodowej stała synagoga, której już nie ma. Jakie ma pan wspomnienia z nią związane?

Akt erekcyjny założenia Komitetu Budowy Synagogi został sporządzony 17 sierpnia 1902 r. i ten druk do dzisiaj posiadam. Mój dziadek był jednym z założycieli Komitetu. W 1903 roku ukończono budowę. Od 1933 roku mój ojciec był przewodniczącym Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Ustroniu. My jako chłopcy chodziliśmy do synagogi tylko w Nowy Rok, Sądny Dzień, Pesach — w duże święta. Ojciec chodził co piątek. Jeżeli chodzi o synagogę, to na tak małą gminę była okazała. W 1941 roku została rozebrana. Próbowałem się na różne sposoby dowiedzieć, czy coś z tej synagogi się zachowało — jakaś klamka, świeczniki, choćby kawałek muru. Mój dziadek i ojciec włożyli w to tyle wysiłku i chciałbym mieć choć cząstkę tego. Przypuszczam, że gdzieś u kogoś może leżeć coś z rozebranej synagogi i byłbym szczęśliwy, gdybym otrzymał taki sygnał.

W Ustroniu pozostał jeszcze fragment cmentarza żydowskiego.

W 1945 roku wszystkie nagrobki były przewrócone. Niemcy zbeszcześcili ten cmentarz, ale nie zabrali ani jednego pomnika. Gdy wyjeżdżaliśmy w 1968 roku cmentarz był ogrodzony, był dom przedpogrzebowy, a wszystkie nagrobki stały na swoich miejscach. Gdy przyjechaliśmy w 1988 roku zastaliśmy autostradę przechodzącą przez środek cmentarza. Tylko pięć grobów zostało ekshumowanych i przeniesionych na cmentarz komunalny, między innymi grób rodziców. Co się stało z resztą nie wiedzieliśmy. Dopiero ostatnio dowiedzieliśmy się, że wszystkie groby są, tylko poza cmentarzem komunalnym. Jest tam zagajnik, a w nim śmietnik wśród grobów. Podejrzwam, że nikt podczas budowy drogi nie zainteresował się kto tam jest pochowany. Ja rozpoznałem grób dziadków. Prosiłem władze miasta by coś z tym uczyniły, przynajmniej ogrodziły zachowane groby. Jak dotąd bezskutecznie. A przecież mój dziadek i jego szwagier byli członkami Wydziału Gminnego Ustronia od 1861 do 1890 roku.

Jak wyglądało życie gminy wyznaniowej w Ustroniu przed wojną?

Nie było tu ani jednego Żyda ortodoksyjnego, takiego w czarnym kaftanie z brodą i pejsami. Wszyscy się zasymilowali i w mniejszym lub większym stopniu byli pobożni lub tradycyjni. Wszyscy byli zżyci z ludnością miejscową. Mieli sklepy, restaurację, był adwokat. Wszyscy mówili „po naszemu". Nie było żadnego getta żydowskiego, dlatego że Żydów było w Ustroniu 2% rozsypanych po całym mieście. Poza tym, jak już mówiłem, wszystkie dzieci chodziły do dwóch szkół, kto mieszkał u góry to do katolickiej, kto na dole do ewangelickiej.

Co było największą atrakcją dla dzieciarni przed wojną w Ustroniu?

Wisła, „chytanie" pstrągów, narty. Przecież ja chodziłem do szkoły na nartach. Były dwa kina, 50 groszy kosztował wstęp. Wczoraj byliśmy w kinie „Uciecha" i powiedziałem żonie, że przesiedziałem w nim kilkadziesiąt filmów.

Wspomnienia były chyba tym żywsze, że od tamtych czasów ustrońskie kino się nie zmieniło.

A po co się miało zmieniać. Jest sala, są krzesła i można oglądać.

Po wojnie nie mieszkał pan już w Ustroniu. Czy bywał pan tu?

Tak, bardzo często. Mieszkał tu mój ojciec, którego koniec wojny zastał na Ukrainie. Przez ambasadę w Moskwie udało mi się go przywieźć w 1945 r. do Ustronia. Nasz dom znajdował się w opłakanym stanie. Ojciec zamieszkał w nim, a ja z żoną byliśmy tu częstymi gośćmi. Co roku przyjeżdżaliśmy z dziećmi.

W którym roku wyjechał pan z Polski?

W 1968 roku po tak zwanych „wydarzeniach marcowych". Dokładnie wyjechaliśmy z Warszawy 2 kwietnia. Polskę musieliśmy opuścić, choć wydawało się nam, że jesteśmy dobrymi obywatelami. Straciliśmy z żoną pracę, ja dokładnie otrzymałem wypowiedzenie w tydzień po wojnie izraelsko-arabskiej. Przez dwa miesiące siedziałem przy pustym biurku. Są to rzeczy znane, opisane i przez nas przebolane. My nie identyfikujemy narodu polskiego z poczynaniami partii komunistycznej. Myśmy na Polskę nigdy się nie obrazili. Najlepszym dowodem, że jesteśmy tu po raz trzeci.

Po ilu latach przyjechał pan do Polski?

Dopiero po 1987 roku stało się to możliwe, a my przyjechaliśmy tu w roku 1988 dokładnie w 20 lat po wyjeździe. Nie wiem czy wcześniej dojrzeliśmy do przyjazdu. Nie byliśmy psychicznie na to przegotowani. Ten 68 rok stale w nas tkwił.

Obecnie nie czuje pan urazy?

Ci, którzy wywieźli nas stąd w 39r. i ci, którzy zmusili nas do wyjazdu w 68r. niech rozliczają się sami, a ostatecznie staną przed Władzą Nadrzędną i ona wymierzy im sprawiedliwość. My nie chcemy do tego wracać, nie chcemy być sędziami.

Jak znalazł się pan w Australii?

Jedynym warunkiem wyjazdu było zrzeczenie się obywatelstwa polskiego. Dostaliśmy dokument podróży, w którym napisano, że okaziciel niniejszego dokumentu jest uprawniony do wyjazdu z Polski bez prawa powrotu. Wtedy pierwszy raz w życiu dowiedziałem się, że jestem syjonistą. Wiedziałem zawsze, że jestem Żydem i czułem się Żydem, a syjonistą mianował mnie dopiero Gomułka. Mieliśmy wizy izraelskie, jednakże w Wiedniu zmieniliśmy plany. W Australii miałem kuzyna z Krakowa, który był tam już kilka lat. On złożył za nas gwarancję i zdecydowaliśmy się pojechać do Australii, z tym że na wizę australijską czekaliśmy dosyć długo, pół roku. W tym czasie byliśmy utrzymywani przez Agencję Pomocy Żydom na Emigracji „Joint"

Jak spodobał się panu Ustroń, gdy przybył pan tu po 20 latach?

Wydaje mi się, że niezależnie od tego kto rządzi, ustroniacy pozostają ustroniakami. Miło jest, gdy na ulicy widzi się znajome twarze. Praktycznie codziennie spotykam kogoś znajomego. Są to zupełnie niesamowite przeżycia. Jeżeli zaś chodzi o wygląd miasta, to wrażenie jest jak najlepsze.

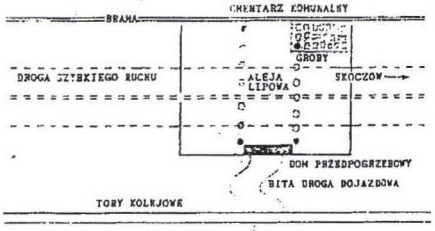
„Gazeta Ustrońska" z 30 czerwca 1994 r.

CMENTARZ ŻYDOWSKI

— Gdy wyjeżdżaliśmy w 1968 roku cmentarz był ogrodzony, był dom pogrzebowy, a wszystkie nagrobki stały na swoich miejscach. Gdy przyjechaliśmy w 1988 roku zastaliśmy autostradę przechodzącą przez środek cmentarza. — powiedział GU w lipcu tego roku Oton Windholz.

Jak pisze Józef Pilch, ustrońscy Żydzi w 1905 roku wybudowali kostnicę i oddali do użytku cmentarz. Przyjmując za wiarygodne relacje ustne osób pamiętających cmentarz żydowski sprzed wojny można uznać, że znajdowało się tam około 30 grobów, gdy 22 września 1939 roku Niemcy przejmowali majątek Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Ustroniu.

W wielu polskich miastach cmentarze żydowskie Niemcy likwidowali wykorzystując nagrobki do celów budowlanych, często utwardzali nimi drogi. Ustroński cmentarz żydowski pozostał po wojnie nienaruszony. Jak wspomina O. Windholz, stały wszystkie nagrobki, czytelne były inskrypcje. Stan prawny cmentarza uregulowano dopiero w roku 1951 wykreślając adnotację o konfiskacie mienia dokonanej przez Niemców. Natomiast wyrokiem Sądu Rejonowego w Cieszynie 22 grudnia 1958 cmentarz przejmuje Skarb Państwa, nadal jednak pełnił on swą rolę i do ostatniego pochówku, przed budową drogi szybkiego ruchu, dochodzi w 1966.



Kiedy zapada decyzja o przystąpieniu do robót związanych z drogą szybkiego ruchu okazuje się, że do załatwienia pozostaje sprawa cmentarza żydowskiego. We wrześniu 1973 roku Wojewódzki Zarząd Dróg Publicznych w Katowicach występuje pośpiesznie do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustroniu o przekazanie części cmentarza żydowskiego. *„(...) prosimy uprzejmie o przyspieszenie naszego wniosku. Wykonawca — Śląskie Przedsiębiorstwo Budowy Dróg — posiada rezerwy przerobowe i jeszcze w październiku br. przystąpi do wykonywania robót ziemnych na tym odcinku"* — ponaglali drogowcy. Również w 1973 roku Zarząd Kongregacji Wyznania Mojżeszowego w Katowicach wyraził zgodę na **„ekshumację części grobów opuszczonych z części cmentarza objętym planem zabudowania w inną część tego cmentarza mieszczącego się w Ustroniu — Goje."**. Kongregacja zastrzegła też, by pomniki ekshumowanych grobów zachować do jej dyspozycji. 29 stycznia 1974 roku następuje ekshumacja 6 grobów i przeniesienie ich w inny rejon powstającego cmentarza komunalnego, którego budowa zostaje zakończona w 1975 roku. Ocalałe resztki żydowskich nagrobków, poza sześcioma ekshumowanymi znalazły się poza ogrodzeniem. Po prostu przepis nakładał obowiązek ekshumacji i przeniesienie grobów z ostatnich 40 lat, a tych było właśnie sześć.

Pierwszy o groby ustrońskich Żydów upominał się mieszkający w Australii Oton Windholtz. W latach osiemdziesiątych cmentarz całkowicie zarośnięty zielskiem i krzakami był praktycznie niewidoczny. Tym bardziej raziło to, że do ocalałych żydowskich grobów przylegał cmentarz komunalny. O. Windholtz wyjechał z polski w 1968 r., a wtedy cmentarz znajdował się w takim stanie jak przed wojną. Gdy po 20 latach odwiedził Ustroń

Porządkowanie cmentarza

W rozmowie w GU (Autostrada przez cmentarz) Oton Windholz poruszył temat zaniedbanego ustrońskiego cmentarza żydowskiego. Później do sprawy powrócono na spotkaniu z O. Windholzem w Muzeum, gdzie przewodniczący RM Franciszek Korcz zadeklarował, że cmentarz żydowski zostanie uporządkowany i ogrodzony. Obecnie trwają tam prace, a wycięcie krzewów odsłoniło miejsce spoczynku ustrońskich Żydów.

interwencje u władz miasta w 1991 roku pozostały bez echa. Dwa lata później sprawą zainteresowało się Towarzystwo Miłośników Ustronia. W GU nr 16/94 prezes TMU Stanisław Niemczyk powiedział nam: *„Jeśli chodzi o cmentarz żydowski to zwróciłem się już dwa lata temu do Urzędu Miejskiego z pismem o uporządkowanie tego terenu. Dostałem zapewnienie, że zostanie to uwzględnione w planie budżetowym. Chodzi o to, żeby uporządkować, ogrodzić, te groby, postawić jakieś tablice. Tylko jeden grób jest zadbany, a reszta wygląda, tak jak wygląda. Jesteśmy winni jakąś sprawiedliwość ludziom, którzy tam leżą. Ludzie się zmieniają, jedni odchodzą, przychodzą inni. Wkrótce nikt nie będzie pamiętał historii naszego miasta."*

Gdy w wakacje tego roku do Ustronia przyjechał ponownie O. Windholz przeprowadziliśmy z nim rozmowę zatytułowaną „Autostrada przez cmentarz", która ukazała się w 26/94 numerze GU. W dwa tygodnie po tej rozmowie, 15 lipca odbyło się w Muzeum Kuźnictwa i Hutnictwa spotkanie z Otonem Windholzem, zorganizowane przez Towarzystwo Miłośników Ustronia. Obecny na nim przewodniczący Rady Miejskiej Franciszek Korcz obiecał, że dołoży wszelkich starań, aby groby żydowskie przyłączyć do cmentarza komunalnego i objąć je należytą opieką.

Jeszcze w sierpniu rozpoczęto prace porządkowe na ocalałej po budowie drogi części cmentarza żydowskiego. We wrześniu widać było pierwsze efekty prac. Wycięto drzewa, oczyszczono groby, później przesunięto ogrodzenie cmentarza komunalnego w ten sposób, że cmentarz żydowski stał się jego integralną częścią. Ustawiono też stylizowaną tablicę informującą, że jest to: **„Kwatera żydowska powstała z cmentarza żydowskiego założonego w 1905 r., zdewastowanego w czasie budowy drogi szybkiego ruchu w latach 70-tych. Ocalała część została włączona w 1994 r. do cmentarza komunalnego. Kwaterę odrestaurowano z inicjatywy i na koszt miasta."**

Wojsław Suchta

W przeddzień naszego wyjazdu pragnę za pośrednictwem Gazety Ustrońskiej podziękować wszystkim ludziom dobrej woli, którzy pozwolili nam przeżyć niezapomniane chwile w Ustroniu i Skoczowie. Wywozimy ze sobą do Australii jak najcieplejsze wspomnienia, za które przekazujemy najserdeczniejsze Pónbóczek zapłoć.

Oton Windholz z żoną

Z „Gazety Ustrońskiej"



Teren byłego cmentarza w czerwcu 1994 r.



Prace porządkowe, lipiec 1994 r.



Stan obecny - ogrodzenie i tablica pamiątkowa

Uzgodniliśmy tekst napisu w jezyku polskim i hebrajskim.

Miejscowy artysta plastyk pan Karol Kubala zaprojektował metalowe ogrodzenie pomnika, które zostało wykonane przez uczniów miejscowego technikum.

Ustalono datę odsłonięcia pomnika na 12 czerwca 1997 roku.

Wszystkie prace postępowały zgodnie z planem. W czerwcu 1997 roku po raz czwarty polecieliśmy do Ustronia,a z Niemiec przyjechała wdowa po Fredku - Irena. Uroczystości zaczęły się już 11 czerwca: w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa odbyła się wieczornica - pod tytułem „Dzieje ludności żydowskiej w Ustroniu" z prelekcją dr Janusza Spyry. Potem nastąpił koncert kameralnego zespołu wokalnego „Ustroń" i koncert skrzypcowy muzyki żydowskiej.

Następnego dnia w uroczystości odsłonięcia pomnika wzięło udział parę-set mieszkańców Ustronia. Przyjechała ekipa telewizyjna z Katowic i reporterzy gazet regionalnych. Przybyli przedstawiciele miasta - burmistrz inż. Kazimierz Hanus i przewodniczący Rady Miejskiej inż. Franciszek Korcz. Przyjechał wojewoda bielsko-bialski prof. Marek Trombski. Wśród przedstawicieli duchowieństwa znaleźli się ks. biskup Anweiler, ks.kanonik Sapota, ks. dr Budniak i ks. Wowry.

Uroczystość prowadził przedstawiciel Gminy Wyznaniowej w Bielsku-Białej, p. Schreiber. Wygłoszono wiele okolicznościowych przemówień. A potem zaproszono wzruszonego do głębi Otka do odsłonięcia pomnika, zapalenia świec i zmówienia modlitwy za zmarłych - Kadisz.

Opuszczaliśmy Ustroń z tym samym uczuciem, z jakim wracaliśmy do Australii przed trzema laty. Wieźliśmy ze sobą wiele materiałów: zdjęcia, wycinki z prasy, teksty przemówień i reportaż katowickiej telewizji.

Materiały te uzupełnione zostały później artykułami z lokalnych gazet, które ukazały się w druku już po naszym wyjeździe.

Urkunde

anlässlich der Schlusssteinlegung im israel. Bethause zu Ustron.

Geschehen im Marktflecken **Ustron**, Bezirkshauptmannschaft **Bielitz**, Herzogthum **Schlesien**, österr.-ungar. Monarchie im Jahre 1902 im 54. Regierungsjahre Seiner k. und k. Apostolischen Majestät

Franz Josef I.

unter dem k. k. Landespräsidenten **Josef Graf Thun-Hohenstein**, dem k
hauptmanne **Moriz Mienzil** und dem derzeitigen Bürgermeister **Richar**

Tretet ein in Seine Hallen mit Dank, in Seine Vorhöfe mit Lobgesang!
(Psalm 100, Ver

Dank! dem allgütigen himmlischen Vater, mit dessen Schutz und zu dessen
heilige Werk des Tempelbaues begonnen und beschlossen haben; — Dank! unserem gel
vater, dem Schöpfer und Schirmer der confessionellen Gleichberechtigung; — Dank! all
Gründern und Spendern, allen eifrigen Künstlern und Meistern, allen die mit Ruth
gottgefällige Unternehmen gefördert haben: — Dies ist das innigste Gefühl der Mitglied
Bethausvereines in dieser heiligen weihevollen Stunde.

Zum ewigen Andenken aber für die spätesten Nachkommen möge ausser der be
gehaltenen Urkunde noch folgender Bericht über die Entstehung dieses Gotteshauses aufb

1. Die seit einigen Jahrzenten stattfindenden Gebetsversammlungen der Israeli
wurden bis jetzt in verschiedenen gemietheten Localen abgehalten. Es war daher seit
innigster Wunsch, eine eigene würdige Gotteresstätte zu besitzen. — Greifbare Formen hat
Verlangen erst im Jahre 1900, dem Jahre der Feier des 70. Geburtstages unseres
narchen erhalten. Da haben die Ustroner Israeliten den festen Entschluss gefasst, als Eh
unseren geliebten Kaiser das zur würdigen Abhaltung des Gottesdienstes so sehr nöth
baldigst zu schaffen.

2. Am 25. November 1900 fand in der Wohnung des Herrn **Ludwig Reichenb**
Versammlung der Ustroner Israeliten zwecks Gründung eines Bethausvereines statt, a
Vertreter der zuständigen israelitischen Cultusgemeinde Skotschau der Vorsteher D. S
Rabbiner Dr. L. Dobschütz theilnahmen. Die Gründung wurde beschlossen und ein Co
aus den H. H. A. Dattner, M. Steinhauer, S. Flach, A. Windholz und G. Silbermann
tung der Statuten gewählt.

3. Am 2. Dezember 1900 hat obgenanntes Comité unter Vorsitz des H. Dr. L.
der Wohnung des H. **Adolf Dattner** die beiliegenden Statuten ausgearbeitet. Am 21. D
mit Zahl 139 wurde seitens des Skotschauer israelitischen Cultusausschusses die Grün
hausvereines bezw. die Erbauung des Bethauses in Ustron bewilligt. Am 29. Jänner 1901
wurden obgenannte Statuten von der hohen k. k. schles. Landesregierung genehmigt.

4. Am 22. März 1901 fand in der Wohnung des Herrn L. **Fischer** die Wal
Vereinsvorstandes statt und ergab folgendes Resultat: A. Dattner Obmann, M. Steinhau
stellvertreter, L. Reichenbaum erster Schriftführer, W. Flach zweiter Schriftführer, S.
Cassier, L. Schiff zweiter Cassier. Gleichzeitig wurde auch beschlossen, den durch d
Dattner, M. Steinhauer und S. Flach bereits am 7. Mai 1893 zum Zwecke eines Temp
kauften Bauplatz in das Eigenthum des Bethausvereines zu übernehmen.

Nun haben die Ustroner Israeliten ihre Beiträge als Gründer und Spender ei
und auch die mittelst beiliegender Aufrufe und sonstiger Gesuche eingeleiteten Sammlu
ein ziemlich günstiges Resultat. Die Namen der Spender und die gespendeten Beträge oder
wurden in ein Gedenkbuch eingetragen, die Namen der Gründer und der hervorrage
auf einer Marmorplatte verzeichnet. An dieser Stelle sei allen, insbesondere dem verdie
ermüdlichen und aufopferungsvoll thätigen Obmanne Herrn Adolf Dattner, sowie dem h
Spender und Förderer Herrn Adolf Löwy in Teschen aufs innigste gedankt.

6. Im April 1901 wurden endgiltige Beschlüsse betreffs des Baues gefasst und
Herren Architekten Ernst Lindner und Theodor Schreier in Wien ausgearbeiteten herrlic
Ausführung angenommen.

7. Am 28. Mai 1901 hat die feierliche Grundsteinlegung stattgefunden.

8. Nach den obgenannten Plänen wurden folgende Arbeiten ausgeführt und gelie
arbeiten: Baumeister A. Krazny in Teschen; *b)* Malerarbeiten: A. Lorenz in Teschen;
arbeiten: L. Herz in Brenna; *d)* Spenglerarbeiten: M. Paperle in Bielitz; *e)* Bildhau
Schuster in Teschen; *f)* Glaserarbeiten: H. Grünfeld in Teschen; *g)* Tischlerarbeiten:
Ustron; *h)* Bundeslade: L. Rund in Mistek; *i)* Bel-uchtungskörper: L. R. Gold in Tesc
goldeerarbeiten: J. Wirbitzki in Teschen; *l)* Schlosserarbeiten: Jos. Kolban in Teschen.

9. Die Kosten des Gotteshauses sammt Bauplatz belaufen sich auf circa . . .
Durch Beiträge und Spenden wurden bis jetzt 15.000 K aufgebracht. Der fehlende Rest von
wird mit Gotteshilfe (grossentheils hoffentlich durch weitere gütige Spenden) beschafft w

10. Heute sind wir so glücklich, freudigen und dankbaren Herzens nach beiliegende
die Einweihung zu vollziehen und richten unser innigstes Gebet zum allgütigen Vat
gnädig herniederschauen auf unser heiliges Werk, möge stets unsere Gebete in unseren
erhören und uns allezeit seinen beglückenden Segen spenden. Amen!

Ustron, am 13. Juli 1902.

Akt erekcyjny założenia Komitetu Budowy Synagogi w Ustroniu

ODSŁONIĘCIE POMNIKA

Wiosną 1901 roku wmurowano kamień węgielny pod budynek synagogi w Ustroniu. Budowę ukończono w lipcu 1902 roku. Świątynia ta była miejscem praktyk religijnych i spotkań społeczności żydowskiej do wybuchu II wojny światowej. We wrześniu 1939 roku podzieliła los innych synagog — spalono ją i ruiny rozebrano, a dziś nie ma po niej śladu. Społeczność żydowska liczyła przed wybuchem wojny ponad sto osób. Okupację przeżyło ponad dwudziestu.

W czerwcu 1994 roku po raz kolejny do swojego rodzinnego miasta przyjechał potomek ostatniego prezesa ustrońskiej gminy



żydowskiej Otto Windholz z małżonką. Odbyło się spotkanie z Państwem Windholz w ustrońskim Muzeum, na którym byli obecni przedstawiciele Urzędu Miasta, Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku-Białej oraz mieszkańcy miasta. Na tym spotkaniu przewodniczący Rady Miejskiej zobowiązał się do odrestaurowania zdewastowanego cmentarza żydowskiego, który znajduje się przy ul. Katowickiej w Ustroniu. Dotrzymał słowa — oczyszczono wszystkie zachowane groby, przyłączono je do cmentarza komunalnego oraz ustawiono tablicę pamiątkową.

Doszło także do licznych spotkań z Panem Windholzem, w czasie których postanowiono upamiętnić zburzoną synagogę. Zawiązał się za przyzwoleniem Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku-Białej — Komitet Organizacyjny, którego zadaniem jest przygotowanie uroczystości oraz pomnika, który stanie w miejscu spalonej świątyni przy ul. Ogrodowej. Komitet ustanowił termin uroczystości na 12 czerwca 1997 r.

Skład Komitetu Organizacyjnego:

Krystyna i Otto Windholz — Honorowi Przewodniczący Komitetu
Kazimierz Hanus — Burmistrz Uzdrowiska Ustroń
Franciszek Korcz — Przewodniczący Rady Miejskiej Uzdrowiska Ustroń
Dorota Wiewióra — Kierownik Biura Zarządu Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku-Białej
Stanisław Niemczyk — Przedstawiciel Towarzystwa Miłośników Ustronia
Emilia Goryczka — Koordynator Komitetu Organizacyjnego

11 czerwca o godz. 17 w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa odbędzie się uroczysta wieczornica. W programie prelekcja na temat: „Społeczność żydowska na Ziemi Cieszyńskiej" i koncert KZW „Ustroń"

Gazeta Ustrońska 5

Z „Gazety Ustrońskiej"

Ustroń, dnia 13.7.94. 129a

Ja niżej podpisana, oświadczam, że cegły, które dałam
pani Winkelzowi, pochodzą z rozbiórki wyrąbanego
templa izraelskiego w Ustroniu. Wiosną w roku 1940,
nie jaki Gross, sprzedawał te cegłę, mówiąc iż cegły kupił
na remont domu mieszkalnego. Ojciec wymienia furmana
niejakiego Buchowczana, a Ustronia, który mam te cegłę
przywiózł. Te cegły zostały wmurowane do tego domu,
Tylko kilka sztuk cegieł, się zachowało do dziś. Ilekroć mnie
przyjaciółmy, ze zgrozą Ustrońoki, że pan Winkelzol
poszukuje, jakiejś pamiątki, po tym tępli, ja zwróciłam do
Redakcji Ustrońki, i powiedziałam, że mam parę cegieł
z tępla. z przyjemnością daruję panu Winkelzowi
parę tych cegieł na pamiątkę, żeby sobie zabrał do Gdańska.

z domu Cieślar
mąż Karol Bogar. Ewa Bogacz
Ustroń ul. 105
Woj. Bielsko-Biała
kod 43-450

W tym miejscu znajdowała się synagoga

Ustroń, 12 czerwca 1997 r. w mieście odsłonięcie pomnika w miejscu byłej synagogi. Zbudowana w latach 1901-1902 przez 37 lat służyła społeczności żydowskiej.

W czasie II wojny światowej podzieliła los innych synagog. Została spalona. Pozostałe po niej szczątki rozebrano, teren wyrównano i dzisiaj już tylko starsi mieszkańcy Ustronia pamiętają, że przy ulicy Ogrodowej był okazały budynek skupiający na modlitwie miejscowych Żydów.

W 1994 r. Otto Windholz - wnuk Adolfa, (jednego z założycieli Komitetu budowy tej synagogi, a syn Józefa, ostatniego przewodniczącego Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Ustroniu) obecnie mieszkający w Australii, był gościem spotkania z mieszkańcami i władzami miasta. Wtedy to, przed trzema laty zrodziła się myśl upamiętnienia zburzonej synagogi. Zawiązał się komitet organizacyjny, który na honorowych przewodniczących powołał pana Windholza i jego małżonkę Krystynę. Pani Emilii Goryczko - inicjatorce budowy pomnika powierzono obowiązki koordynatora.

Praca ruszyła. Dzięki ofiarodawcom i wysiłkowi komitetu organizacyjnego w miejscu synagogi stanął pomnik. Po jego odsłonięciu i zapaleniu świec - po 58 latach modlitewnej ciszy - rozległy się słowa modlitwy i żydowskiej pieśni. U stóp pomnika złożono kwiaty.

Wiele serdecznych słów zawarli w swych wystąpieniach: wojewoda bielski, przedstawiciele Polskiej Rady Ekumenicznej, kościołów ewangelickiego i katolickiego oraz administracji państwowej i samorządu.



Otto Windholz z żoną Krystyną odsłaniają pomnik.

fot. W. Suchta

Za chwile wzruszenia, piękne i mądre przemówienia dziękował pan Windholz. Powiedział między innymi: "Ja, ustroński Żyd byłem wychowany w miłości do wszystkich. W życiu nie różnicowałem ludzi wedle poglądów. Rozróżniałem jedynie dobrych i złych. Łączę się w modlitwie ze wszystkimi dobrymi aby to miejsce i słowa wykute w kamieniu zawsze świadczyły o tym co tu było i co się tu wydarzyło".

Członkom Komitetu organizacyjnego, sponsorom oraz wszystkim uczestnikom uroczystości równie serdecznie dziękował Aleksander Szrajber, przedstawiciel Gminy Wyznaniowej Żydowskiej z Bielska-Białej.

* * *

W przeddzień odsłonięcia pomnika w dniu 11 czerwca odbyła się uroczysta wieczornica. Dyrektor Muzeum p. Lidia Szkaradnik zaprosiła mieszkańców na koncert dedykowany tym, których już nie ma wśród nas. Wystąpił Kameralny Zespół Wokalny "Ustroń" oraz państwo Durlow z Państwowej Szkoły Muzycznej w Cieszynie.

W czasie tego wieczoru dr Janusz Spyra wygłosił referat o społeczności żydowskiej na Ziemi Cieszyńskiej. Prelekcja zawierała wiele cennych informacji i pogłębiła wiedzę o ich mieście.

30 czerwca 1997 r.

Urszula Przybyła



Otto Windholz i Aleksander Szrajber z Gminy Wyznaniowej Żydowskiej z Bielska-Białej odmawiają modlitwę za zmarłych.

fot. W. Suchta

Z „Gazety Ustrońskiej"

SKROMNY ŚLAD

W MIEJSCU SYNAGOGI

W 1994 r. w wywiadzie dla naszej gazety o ustrońskiej synagodze tak mówił **Oton Windholz:**

— Akt erekcyjny założenia Komitetu Budowy Synagogi został sporządzony 17 sierpnia 1902 r. i ten druk do dzisiaj posiadam. Mój dziadek był jednym z założycieli Komitetu. W 1903 r. ukończono budowę. Od 1933 r. mój ojciec był przewodniczącym Izraelickiej Gminy Wyznaniowej w Ustroniu. My jako chłopcy chodziliśmy do synagogi tylko w Nowy Rok, Sądny Dzień, Pesach — w duże święta. Ojciec chodził co piątek. Jeżeli chodzi o synagogę, to na tak małą gminę była okazała. W 1941 r. została rozebrana. Próbowałem się na różne sposoby dowiedzieć, czy coś się z tej synagogi zachowało — jakaś klamka, świecznik, choćby kawałek muru. Mój dziadek i ojciec włożyli w to tyle wysiłku i chciałbym mieć choć cząstkę tego. Przypuszczam, że gdzieś u kogoś może leżeć coś z rozebranej synagogi i byłbym szczęśliwy gdybym otrzymał taki sygnał.

Choć apel O. Windholza do dziś pozostaje aktualny, to wówczas, latem 1994 r. po ukazaniu się GU udało się cząstkę synagogi odnaleźć dzięki państwu Bogoczom spod Małej Czantorii. Były to dwie cegły, z których jedną O. Windholz zabrał do Australii, druga spoczęła w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa.

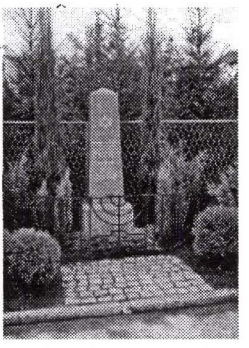
Również w 1994 r. odnowiono kwaterę żydowskich grobów i włączono ją w obręb cmentarza komunalnego. Wtedy też zaczęto myśleć o upamiętnieniu miejsca przy ul. Ogrodowej, gdzie przed wojną stała synagoga. Rozpoczęła się korespondencja między O. Windholzem, Żydowską Gminą Wyznaniową i władzami miasta, a jej efektem było zawiązanie komitetu organizacyjnego mającego przygotować pomnik upamiętniający synagogę.

12 czerwca na ul. Ogrodowej zebrali się mieszkańcy Ustronia i okolic, przedstawiciele Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Bielsku - Białej z prowadzącym całą uroczystość **J. Schreiberem**, kościołów: ks. bp **Paweł Anweiler**, ks. kanonik **Alojzy Sapota**, ks. dr. **Józef Budniak**, ks. **Piotr Wowry**, przedstawiciele władz: wojewoda **Marek Trombski**, przewodniczący RM **Franciszek Korcz**, burmistrz **Kazimierz Hanus**. Księża i przedstawiciele władz wygłosili przemówienia.

Pomnik odsłonił i zapalił świece, a następnie zmówił kadisz, modlitwę za zmarłych, O. Windholz. Pod pomnikiem złożono kwiaty.

W czwartek 12 czerwca przy ul. Ogrodowej odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika upamiętniającego miejsce, w którym stała przed wojną synagoga. O samej uroczystości, w której uczestniczyli licznie mieszkańcy Ustronia i miast okolicznych, pisaliśmy w poprzednim numerze GU. Chcielibyśmy jednak przedstawić niektóre mowy wygłoszone podczas tej uroczystości. Poniżej obszerne fragmenty wystąpień:

Przewodniczącego Rady Miejskiej **Franciszka Korcza:**

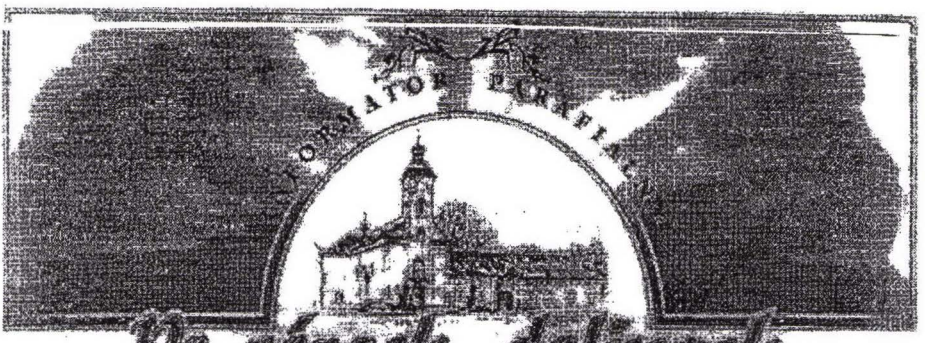


W miejscu, w którym stoimy, 96 lat temu podjęto ostateczną decyzje o budowie Domu Modlitwy w Ustroniu i przyjęto projekt opracowany przez architektów: Ernesta Lindnera i Teodora Schreyera. Pół roku przedtem, 25 listopada 1900 r., w mieszkaniu Ludwika Reihenbauera odbyło się pierwsze spotkanie ustrońskich Izraelitów, mające na celu powołanie Związku Bożniczego, czytamy w dokumencie wystawionym z okazji położenia ostatniego kamienia w Izraelickim Domu Modlitwy w Ustroniu. Do Komitetu Budowy należały rodziny Dattnerów, Flaków, Windholzów, Silbermanów i Steinhauerów. 28 maja 1901 r. położono uroczyście kamień węgielny. W punkcie 10. dokumentu czytamy: *„Dzisiaj jesteśmy szczęśliwi, radośni i z wdzięcznym sercem przedkładając załączony program poświęcenia, kierujemy naszą najgłębszą modlitwę do Najdobrotliwszego Ojca, aby łaskawie spojrzał na nasze święte dzieło, aby ustawicznie wysłuchiwał naszych modłów w Domu Bożym i aby nam zawsze udzielał swego błogosławieństwa. Amen."*

Starci mieszkańcy miejscowości ustrońskiej pamiętają dawne rodziny Adlerów, Dattnerów, Grinnkrautów, Windholzów, Goldfingerów, Lipszyców, Silbermanów i wielu, wielu innych. Należeli do społeczności ustrońskiej, przyczyniali się do rozwoju tej miejscowości, mieli swe miejsce w jej codziennym życiu. Aż nadszedł tragiczny dzień 1 września 1939 r. Faszyzm niemiecki z obłąkaną ideologią nazizmu deptał systematycznie naszą ojczyznę w myśl założenia: Polen und Juden mussen wir ausrotten. Już 15 września 1939 r. o godz. 4.30 nad ranem synagoga w Ustroniu została zamknięta spalona i z początkiem 1940 r. doszczętnie rozebrana. Naznaczeni gwiazdą Dawida, bezbronni, upakarzani na wszelkie sposoby, prześladowani, wypędzani ze swych domów, najpierw na tzw. Bretnerówkę, zostawiając cały dobytek, który konfiskowano, następnie byli transportowani do większych obozów przejściowych i obozów zagłady. Jest z nami Oton Windholz, który przeszedł całą gehennę. Tylko nieliczni przeżyli.

Minęły lata, nadal mijają, wiele nie odkrytych miejsc tragedii ciąży kamieniom, przeraża okrucieństwem, nie sposób wymienić wszystkiego. W obecnym stuleciu osiągnięto zawrotne wyniki naukowe i postęp techniczny, chociażby wspomnieć lądowanie człowieka na Księżycu. W tym samym czasie człowiek człowiekowi zgotował obozy koncentracyjne z komorami gazowymi, krematoriami, obozy ciężkiej pracy, łagry i różne perfidne tortury. Te cechy są następstwem panoszącego się egoizmu i braku miłości człowieka do człowieka. Wierzę mocno, że okres szalejącego rasizmu i totalizmu już więcej do nas nie wróci, a panujące zło będzie pokonywane dobrem. Ten kamień, pomnik z pozoru niemy, mówi, przekazuje prawdę o czasach pogard, potępia ideologię, dla której nie ma miejsca w rodzinie ludzkiej, w rodzinie człowieczej. Cisza, która otacza ten pomnik, zatopiona jest w przeszłości. Woła i krzyczeć nie przestanie.

Z „Gazety Ustrońskiej"



Parafia Św. Klemensa USTROŃ NR 27 (165) 6 lipca 1997

Dodatek bezpłatny do Tygodnika Rodzin Katolickich „Źródło"

Z KART NAJNOWSZEJ HISTORII USTRONIA - 12 CZERWCA 1997 R.

Przemawiając przed odsłonięciem pomnika w miejscu zburzonej synogogi żydowskiej w Ustroniu, ks. kanonik Antoni Sapota - proboszcz parafii św. Klemensa w Ustroniu mówił: "Miejsce, na którym stoisz,święte jest. Takie słowa powinniśmy usłyszeć w tym miejscu, dlatego, że jest to miejsce modlitwy. Niezależnie, czy nadal gromadzi ludzi do modlitwy, niezależnie od tego, czy w takim czy innym okresie gromadziło - to miejsce było i pozostanie miejscem modlitwy. Każde miejsce, gdzie człowiek się modli, przez modlitwę staje się święte. Dlatego uważam, że ci którzy przypominają o tym stawiając tu pomnik, czynią dobrze; przypominają, że w modlitwie należy jednoczyć się z Bogiem, bo gdy Bóg stwarzał świat, powiedział, że wszystko jest dobre ...".

Ks. dr Józef Budniak przypomniał słowa ks. bpa Nossola wypowiedziane we Wrocławiu 31 maja br. podczas nabożeństwa ekumenicznego: "Witam naszą starszą siostrę Synagogę i przy tej starszej siostrze Synagodze dzisiaj tu jesteśmy i przypominamy sobie, jaką wartość miała i ma nasza starsza siostra Synagoga".

Dziękując za zaproszenie na to miejsce, "które przypomina to, co najcenniejsze, to, co jest święte" - ks. dr Budniak zakończył swoje wystąpienie ostatnim zdaniem psalmu 89:

"Niech będzie błogosławiony Jahwe na wieki! Amen."

Przewodniczący Rady Miejskiej w Ustroniu, Franciszek Korcz zacytował punkt 10 dokumentu wystawionego z okazji położenia ostatniego kamienia w izraelickim domu modlitwy z 13 lipca 1902 roku:

"Dzisiaj jesteśmy tak szczęśliwi, radośni i wdzięcznym sercem przedkładając załączony program poświęcenia, kierujemy naszą najgłębszą modlitwę do najdobrotliwszego Ojca, by łaskawie spojrzał na swe święte dzieło...".

Pan Korcz przypomniał starszemu pokoleniu Ustroniaków znanych im rodziny Adlerów, Dattnerów, Grinkrautów, Windholzów i wielu, wielu innych, którzy żyli wśród nas, mieli swe miejsce w życiu naszej wówczas wioski. Obłąkana ideologia rasizmu, która z dniem 1 września 1939 deptała i systematycznie niszczyła naszą Ojczyznę, napiętnowała Żydów gwiazdą Dawida i przeznaczyła na wyniszczenie.

dokończenie ze str. 1

"Ten kamień, pomnik z pozoru niemy, mówi, przekazuje prawdę o czasach pogardy, potępia ideologię, dla której nie ma miejsca w rodzinie ludzkiej, w rodzinie człowieczej. Cisza, która otacza ten pomnik, zatopiona jest w przeszłości. Woła i krzyczeć nie przestanie".

Przed samym odsłonięciem pomnika, Otton Winholz-Winnicki z Australii po odmówieniu modlitwy "kadisz" przemówił:

"Szanowni Państwo, Szanowny Panie Wojewodo, przedstawiciele kościołów, Panie Burmistrzu, Panie Przewodniczący Rady, wszyscy tu zebrani Ustroniacy. Chcę wam wszystkim serdecznie podziękować za te chwile wzruszenia, za tak piękne i mądre przemówienia, które słyszeliśmy i których treść chcielibyśmy zabrać ze sobą w świat dla naszych dzieci i wnuków.

Urodzony w Ustroniu jako dziecko chodziłem do szkółki przy kościele katolickim, do sióstr Boromeuszek, a następnie chodziłem do szkoły ewangelickiej, kiedy jeszcze żył pastor Paweł Nikodem. I tak to ja, syn Józefa Winholza, Żyda ustrońskiego, byłem wychowywany w światopoglądzie miłości do wszystkich - nie tylko współziomków. Dalej w życiu to mi przyświecało, nie czyniąc różnicy między ludźmi różnych wyznań i poglądów, a rozróżniając tylko ludzi dobrych i złych.

Łącząc się w modlitwie ze wszystkimi dobrymi, aby to miejsce, które jest święte, było w przyszłości oznaczone i wykute słowa na tym kamieniu świadczyły po wsze czasy, co tu było i co się stało. Mój pradziadek Baruch, przez kilka kadencji był członkiem Rady Gminnej w Ustroniu. Mój dziadek Adolf był jednym z założycieli Komitetu Budowy Domu Bożego. Tak się złożyło, że w moim posiadaniu jest dokument z 25 sierpnia 1902 roku, sporządzony z okazji zakończenia budowy Domu Bożego. Wynika z tego jednoznacznie, że emocjonalnie jestem ogromnie przywiązany do tego miejsca i jak tylko możliwości pozwalają, wracamy tu z żoną co dwa, trzy lata pokłonić się przyjaciołom, znajomym, i tym pięknym naszym górom. Każde takie spotkanie jest bardzo emocjonalne, dlatego, że pośród was stoją koleżanki i koledzy z ławy szkolnej, ze Szkoły nr 2. To naturalnie przywołuje najmilsze wspomnienia. Po 1939 roku losy potoczyły się fatalnie, ale jestem dowodem tego, że **Bóg** chciał mnie zachować przy życiu, bym był tu dzisiaj obecny. Ja od serca dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tego pomnika, przede wszystkim burmistrzowi Panu Hanusowi, przewodniczącemu RM Panu Korczowi, przewodniczącemu Tow. Przyjaciół Ustronia, Panu Niemczykowi, Pani Emilli - wszyscy wiedzą, że była motorem działań. Pan Schreiber pięknie prowadził dzisiejszą uroczystość.

Serdecznie dziękuję za przybycie, chylę czoła przed przedstawicielami kościołów miejscowych i wszystkim wam mówię: **Bóg zapłać"**.

Na spotkaniu z wspólnotą żydowską 9 czerwca 1991 roku w Warszawie, Jan Paweł II powiedział:

"Ta sama ziemia, która przez wieki była wspólną Ojczyzną Polaków i Żydów, wspólnie przelana krew, morze potwornych cierpień, doznanych krzywd, powinny nas nie dzielić, a łączyć. O tę wspólnotę wołają do nas szczególnie miejsca kaźni, a w wielu wypadkach także wspólne mogiły".

Takim wołaniem jest również pomnik w Ustroniu z wyrytym na nim napisem w języku polskim i hebrajskim:

"W tym miejscu znajdowała się synagoga żydowska zbudowana w roku 1902.

Zburzona przez hitlerowców w roku 1939."

J. T.

Historia sercem pisana

- Wysłuchaliśmy referatu dr Janusza Spyry, który zaznaczył że swój wykład o dziejach Żydów na Ziemi Cieszyńskiej oparł na materiałach archiwalnych. Lecz czasem lepszym przekaźnikiem historii jest pamięć ludzka. Stąd pytanie: Jak w Pana pamięci zachowały się postawy mieszkańców Ustronia i okolicy - tych zwykłych ludzi spotykanych w szkole, na ulicy, w sklepie?

- Urodziłem się w Ustroniu w 1923 r. i chociaż byłem synem ustrońskiego Żyda, chodziłem do ochronki przy kościele katolickim prowadzonej przez siostry Boromeuszki, a następnie do szkoły ewangelickiej. Rozróżniało się ludzi nie według wyznań, a według tego czy byli dobrzy, czy źli. Tutaj Żydzi byli zżyci z miejscową ludnością. Mówili "po naszemu" czyli gwarą. Wszystkie dzieci żydowskie chodziły do katolickiej lub ewangelickiej szkoły, w zależności od tego czy mieszkały w górnej czy dolnej części miasta.

Od pierwszej klasy siedziałem w jednej ławce z synem kościelnego - Adamem Gomolą. On przynosił do szkoły razowy chleb ze słoniną podgardlanką czy kaszanką. Mnie babcia przygotowywała kajzerki z masłem i serkiem. Wymienialiśmy się naszymi śniadaniami. On po lekcjach chodził paść krowy - więc chodziłem z nim. Potem ciągnąc za grube sznury wspólnie wydzwanialiśmy na Anioł Pański. Wszyscy o tym wiedzieli i nikomu to nie przeszkadzało.

(dokończenie na następnej stronie)

Z czasów szkolnych pamiętam też, że ksiądz proboszcz Paweł Nikodem, na zakończenie roku szkolnego wręczał najlepszemu uczniowi kancjonał. Pewnego roku i mnie zdarzyło się być najlepszym. Ponieważ nie uważał za stosowne dać mi kancjonał, więc wręczył mi duży bukiet róż ze swojego ogrodu.

Pamiętam też doskonale żonę Cholewy z Chraści. Mówiliśmy po prostu Cholewina. Przychodziła do nas w każdy piątek, bo to był dzień targowy. W koszyku wyłożonym wykrochmalonym białym bieżnikiem przynosiła chleb domowego wypieku i nabiał na cały tydzień.

- Jak zapamiętał Pan 1939 rok?

- W 1939 roku Niemcy wywieźli wszystkich Żydów - mężczyzn do obozu w Nisku. Kobiety zostały w Ustroniu i wszystkie zginęły później w Oświęcimiu.

- Jak ułożyły się Pana losy po wojnie?

- W 1946 roku - wiosną, ojciec wrócił do Ustronia. Po kilku dniach wieść dotarła do Cholewów na Zawodzie. Cholewina jak zawsze w dzień targowy przyszła z koszykiem. Przyniosła świeży chleb i nabiał. Przyniosła również cenne futro ciotki i pierścionek z brylantem. Ojciec był zaskoczony i bardzo wzruszony. Na pytanie skąd u niej te rzeczy, odpowiedziała z największą prostotą. "Jak paniczkę brali to mi dała ten pierścionek... i to jeszcze". Ojciec usiłował dać jej wynagrodzenie. Nie przyjęła i nadal przychodziła w targowe piątki.

- Czy jeszcze ktoś szczególnie utkwił Panu w pamięci?

- Mówiąc o ludziach tej ziemi, nie mogę nie wspomnieć Rudolfa Tyrnę obecnie mieszkającego w Łaziskach. W 1929 roku ojciec kupił samochód. Rudolf mógł mieć 19 lat, miał ukończony kurs dla kierowców i jeszcze nigdzie nie pracował. Został więc kierowcą ojca. Bardzo go wszyscy lubiliśmy. W 1938 r. ożenił się i przestał u nas pracować. Wyjechał z Ustronia. Przyjechał gdy rozpoczęła się wojna. Długo rozmawiał z ojcem. Zaofiarował gotowość pomocy takiej, jaka będzie potrzebna. Ojciec przekazał mu rodzinne pamiątki - fotografie, dokumenty, listy i nawet moją kolekcję minerałów.

Już 27 października 1939 r. miał miejsce drugi masowy transport Żydów. Powiedziano nam, że wyjedziemy w stronę Lublina w celu kolonizacji. Spakowaliśmy walizki i plecaki i o 6 rano wyjechaliśmy w dwie furmanki do Bielska. Ostatecznie przeżyliśmy wojnę na Syberii. Wiosną 1946 r. wróciliśmy do Ustronia.

- Czy przyjaźnie z tamtych lat przetrwały do dziś?

- Rudolf też przeżył wojnę. Kiedy dowiedział się o naszym powrocie przyjechał i przywiózł ze sobą wszystkie rzeczy, które oddaliśmy mu na przechowanie. Nasza przyjaźń przetrwała do dziś. Mieszkając już w Australii, odwiedziliśmy go w 1992 r. Jego syn nakręcił film z naszego spotkania w Łaziskach.

Urszula Przybyła

* * *

Jest 13 czerwca. Panu Windholzowi, jego żonie Krystynie i bratowej Irenie dziękuję za ofiarowany mi czas, za wspomnienie o zwykłych ludziach.

Po kilku dniach - wieczorem - telefon. Pani Windholz mówi o otrzymanej depeszy... Mąż przy odsłonięciu pomnika upamiętniającego synagogę odmawiał Kadisz, modlitwę za zmarłych, a w Łaziskach przestało bić serce wspaniałego człowieka, naszego przyjaciela Rudolfa Tyr...ego.

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że 16 czerwca 1997 r. zmarł w Łaziskach górnych Szlachetny Człowiek

śp. Rudolf Tyrna

nasz wieloletni przyjaciel i dobroczyńca. Będziemy Go zawsze wspominać z wdzięcznością.

Otto i Krystyna
Wiecki-Windholz
wraz z rodziną z Australii

„Słowo Żydowskie", Warszawa

Rozdział 15

Tymczasem z początkiem lat dziewięćdziesiątych na arenie politycznej zachodziły wydarzenia, o których nie śniło się ludziom o największej nawet fantazji. Związek Sowiecki, ten który „ruszył z posad bryłę świata" i sprawował nieograniczoną władzę nad milionami ludzi od przeszło siedemdziesięciu lat rozpadł się jak domek z kart pod potężnym podmuchem historii. Sowieckie republiki tworzyły własne, samodzielne państwa. Jako jedna z pierwszych ogłosiła niepodległość Ukraina.

A w maju tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku wykreśliłam z mego słownika słowo „niemożliwe".

Po pięćdziesięciu latach niespełnionych marzeń nowopowstały konsulat ukraiński w Warszawie wydał nam WIZĘ WJAZDOWĄ DO STANISŁAWOWA!

Pociąg na trasie Legnica-Kijów zbliżał się do Lwowa. Od chwili uzyskania wizy minęło sześć dni, trawionych gorączką i tyleż długich, nieprzespanych nocy. W wagonie, a może i nawet w całym pociągu byliśmy sami. Wojska sowieckie niedawno opuściły Legnicę, gdzie stacjonowały ponad czterdzieści lat i ruch na tej trasie był znikomy. Przebycie odległości trzystu kilometrów zajęło nam dwanaście godzin, w tym niekończący się postój na granicy. Przez okno obserwowaliśmy długi sznur autobusów i ciężarówek; dla nich czas oczekiwania na przejściu granicznym trwał trzy albo cztery doby.

Staliśmy na bocznicy, czekając na zmianę podwozi, bo polskie tory kolejowe były węższe od torów po drugiej stronie granicy. Wreszcie pociąg ruszył z miejsca. Po paru godzinach jazdy znowu zwolnił biegu i powoli wtoczył się na stację.

Pamiętaliśmy ten dworzec z dawnych czasów, chociaż każde z nas z innego okresu i innych okoliczności; wspaniały budynek z oszkloną półkoliście halą wjazdową i jedyny, niepowtarzalny zapach Lwowa. Szklany dach jak dawniej rozpina się nad peronami; pod nim przewala się ogromna ciżba podróżnych. Ludzie, niczym mrówki, śpieszą w różnych kierunkach; niektórzy siedzą na walizkach, inni leżą na gołej ziemi. Ciężki zaduch wisi w powietrzu.

Do Stanisławowa pozostało nam już tylko osiemdziesiąt kilometrów.

Jedziemy taksówką. Mijamy Winniki, Bóbrkę i Halicz - wszystkie zachowały stare nazwy. Serce podchodzi mi do gardła, chyba mam gorączkę...

...Do centrum miasta wjeżdżamy ulicą Kamińskiego. Już jesteśmy na Sapieżyńskiej. Spoglądam w prawo i lewo i oczom własnym nie wierzę. JEST WSZYSTKO! Mam nieodparte wrażenie, że patrzę na dobrze znaną dekorację teatralną: z daleka błyszczy w słońcu zielona kopuła dachu na rogu Sapieżyńskiej i Trzeciego Maja. Po obu stronach ulicy te same znajome kamienice; te same, tylko większe drzewa.

Jestem szczęśliwa. Za siebie i za Sylwię.

Dzień pierwszy

Stoimy przed moim wyśnionym, wymarzonym DOMEM na Trzeciego Maja. Wygląda dokładnie tak jak kiedyś. Kamienne gorgony zdobią wysokie okna - sześć od frontu, reszta za rogiem od ulicy Szydłowskiego. Na parterze rząd wystaw dawnego sklepu z kryształami Snihurowicza - teraz gigantyczny salon fryzjerski. Fasada domu dobrze zachowana. Po murze pną się zielone liście bluszczu. Przy bramie tabliczka z napisem „Pamjatka architektury".

Wchodzimy na podwórze. Tam gdzie rósł karłowaty krzak bzu, pod którym piegowaci czeladnicy z cukierni pana Kramarczyka kręcili lody stoi jakiś rozkraczony budynek. Jest zamknięty. Podwórze jak dawniej wybrukowane kocimi łbami, z pomiędzy których wyrastają rzadkie kępki trawy. W górze ganek kuchenny, gdzie kiedyś wietrzyły się kolorowe pierzyny służących. Teraz wisi tam kilka sztuk suszącej się bielizny.

Wracamy do bramy i frontowym wejściem wchodzimy na pierwsze piętro. Schody są sfatygowane, znikły gdzieś mosiężne gałki na poręczach...

Stajemy przed drzwiami naszego mieszkania. Rzeźbione, solidne, kiedyś politurowane, teraz zamalowane brzydką zieloną farbą. Na drzwiach pięć dzwonków i pięć różnych wizytówek z obcymi nazwiskami obecnych mieszkańców.

Przeszło sto lat temu w tym mieszkaniu i za tymi drzwiami żyli, a potem zmarli błogosławioną śmiercią naturalną moi dziadkowie. Mieli pięcioro dzieci - czterech synów i moją Mamę Jankę.

Najstarszy syn Maniuś zginął śmiercią żołnierską, podczas pierwszej wojny światowej. Drugi syn Gustek był lekarzem. Mieszkał w Tłumaczu. Zmarł śmiercią tragiczną z początkiem lat trzydziestych. Trzeci, Józio, w latach dwudziestych wyjechał w świat i nigdy już do Stanisławowa nie powrócił. Ostatni, Bronek, miał żonę Helenę i synów Waldka i Ludwisia. Wszystkich zamordowali Niemcy w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku.

Tu urodził się i niedługo potem zmarł mój nieznany braciszek Maniuś.

Za tymi drzwiami mieszkali moi Rodzice. Mama umarła dwa lata przed wybuchem wojny w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku. Oleś został zamordowany przez Niemców w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym...

Staliśmy przed tymi drzwiami w milczeniu, jak przed wejściem do rodzinnego grobowca. Potem, nie nacisnąwszy żadnego z pięciu dzwonków zeszliśmy powoli na ulicę.

Skręcamy w lewo, przecinamy ulicę Szydłowskiego. Niedaleko powinna być moja szkoła. Podchodzimy bliżej – jest, stoi. Wydaje się trochę mniejsza i znikły gdzieś drzewa morwowe o słodkich białych owocach, ale to ta sama stara szkoła pod wezwaniem patronki królowej Jadwigi. Chciałabym przelecieć po korytarzach, wbiec po schodach na piętro, zaglądnąć do klas, przystanąć jak dawniej z bijącym sercem przed drzwiami pokoju nauczycielskiego...

Niestety, są wakacje i szkoła jest zamknięta.

Kilka kroków dalej zaczyna się krótka ulica Kraszewskiego. Udajemy się na poszukiwanie domu Lidki. Parterową willę otaczał kiedyś sad, gdzie rosły maliny, porzeczki i krzaki aloesu. Ale na jej miejscu stoi nowy blok mieszkalny...

Ulicą Kraszewskiego dochodzimy do Sapieżyńskiej. Skręcamy w Sobieskiego i stajemy przed domem oznaczonym numerem czterdzieści jeden. Wprowadziliśmy się do tego domu w połowie lat trzydziestych. Tu Mama ciężko chorowała na serce. Tu przez wiele miesięcy leżała pod namiotem tlenowym i tu zmarła pierwszego dnia kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku....

Idziemy dalej. Niedaleko powinna być niewielka uliczka św. Józefa, wychodzącą na Sapieżynską u wylotu Trzeciego Maja. Na jednym rogu stała kamienica dentysty, dr Harnika. W sąsiednim domu mieszkała moja nauczycielka, pani Wolańska, a na drugim rogu mieściło się kasyno oficerskie.

Dochodzimy do św. Józefa i znowu znajdujemy się na Sapieżyńskiej, przed domem numer dwadzieścia dziewięć, sto metrów od Trzeciego Maja. Mieszkaliśmy tu po śmierci Mamy. Po dwóch latach zastała nas tu wojna. Stąd zostaliśmy wyeksmitowani w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przez władze sowieckie. Zatrzymujemy się przed bramą. Dom niedawno odnowiony, na oknach kwiaty w doniczkach. Na bramie domofon, więc nie możemy nawet wejść na klatkę schodową...

Jesteśmy zmęczeni. Za dużo wrażeń na jeden dzień.

Postanawiamy wrócić do hotelu.

Poprzedniego dnia, po przyjeździe, chcieliśmy zatrzymać się w hotelu „Union". Stamtąd jednak odesłano nas do nowego hotelu „Ukraina", nieciekawego wytworu budownictwa socjalistycznego na drugim końcu Sapieżyńskiej. Mimo ważnej wizy pobytowej nie wiedziano co z nami zrobić - najwidoczniej brakowało jeszcze przepisów jak traktować zachodnich turystów. Kazano nam zostawić nasze bagaże w westybulu hotelowym i osobiście udać się po zezwolenie na meldunek do miejskiej komendy milicji. Dopiero wtedy wydano nam klucz do pokoju.

„Ukraina" stoi na terenie dawnego cmentarza katolickiego. Resztę terenu cmentarza zamieniono na park; kilka najstarszych pomników zachowano jako elementy dekoracyjne.

Kiedyś naprzeciw cmentarza katolickiego mieścił się stary cmentarz żydowski. Był tam podobno grób jakiegoś słynnego cadyka. Tam też pochowany został mój braciszek Maniuś. Kilka lat przed wojną z braku miejsca cmentarz został zamknięty i chowano tam tylko co bardziej zasłużonych. Powstał wtedy nowy cmentarz za rzeką Młynówką, który tak tragicznie zapisał się w pamięci mieszkańców.

Niestety, nie znaleźliśmy grobu Maniusia. Nie znaleźliśmy także cmentarza; na jego miejscu stoi brzydki budynek kina „Sputnik".

Dzień drugi

Dziś chcemy odwiedzić dom przy ulicy Lipowej, chociaż boję się konfrontacji z tym adresem.

Wychodzimy z hotelu i idziemy wzdłuż Sapieżyńskiej.

Przechodzimy jezdnię na rogu Trzeciego Maja i dochodzimy do dawnego Kina „Urania", do którego chodziłyśmy z Lidką na filmy dla dzieci i młodzieży. Właścicielem tego kina był wujek Lidki, pan Gottesman, więc nie płaciłyśmy za bilety. Budynek jest niezmieniony, ale zamiast kina mieści się tu teraz teatr lalek „Skazka". Obok księgarnia Bodeka, gdzie kupowało się książki i pomoce szkolne, a naprzeciw, po drugiej stronie ulicy księgarnia Hasklera; oprócz działu beletrystyki i wydawnictw albumowych był tam specjalny dział z nutami. Teraz mieści się tu specjalistyczna księgarnia wojskowa.

Następny róg - dawny Bank Hipoteczny, dalej gimnazjum męskie, teraz jakiś urząd. Przed budynkiem nowa fontanna. Uliczka między bankiem a gimnazjum prowadziła do Placu Mickiewicza, gdzie na wysokim cokole stał pomnik poety. Pójdziemy tam jutro.

Zbliżamy się do miejsca, gdzie znajdowała się kawiarnia Krowickiego. Ojciec był tu częstym bywalcem i czasem zabierał mnie ze sobą. Fasada do której podchodzimy niczym nie przypomina dawnego wejścia. Przez okna wystawowe zamiast eleganckiego wnętrza kawiarni widać coś pośredniego między tanią jadłodajnią a restauracją dworcową.

Na rogu Sapieżynskiej i Gosławskiego stoi dawny hotel „Union". Właścicielem tego hotelu był ostatni burmistrz Stanisławowa, Chowaniec. Należała do niego także jedna ze stanisławowskich drukarni, a w Jaremczu piękna willa „Chowańcówka".

Naprzeciw „Unionu" widzimy wielkie wystawy dawnego sklepu Hauswalda. Skręcamy w Gosławskiego. Stoi tu budynek nowej poczty. Naprzeciw był kiedyś sklep bławatny braci Dermanów i sklep „Karibi", gdzie Mama kupowała włóczkę. Dalej dawny sklep futer Freundlicha i księgarnia Jasielskiego - teraz biuro podróży.

Dochodzimy do Sobieskiego. Na rogu apteka. Obok była kiedyś owocarnia matki grubej Gusty, która przynosiła do szkoły pęki bananów „Fyfesów" i dzieliła je między koleżankami.

Mijamy okna wystawowe sklepu konfekcyjnego Papiera i zbliżamy się do dawnego biura Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Fenix". Prokurentem tego Towarzystwa był wujek Bronek.

Następny budynek to dawny hotel „Warszawa", i już wchodzimy na piękną, wysadzaną starymi drzewami ulicę Lipową. Kiedyś bardzo dawno temu nazywała się Pierackiego, a za czasów rosyjskich ulicą Szewczenki.

Po lewej stronie stał budynek seminarium duchownego; teraz mieszczą się tam koszary.

Przystajemy na rogu Lipowej i Gillera. Było tu kiedyś takie miejsce, gdzie można było kupić ulubiony przysmak - wspaniały gorący kartoflanik...

Naprzeciw małego kościółka Ave Maria mieszkał wujek Bronek. W przeciwnym kierunku, bliżej Batorego mieściło się gimnazjum św. Zofii, do którego uczęszczała Sylwia.

Idziemy teraz w kierunku parku i dochodzimy do domu, oznaczonego numerem sześćdziesiąt trzy.

Od tysiąc dziewięćset czterdziestego roku - za czasów rosyjskich - mieszkaliśmy tu z Pepą i jej rodziną.

Z balkonu mieszkania na drugim piętrze widzieliśmy pierwszych żołnierzy niemieckich wkraczających do Stanisławowa w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

Drugiego sierpnia tego roku z tego właśnie domu wyszedł Ojciec i nigdy już więcej do niego nie powrócił, zamordowany w akcji likwidacyjnej żydowskiej inteligencji Stanisławowa.

Dwunastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku z tego domu zostaliśmy wypędzeni na ulicę, aby dołączyć do kolumny Żydów, prowadzonych na cmentarz za miastem; tego dnia Niemcy rozstrzelali tam ponad dziesięć tysięcy ludzi.

W tym właśnie domu - przed samym zamknięciem getta - w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku pożegnałam się z Pepą i poszłam za nieznajomym Ukraińcem, który mnie wywiózł ze Stanisławowa....

Idziemy dalej. Jesteśmy już blisko parku Romaszkana. Mijamy piękne wille. W najładniejszej mieszkała kiedyś rodzina właścicieli garbarni Margoszesów; szef Gestapo Krüger zajął ją później na swoją kwaterę.

Przed wojną były tu dwa parki: „stary" - po lewej stronie i „nowy" po prawej. Teraz oba parki zostały połączone. Przed wejściem do „nowego" parku stał kiedyś Pomnik Grunwaldzki - wysoka kolumna z orłem. Kolumna zachowała się, ale orła już nie ma. Za parkiem było kilka stawów, które w zimie zamarzały. Największy z nich zamieniał się w ślizgawkę, która nazywała się „Sielanka"...

Jesteśmy zmęczeni. Siadamy na ławce i patrzymy na gładką taflę wody, w której topią się zielone warkocze płaczącej wierzby...

Dzień trzeci

Idziemy w stronę rynku. Za sklepem Hauswalda był kiedyś sklep ze sprzętem elektrycznym; prowadzili go dwaj bracia, obaj rudzi. Obok był sklep z włóczkami „Trójkąt w Kole" i magazyn futer „Alaska".

Niedaleko rynku, na Placu Piłsudskiego stała cerkiew prawosławna i katedra grecko-ormiańska, a dalej katedra rzymsko-katolicka. Tu właśnie na początku roku szkolnego, a także z okazji świat państwowych odbywały się nabożeństwa międzyszkolne, w których uczestniczyli uczniowie wszystkich wyznań. Najlepiej pamiętam nabożeństwo żałobne po śmierci marszałka Piłsudskiego.

Chcę wejść do środka, ale drzwi są zabite deskami, a na murze wisi tablica z napisem „Ateisticzeskij muzej" (Muzeum ateizmu) - pozostałość okresu socjalizmu.

Marzymy, aby z kimś porozmawiać - dowiedzieć się, czy mieszkają tu jeszcze ludzie pamiętający przedwojenny Stanisławów. Może ktoś przypomina sobie wydarzenia z przed pięćdziesięciu laty? Może ktoś zapamiętał nazwiska swoich żydowskich sąsiadów? Może ktoś potrafi odpowiedzieć na tak wiele nurtujących nas pytań, na które właściwie nie ma odpowiedzi.

Wchodzimy do cerkwi prawosławnej. Chcemy rozmawiać z popem. Przedstawiamy się i pytamy czy może nam pomóc. Pop popatrzył na nas ze zdziwieniem i zapytał: *„No to dlaczego nie pójdziecie do synagogi?"*

Niedaleko Szkoły Królowej Jadwigi, naprzeciw Teatru im. Moniuszki, stała kiedyś postępowa synagoga, zwana Templum - okazały dwufrontowy budynek z głównym wejściem od ulicy prowadzącej do rynku. Była to synagoga rabina Bertisza, który uczył także religii w gimnazjach państwowych - jedyna synagoga, którą pamiętałam.

Czy to możliwe, że właśnie ta synagoga ocalała? Jak nieprzytomni wychodzimy z cerkwi. Idzie z nami młody seminarzysta Danyliw, pokazuje nam drogę. Z wrażenia nie wiem nawet dokąd idziemy. Przechodzimy jakąś ulicę i skręcamy w lewo. Nagle, jak fata morgana staje przed nami znajomy gmach. Nie wierzę własnym oczom. Budynek jest niezmieniony, znikły tylko mosiężne gwiazdy Dawida na kopułach. Na bramie tablica z napisem „Medicinskij Institut". Obok mniejsza, po hebrajsku, a pod spodem napis cyrylicą „Iwano-Frankiwskaja Synagoga". Na murze znajoma plakietka „Pamjatka architektury".

Wchodzimy do środka. W korytarzu siedzą dwie kobiety, chyba woźne. Pytamy o synagogę. Jedna z nich wyciąga rękę, coś pokazuje. Idziemy w tym kierunku i dochodzimy do oszklonych drzwi. Są zamknięte; spoza firanki widać coś w rodzaju zaciągniętego kotarą ołtarza, stół, na którym leżą jakieś książki i kilka rzędów krzeseł.

Wracamy do kobiet. „Czy możemy rozmawiać z kimś z synagogi?" Kobieta podchodzi do telefonu i nakręca jakiś numer. W słuchawce odzywa się męski głos. „Czy rozumie Pan po polsku?" - pyta Otek. Mężczyzna potwierdza. „A czy jest Pan Żydem?" - pada drugie pytanie. „Jestem rabinem" - brzmi odpowiedź. Za piętnaście minut zjawia się w synagodze. Wiktor Kolesnik jest młody i wcale nie wygląda jak rabin. Nosi sportową koszulę i niebieską czapkę „basketbolówkę". Studia rabinackie odbywał jeszcze za czasów sowieckich na tajnych kursach pod Moskwą. Przed tym studiował literaturę rosyjską. Od matki nauczył się mówić po polsku; z pasją zajmuje się historią Stanisławowa.

Opowiadam mu o mojej rodzinie. Nazwisko mego dziadka nie jest mu obce; później znalazł je w dokumentach archiwalnych synagogi. Dr Salomon Gelehrter był członkiem Komitetu Organizacyjnego Budowy Synagogi, powstałej w 1897 roku.

Cierpliwie odpowiada na wszystkie nasze pytania.

Tak, władze ukraińskie niedawno oddały parterową część budynku synagogi nowopowstałej gminie żydowskiej, liczącej około pięciuset osób (przed wojną trzydzieści tysięcy). Nie ma wśród nich rodowitych mieszkańców Stanisławowa - większość stanowi ludność napływowa - ci, którzy przeżyli wojnę w Rosji i ich rodziny.

Gmina opiekuje się cmentarzem za Młynką. Przedwojenna część cmentarza została zrównana z ziemią. W latach tysiąc dziewięćset czterdzieści jeden - tysiąc dziewięćset czterdzieści trzy Niemcy rozstrzelali tam w masowych egzekucjach sto dwadzieścia tysięcy Żydów - mieszkańców Stanisławowa i tych zwożonych ze wsi i miasteczek z całego województwa. W miejscu tym stoi teraz symboliczny grób - pomnik, poświęcony ich pamięci.

Na zachowanych szczątkach muru getta umieszczono tablicę pamiątkową. Rozebrano pomnik poległych enkawudystów, zbudowany przez byłe władze sowieckie z żydowskich nagrobków.

Nie wiadomo jeszcze jak rozwiązać sprawę podwórza miejscowej straży pożarnej, wybrukowanego przez Niemców żydowskimi nagrobkami.

Gmina objęła opieką zbiorowy grób inteligencji żydowskiej, rozstrzelanej w Pawełczu w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Chcemy tam pojechać. Rabin obiecuje załatwić samochód; pojedzie razem z nami.

Dzień czwarty

Jesteśmy w Pawełczu.

Wysiadamy z samochodu i stajemy przed tablicą z polsko-ukraińskim napisem: *„Uszanuj teren uświęcony krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic, zamordowanych przez hitlerowców w 1941 roku"*,

Wchodzimy głębiej w las. Idziemy dość długo. Las jest gęsty. Dochodzimy do kamiennego kopca z wmurowaną tablicą pamiątkową:

„Jeżeli zapomnę o nich - Ty Boże zapomnij o mnie" (Adam Mickiewicz). Pod spodem napis: *„Miejsce uświęcone krwią mieszkańców Stanisławowa i okolic, zamordowanych przez hitlerowców w sierpniu 1941 roku – Rodacy"*. To zbiorowa mogiła inteligencji polskiej, zamordowanej w tym miejscu kilka dni po masakrze inteligencji żydowskiej.

Idziemy dalej. Las jest coraz gęstszy. Mokra ziemia ugina się pod nogami, buty grzęzną w glinie. Z trudem przedzieramy się przez gęstwinę - sami nigdy byśmy tego miejsca nie znaleźli.

Zatrzymujemy się przed głęboką jamą, do połowy wypełnioną mętną wodą. W powietrzu unosi się zapach zbutwiałych liści. Z wody wyrastają powykręcane kikuty krzaków.

Po pięćdziesięciu latach znalazłam grób Olesia.

Odłamuję kawałek gałązki. Zabiorę go ze sobą do Australii.

Dzień piąty

Zbliżamy się do cmentarza. To droga marszu śmierci z października tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

Przechodzimy przez bramę. Z prawej strony przy wejściu stoją groby powojenne. Jest ich niewiele. Dalej na odległości kilkudziesięciu metrów widać

zapadniętą nieco ziemię, a obok za metalowym ogrodzeniem nagrobek z napisem w językach hebrajskim i rosyjskim: *„Na wiecznuju pamjat' ljubimym i miłym pri żizni i pośle smjerti, nierozluczonnym żertwam jewrejskoho naselenja, ubitym iz ruk gitlerowcew w godach 1941-1944"* („Na wieczną pamięć ukochanym i drogim za życia i po śmierci, nie pożegnanym ofiarom ludności żydowskiej, zamordowanym rękoma hitlerowców w latach 1941-1944.")

Idziemy w stronę miejsca, gdzie kiedyś stały pomniki przedwojennego cmentarza. Jak okiem sięgnąć tylko łąka, porośnięta wysoką trawą i liśćmi łopianu. Z daleka majaczy jakiś ciemny kształt. Nie, to niemożliwe!!! Zostawiam Otka i biegnę w tym kierunku, depcząc wybujałą trawę i potykając się o ukryte wśród niej kamienie.

I nagle staję przed samotnym, podziurawionym kulami, jedynym na całym cmentarzu nagrobkiem.... mojej Matki!

Dzień szósty

Cały dzień spędzamy w miejskim archiwum.

Pytamy o stare księgi metrykalne izraelickiej gminy wyznaniowej. Większość została zniszczona, ale uratowało się kilka roczników. *Czy możemy je zobaczyć?* Urzędniczka wychodzi z pokoju; za chwilę wraca i kładzie przed nami cztery księgi. Bierzemy pierwszą, z nich i z niedowierzaniem spoglądamy na stronę tytułową – „1928 rok". Kartkujemy gorączkowo, dochodzimy do ostatnich stron. Pod datą dwudziestego grudnia znajduje się nigdy dotąd nie oglądana - prawdziwa metryka mego urodzenia.

Następna księga zawiera zapisy z tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego roku. Wówczas urodził się mój kuzyn Waldek. Otwieramy ją i patrzymy na siebie ze zdumieniem. Wszystkie rubryki tej księgi wypełnione są równym, charakterystycznym pismem Mamy! Otek poznaje je także - zna je z listów, które dostaliśmy od wujka Józka. Domyślamy się, że w owym czasie Mama pomagała przy prowadzeniu ksiąg metrykalnych.

Trzecia księga jest z tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku i niczego w niej nie znajdujemy.

W ostatniej, pod datą pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku widnieje akt zgonu Mamy...

Pytamy dalej: *Czy archiwum posiada jakieś przedwojenne akta sądowe?*

Urzędniczka znowu wychodzi. Po kilku minutach wraca i przynosi ze sobą związaną sznurkiem teczkę. W teczce znajduje się plik dokumentów sprawy

sądowej z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku; niektóre na blankietach firmowych Ojca, inne opatrzone pieczątką kancelarii, a na nich oryginalny, własnoręczny, zamaszysty podpis Olesia...

Pozwolono nam skopiować wszystkie znalezione dokumenty. Zabieramy je do Australii, aby razem z licznymi fotografiami świadczyły o tym, że wszystko co tu przeżyliśmy zdarzyło się naprawdę...

Dzień siódmy

Ostatni dzień naszego pobytu.

Wstajemy wcześnie rano, aby uniknąć ulicznego ruchu. Chcemy pożegnać się ze Stanisławowem - bez ludzi.

Ulice są jeszcze puste. Po raz ostatni obchodzimy wszystkie dobrze znane mi miejsca, aby jeszcze mocniej utrwalić je w pamięci.

Jestem szczęśliwa, że mogę teraz dzielić mój Stanisławów z Otkiem.

Dzień ósmy

Zbliżamy się do Jaremcza. Jedziemy samochodem.

Pogoda jest cudowna; na niebie ani jednej chmurki, blado świeci poranne słońce. Podróż trwa krótko - ze Stanisławowa do Jaremcza jest tylko trzydzieści kilometrów.

Na horyzoncie pojawiają się granatowe zarysy Karpat.

Mijamy kamienny drogowskaz z napisem „Jaremcza" (zmieniona tylko ostatnia litera) i wjeżdżamy w ulicę Piłsudskiego, do niedawna Stalina, teraz ulica Swobody. Na drugim końcu tej ulicy stała „Irena".

Wieziemy ze sobą list polecający od seminarzysty Danyliwa do miejscowych gospodarzy, którzy - mamy nadzieję - nas zakwaterują.

Jest niedziela. Ulica jest zupełnie pusta.

Z daleka nadchodzi mężczyzna w wyszywanej koszuli. Zatrzymujemy go i pytamy o adres.

„Ce tut" (To tutaj) - mówi, wskazując na huculską, willę, przed którą stoimy. „A koho wy szukajete" (A kogo szukacie?)

Odczytujemy z koperty nazwisko. „Syszczuka Petra Andrejewicza" - odpowiada Otek.

„Ce ja" (To ja) - mówi mężczyzna.

Zostawiamy nasze rzeczy u gospodarzy i dalej idziemy pieszo.

Ulica Piłsudskiego jest bardzo długa. Wiem, że musimy dojść do stacji kolejowej, a stamtąd trafię do „Ireny" nawet z zamkniętymi oczyma.

Mijamy miejsce, gdzie stała kiedyś poczta. Do dworca pozostało teraz może dwieście albo trzysta metrów.



Przed domem na 3 Maja w Stanisławowie



Synagoga (Templum) w Stanisławowie



Miejsce masowej egzekucji inteligencji żydowskiej z 3 sierpnia 1991 r. w Pawełczu



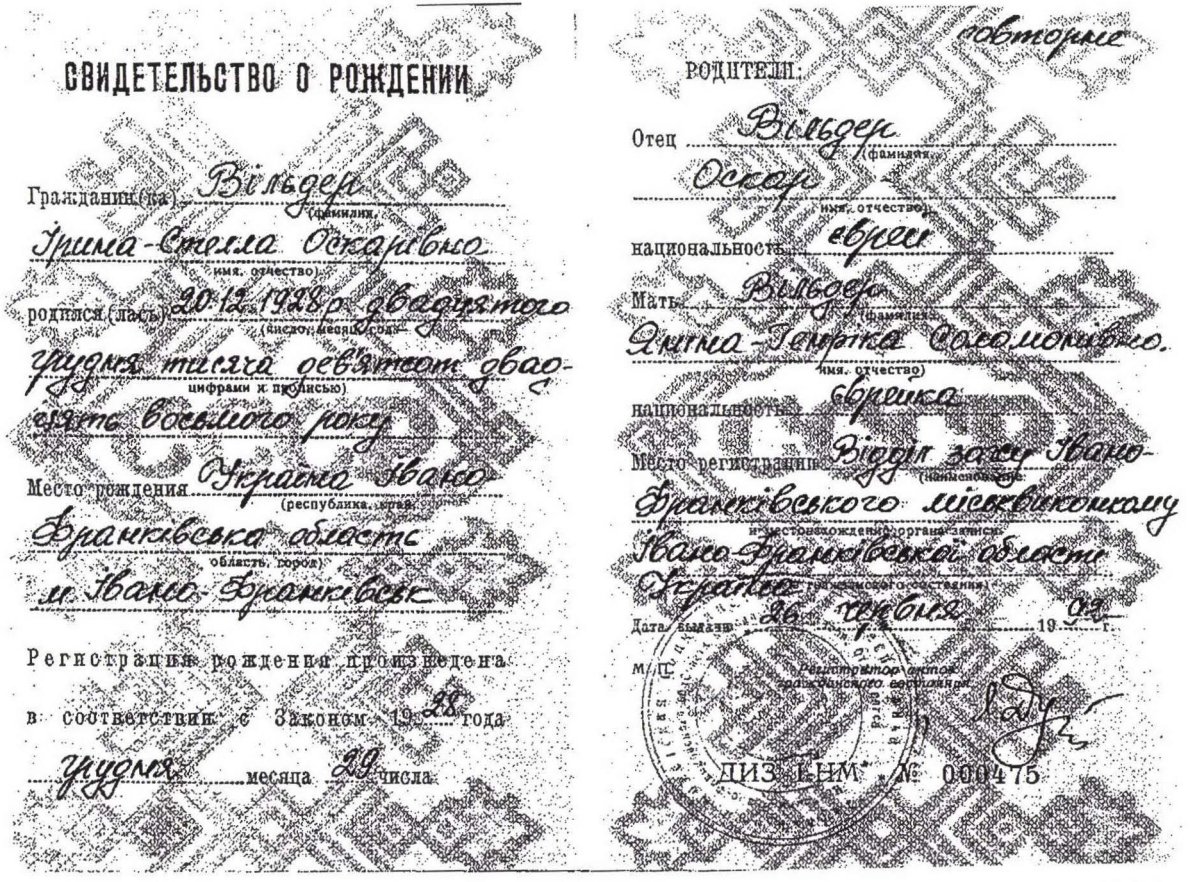
Grób Mamy na cmentarzu żydowskim w Stanisławowie

Księga urodzin izraelickiego okręgu metrykalnego na rok 1928

525
20
grudzień 1928 192
Stanisławów II.
Sanatorjum P. Rozalji
28
grudzień 1928 192
Stanisławów II.
Irena Stala
żeńska
ślubna
P. Oskar Wikler

7	8	9	10	11	12
Imię i nazwisko matki, jej stan i zamieszkanie, jakoteż imię i nazwisko, zatrud.ienie i miejsce zamieszkania jej rodziców	Własnoręczny podpis z wymienieniem zatrudnienia i miejsca zamieszkania			Dziecię nieżywo urodzone	
	kumów lub świadków Sandeka lub Szamesa.	obrzezują-cego lub obrzezu-jących	akuszerki lub akuszera		
Janina Henryka z. Gelehrter żona P. Salomona i Sabiny Gelehrter	Dawid Kassimer		P. Rozalkowa		U W A G A
	podpisani na karcie meldunkowej				
					Małż. rodziców zawarła związku w Stanisławowie 16/I 1922 akt. Tom III str. 148 metr. ślubu.

Oryginalny zapis z Księgi Urodzin na rok 1928



СВИДЕТЕЛЬСТВО О РОЖДЕНИИ

Гражданин(ка) Вільдер (фамилия)

Ірина-Стелла Оскарівна (имя, отчество)

родился(лась) 20.12.1928 р. двадцятого (число, месяц, год)

грудня тисяча девʼятсот двад-

цять восьмого року (цифрами и прописью)

Место рождения Україна Івано- (республика, край)

Франківська область (область, город)

м. Івано-Франківськ

Регистрация рождения произведена

в соответствии с Законом 1928 года

грудня месяца 29 числа

ПОВТОРНОЕ

РОДИТЕЛИ:

Отец Вільдер (фамилия)

Оскар (имя, отчество)

национальность еврей

Мать Вільдер (фамилия)

Англіна-Генріка Соломонівна (имя, отчество)

национальность єврейка

Место регистрации Відділ загсу Івано- (наименование)

Франківського міськвиконкому

(местонахождение органа записи)

Івано-Франківської області

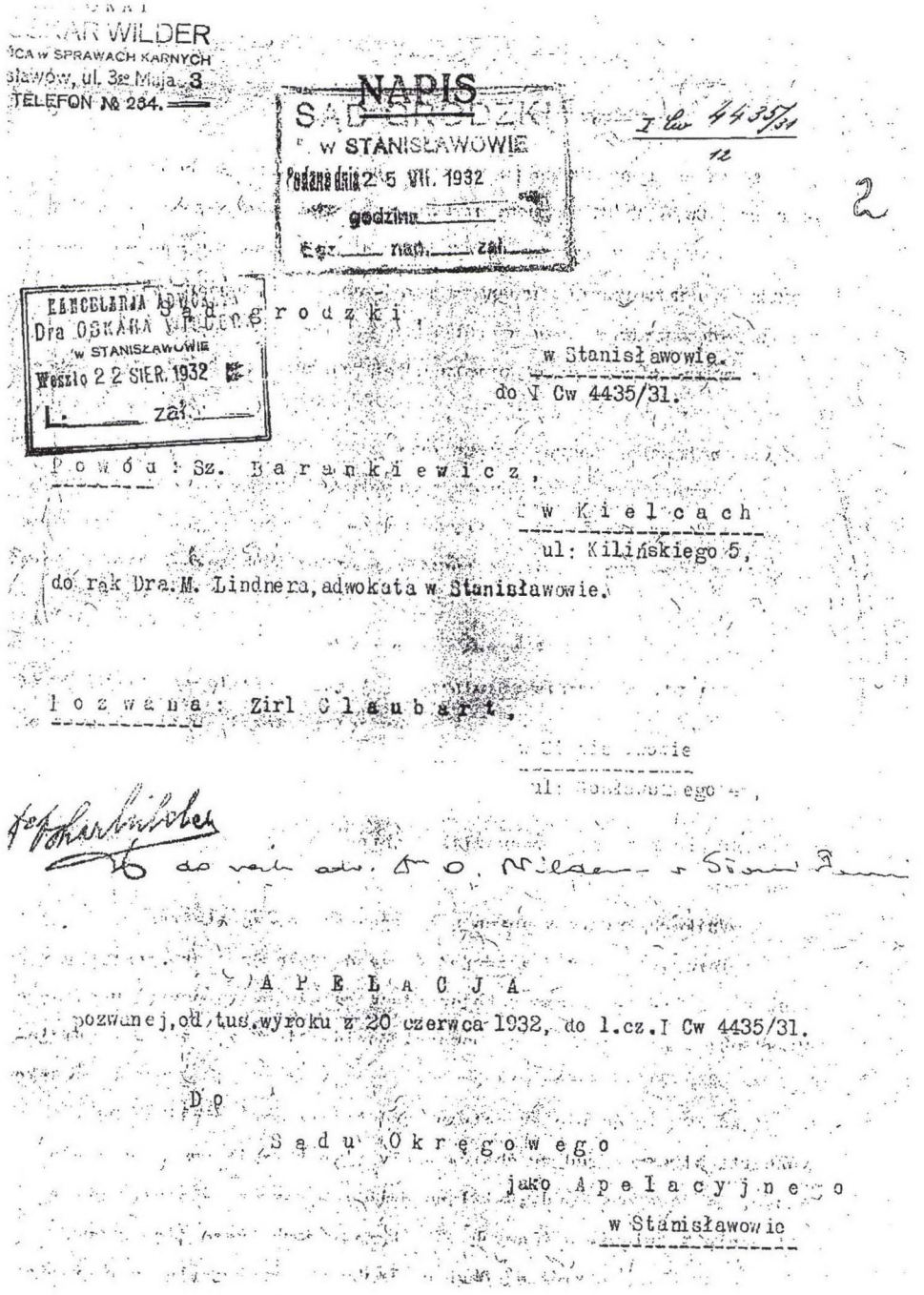
Україна (государственная принадлежность)

Дата выдачи 26 грудня 93 г.

м.п. Регистратор актов гражданского состояния

ДИЗ ЦНМ № 000475

Dokument wydany przez władze ukraińskie na podstawie zapisu metrykalnego z 1928 roku



...AR WILDER
...CA w SPRAWACH KARNYCH
...sławów, ul. 3-go Maja 3
TELEFON № 264.

NAPIS
SĄDU GRODZKIEGO
w STANISŁAWOWIE
Podane dnia 25 VII. 1932
godzina
Egz. nad. zal.

I Cw 4435/31
12

2

KANCELARJA ADWOKACKA
Dra OSKARA WILDERA
w STANISŁAWOWIE
Weszło 22 SIER. 1932
L. zał.

Sąd Grodzki,
w Stanisławowie.
do I Cw 4435/31.

Powód: Sz. Barankiewicz,
w Kielcach
ul: Kilińskiego 5,
do rąk Dra M. Lindnera, adwokata w Stanisławowie.

Pozwana: Zirl Claubarit,
[illegible]
ul: [illegible]ego [illegible],

do rąk adw. Dra O. Wilder[illegible] w Stanisławowie

A P E L A C J A
pozwanej, od tut. wyroku z 20 czerwca 1932, do l.cz. I Cw 4435/31.

Do
Sądu Okręgowego
jako Apelacyjnego
w Stanisławowie

Z akt Sądu Grodzkiego w Stanisławowie, 25.VII 1932 r.

Po kilku minutach pojawia się znajomy budynek z dwukolorowej cegły; prowadzi do niego krótka, szeroka jezdnia, wybrukowana kamienną kostką. Z prawej strony stoi dawna kawiarnia Hanusa, a naprzeciw dworca, po lewej okrągła rotunda kawiarni Skrzyńskiego.

Mijamy dawną willę „Gencjanę", potem willę „Tillę" i „Jelenia"; „Irena" musi być już całkiem blisko.

Nareszcie stajemy przed metalowym ogrodzeniem. Kiedyś rósł tu wysoki żywopłot. „Irena" stała na górze, daleko od ulicy i trzeba było wspiąć się po skarpie aby ją zobaczyć.

Wchodzimy w długą aleję i dochodzimy do miejsca, gdzie zaczyna się serpentyna. Biegnę niecierpliwie pod górę... Serce bije mi mocno, mało z piersi nie uleci...

Już jestem na miejscu; patrzę, rozglądam się - na próżno.

Nie masz już, nie masz „Ireny"...

Wieść o naszym przyjeździe rozeszła się po Jaremczu. Odwiedzają nas miejscowi ludzie. Niektórzy pamiętają „Irenę" jeszcze z przed wojny...

Miejscowa nauczycielka. Burmistrz, który kilka lat temu miał w „Irenie" swoje biuro. Potem była tam biblioteka, wreszcie jakieś magazyny. Kiedy budynek podupadał, a nie było pieniędzy na remont rozebrano go i nic już na tym miejscu nie zbudowano.

Ludzie znoszą nam pamiątki - rzeźbione pisanki i huculskie wyroby z drewna.

Burmistrz obiecał znaleźć fotografię „Ireny" i słowa dotrzymał. Przyniósł nam także zdjęcie kamiennego wiaduktu nad Prutem, wysadzonego w powietrze podczas wojny.

Umożliwił nam objazd samochodem po okolicy: przez Mikuliczyn i Kosmacz do Żabiego (teraz Werchowyna) i na odpust do Kosowa, znanego kiedyś ze słynnych kosowskich kilimów. Potem pojechaliśmy do Kołomyji, gdzie kiedyś mieszkała Rutka z rodzicami i do Delatyna.

Pozostało mi jeszcze jedno niezaspokojone marzenie – zobaczyć Howerlę.

Pojechaliśmy więc autobusem do Worochty. Kiedyś była tam wielka skocznia narciarska, na której także odbywały się zawody międzynarodowe. Skocznia zachowała się, choć wydaje się teraz o wiele mniejsza, a z polskiego kościółka pozostały tylko ruiny.

Z Worochty jechaliśmy z Ojcem kolejką wąskotorową przez Ardżeluzę, Zawojelę, Kukul i Foreszczenkę na Zaroślak pod Howerlą. W zimie jeździliśmy tam na nartach, a w lecie odbywaliśmy górskie wycieczki u podnóża Howerli i Pop-Iwana.

O istnieniu kolejki wąskotorowej nikt już nawet nie pamięta; w ogóle nie ma żadnego regularnego transportu na Zaroślak.

Zatrzymujemy jakąś ciężarówkę. Jest to samochód nadleśnictwa. Wzruszony moim błaganiem kierowca zgadza się zawieźć nas na górę.

Droga jest kamienista, pełna dziur i wybojów; widać, ze uczęszczana jest rzadko.

Przed nami wspaniały widok majestatycznych szczytów - Pop Iwan i Howerla. Wierzchołki gór pokrywa śnieg, choć tu na dole lato w całej pełni.

Motor ciężko pracuje na drugim, czy nawet na pierwszym biegu. Jedziemy teraz pod górę - jest już bardzo stromo. Wreszcie dojeżdżamy do szczytu.

Kiedyś stało tu drewniane schronisko górskie. Kierownikiem schroniska był pan Czuczewicz; posyłał po nas sanie do Foreszczenki a potem witał Ojca gorącym winem.

Schroniska już nie ma. Teraz stoi tu murowany budynek „Turbazy" (baza turystyczna); jest pusty, bo zawodnicy przyjeżdżają na narciarskie obozy szkoleniowe tylko w zimie.

Wychodzimy z ciężarówki aby napawać się pięknym widokiem. Dookoła nas szumią sosny, jodły i świerki. Przypominam sobie, jak wyglądały w zimie, pod puszystymi czapami śniegu; szkoda, że nie możemy tego zobaczyć...

Kierowca odwozi nas spowrotem do Worochty. Nie chce przyjąć od nas zapłaty, zaprasza do domu. Nie powiedzieliśmy mu nawet, ze przyjechaliśmy z Australii.

W Jaremczu zostajemy przez siedem cudownych dni.

Kąpiemy się w Prucie na plaży „Pod Jeleniem".

Przechodzimy przez most i przy drodze odnajdujemy olbrzymi kamień Dobosza. Potem w Karpackim Parku Narodowym zwiedzamy Jaskinie Dobosza i zbieramy borówki.

Nasi gospodarze, Petro Andrejewicz i jego żona Orysia dogadzają nam jak mogą. Na śniadanie dostajemy pyszne placki kartoflane ze śmietaną – ukraińskie „oladi".

Wieczorem siadamy razem na ganku przed domem i śpiewamy z Petrem Andrejewiczem smętne ukraińskie dumki, zapamiętane jeszcze z dzieciństwa: *„Rewe ta stohne Dnipr szyrokyj, serdytyj witer zawywa..."*, a potem: *„Czorni hory niczka wkryła, połonyny wsi załyła, a tam postaŕ sniżno biła, Hucuł Kseniu w nicz w piznau..."*

Zdobywam się na odwagę i recytuję dawno zapomniany wiersz Szewczenki: *„Jak umru to pochowajte mene na mohyli, sered stepu szyrokoho, na Ukrajini mylij. Szczob łany szyrokopoli i Dnipro i kruczi buło*

wydno, buty czuty, jak rewe rewuczyj..." (Kiedy umrę to pochowajcie mnie w mogile pośród stepu szerokiego na miłej Ukrainie, gdzie łąki rozległe i słychać szum wzburzonych fal Dniepru).

Zbliża się pora odjazdu.

Chcemy zapłacić za nasz pobyt, ale gorąco protestują. Pani Orysia daje nam na pamiątkę wyszywany ręcznik i haftowany obrus z serwetkami. Martwi się, że nie chcemy zabrać wianka suszonych grzybów, ale tłumaczymy, że nie wolno ich przywozić do Australii.

Gospodarze odprowadzają nas na stację; wykupują bilety, znajdują miejsca przy oknie. Wszyscy jesteśmy wzruszeni. Żegnamy się, pociąg rusza; Petro Andrejewycz i Orysia w ostatniej chwili wyskakują z wagonu...

Jedziemy do Lwowa.

Zatrzymujemy się niedaleko dworca, na Gródeckiej. Mamy tam polecenie do pani Ireny, siostry Genka z Bielska.

Poznajemy uroczą parę emerytów. Oboje byli kiedyś nauczycielami. Ucieszyli się naszym przyjazdem i odstąpili nam swój pokój.

Opowiadamy o sobie i o Australii.

A potem wychodzimy z domu na zwiedzanie Lwowa.

Pierwsze kroki prowadzą nas na Łyczaków, z którym każde z nas ma swoje własne wspomnienia.

Przy ulicy Małej 6 mieszkała kiedyś babcia Amalia. Przyjeżdżaliśmy do niej z Ojcem przed wojną.

Tam spędziłam pierwsze tygodnie po wyjeździe ze Stanisławowa w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku.

W kościele św. Antoniego na Łyczakowie dostałam pierwszą katolicką metrykę.

Na Łyczakowskiej, w pobliżu placu św. Antoniego mieszkał Otek po ucieczce z obozu w Nisku.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku Rosjanie aresztowali go i doprowadzili do kwatery NKWD na ulicy Kurkowej, trzysta metrów od ulicy Małej. Tam formowano transporty więźniów do wywózki na Sybir...

Idziemy wzdłuż Łyczakowskiej.

Najpierw Otek znajduje dom pod numerem czterdzieści dwa. Pokazuje mi okna pokoju, w którym mieszkał z ojcem i Fredkiem.

Potem dochodzimy do placu św. Antoniego. Stoi tu dobrze znany mi kościół; nigdy nie zapomniałam księdza Czaprana ani siostry Benedykty...

Skręcamy w Małą i stajemy przed kamienicą numer 6. Teraz ja pokazuję

Otkowi okna babci i okna mieszkania wujka Ludwika.

Później idziemy jeszcze na Kurkową. Za wysoką bramą wybrukowane kamieniami podwórze, a w głębi niby to dom, niby pałacyk – była siedziba NKWD z lat 1939-1941...

Chodzimy po Lwowie dwa dni.

Idziemy na ulicę Legionów i na Wały Hetmańskie – w obu kierunkach – ku Teatrowi Wielkiemu i w stronę Placu Mariackiego.

Spacerujemy po Akademickiej.

Pijemy kawę w dawnym Hotelu George´a.

Zatrzymujemy się na Placu Bernardyńskim przed kościołem i kłaniamy się pomnikowi Mickiewicza.

Zwiedzamy Rynek i oglądamy studnie z rzeźbami Neptuna, Diany, Amfitryny i Adonisa.

Oglądamy starą katedrę, Podwale i Arsenał.

Błądzimy po ulicach, których nazw nie pamiętam – ulice i place, kamienice i pomniki pięknego, ale smutnego Lwowa...

Znowu zbliża się czas wyjazdu.

Zamknął się trójkąt STANISŁAWÓW – JAREMCZE – LWÓW.

Spełniło się marzenie mojego życia.

Opuszczamy moją ziemię niezapomnianą.

Tym razem już chyba NA ZAWSZE...



Krystyna Winecka *(Irena Wilder) urodziła się w 1928 r. w Stanisławowie. Książka jej to nostalgiczne wspomnienia z najwcześniejszych lat dziecięcych, do których powraca przez całe życie. Jest to jej własna Atlantyda – stracona na zawsze, nieosiągalna ziemia niezapomniana.*

Następują tragiczne lata wojny; traci wszystkich i wszystko. Po wyzwoleniu zostaje w Warszawie, studiuje, pracuje i wychodzi za mąż za Otona Wineckiego-Windholza. Mąż pochodzi ze Śląska Cieszyńskiego – mieszkali tam jeszcze jego dziadkowie. Z biegiem lat jego rodzinny Ustroń staje się dla autorki adoptowanym domem.

W 1968 roku wraz z mężem i dziećmi muszą opuścić Polskę. Emigrują do Australii; teraz i Ustroń staje się dla obojga drugą Atlantydą.

Po dwudziestu latach od chwili wyjazdu, w zmieniającej się sytuacji politycznej mogą znowu przyjechać do Ustronia.

A w 1992 roku, po pięćdziesięciu latach niespełnionych marzeń Krystyna Winecka pokazała mężowi swój Stanisławów.

W latach 1997 i 1998 obszerne fragmenty książki „Mój Stanisławów" zostały opublikowane przez wydawnictwo „Kultura" w Paryżu.

Krystyna Winecka mieszka wraz z mężem Otonem w Melbourne, Australia.

Mają dwie córki, Joannę i Aleksandrę i pięcioro wnuków.